

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

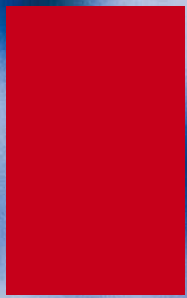
WOLNA
SOBOTA

- Po co Jędraszewski święci superkomputer
- Niemcy odkrywają Ukrainę
- Koniec z seksizmem w polskim hip-hopie
- Wróciłam do korpo i jestem szczęśliwa



WYSOKIE
OBCASY

Kto pokocha
łysą dziewczynę
Czego wstydzą się
mężczyźni



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

OIOM to dobry biznes
Ostry dyżur
Podłączasz pacjenta
i masz spokój

FOT. NATHAN LAINE / AFP / EAST NEWS

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Poznań
Ani jednego
Żyda na całym
uniwersytecie



Akcja „Wisła”
Polski rasizm
na sowiecką
modłę

Dekolonizacja
Nasze
całe życie zostało
w Afryce

JUTRONAUCI
Pochwała ryzyka
Najbezpieczniej
będzie w piekle ► 18-20

Feminizm mnie rozczarował

Czy zrobiliśmy wszystko, co się dało

Jak to możliwe, że 37 proc. młodych Polaków sprzedałoby prawa człowieka za wizję niższych podatków

Zielińska-Dao Quay

Staram się nie pielęgnować w sobie oburzenia. Ale po sondażu Ipsos dla OKO.press i TOK FM, w którym Konfederacja, najbardziej mizoginistyczna, maczystowska i skrajnie prawicowa partia, uzyskała 11 proc. poparcia, ogarnął mnie dziki gniew. Z wściekłości wybrałam się na długi spacer.

Jak to w ogóle możliwe? 37 proc. młodych Polaków (w wieku 18-39 lat) sprzedałoby prawa człowieka za cuchnącą anarchoutopię, dość rozmytą i niespójną wizję niższych podatków. Tyle pracy nad świadomością społeczną, nad zaszczepieniem idei równości – wszystko jak krew w piach. Wciąż tkwimy w konserwatywnym bagnie po uszy. Ale gdzieś na etapie 3. kilometra zaczynam zastanawiać się, czy sam feminizm zrobił wszystko, co mógł, żeby przerwać hegemonię patriarchy.

Konfederacja nęci nie tylko najmłodszych, lecz także najbogatszych – 23 proc. wśród zarabiających miesięcznie co najmniej 7 tys. zł netto. Jednak przecież nie sama wizja niskich podatków przyciąga do nich wyborców. Za utopijnymi obietnicami Mentzena kryje się coś więcej – wizja świata oparta na przekonaniu, że najwyższą wartością jest pozycja społeczna, a ta uwarunkowana jest przez pieniądze i władzę. Dlatego trafiły na żyzny grunt – polski mężczyzna od lat hodowany jest na najważniejszego żywiciela rodziny i lidera swojego środowi-

ska. Konfederacja promuje naszą starą znajomą – patriarchalną męskość – i na misji jej przywrócenia buduje swój elektorat.

Problem w tym, że feminizm, który niehumanistycznym wysiłkiem próbuje rozbijać męską supremację, nie zaoferował mężczyznom niczego w zamian.

Czuję się niezręcznie, próbując udowodnić, że idea, której tak wiele zawdzięczam, zawodzi. Feminizm przybliżył mi marzenia o świecie celebrującym różnorodność. Skatalizował mój gniew, wysłuchał i zaproponował rozwiązania. A jednocześnie pozwolił, by druga połowa społeczeństwa pozostała niewolnikami patriarchalnej wizji męskości. Wiem, wiem – nie da się zrobić wszystkiego naraz. I – żeby była jasność – nie obwiniam feminizmu za mizoginizm mężczyzn.

Ale o nich samych w gruncie rzeczy wiemy niewiele. Stosują przemoc, częściej zabijają, są gorzej wykształceni, ale więcej zarabiają – to strzępy z zamglonego obrazu mężczyzn we współczesnym świecie. bell hooks, jedna z czołowych przedstawicielek amerykańskiego, czarnego feminizmu, w przedmowie do swojej książki „Gotowi na zmianę: o mężczyznach, męskości i miłości” już w 2004 roku pisała: „Dzisiaj zdumiewa mnie, że orędowniczki polityki feministycznej mają tak niewiele do powiedzenia na temat mężczyzn i męskości. [...] wiele z nas uznało po prostu, że feminizm dał nam prawo do

W „Empuzjonie” Olgi Tokarczuk – najgłośniejszej polskiej powieści zeszłego roku – nie występuje ani jedna pozytywna postać płci męskiej

obojętności wobec mężczyzn i odwrócenia się od ich potrzeb”.

Paulina Januszewska w „Krytyce Politycznej” odpowiada wszystkim, którzy usprawiedliwiają wyborców Konfederacji: „Jak mam poczuć, że kobiecość jest premiowana, a mężczyźni padają ofiarą dyskryminacji, skoro w tak podstawowych kwestiach jak zarobki, a nawet decyzja o rodzicielstwie – mój partner ma więcej swobody niż ja?”. Trudno polemizować z oczywistościami. Tylko że walcząc o zrównanie przywilejów i statusu, możemy stać się sprzymierzeńcami, jeśli proponujemy im wizję męskości alternatywnej do tej, którą na każdym kroku serwuje nam i im patriarchy.

Januszewska w myśleniu o Konfederacji jako jedynej partii oferującej coś młodym mężczyznom dostrzega jeden główny problem – elektorat tej partii kupuje narrację „że dotychczasowy, opresyjny system działa i jest »naturalnym porządkiem«”. Pełna zgoda. Problem w tym, że nie mam pewności, iż do kupienia był jakiś inny produkt.

Dyskusje o feminizmie i będące ich odbiciem teksty kultury wywarły nie-

proporcjonalnie mniejszy wpływ na męską niż na kobiecą świadomość. Weźmy współczesną polską powieść – radzi sobie doskonale z uwalnianiem głosu kobiet. Jednocześnie ten kobiecy głos szerokim łukiem omija mężczyzn, którzy mogą występować najwyżej jako sztafaj. W „Empuzjonie” – najgłośniejszej polskiej powieści zeszłego roku – nie występuje ani jedna pozytywna postać płci męskiej. Główny bohater – Mieczysław Wojnicz – mógłby aspirować do roli nowego męskiego archetypu, ale nawet jego Tokarczuk uwikłała w pleć i zatrzymała jego zakusy do bycia kimś spoza patriarchalnego porządku. Na mnożenie przykładów nie pozwala mi rozmiar felietonu. W drugiej flance stoi literatura, która wiernie reprodukuje wizję toksycznej męskości, nawet jeśli bohater jest skomplikowany psychologicznie, to jednak podległy patriarchalnej logice i praktyce.

Nie jestem skłonna do przecenienia społecznej roli literatury. Ale nie jest ona przecież odseparowana od zgiełku codzienności, przeciwnie – dość precyzyjnie oddaje jego melodię. Co w niej można usłyszeć?

Że wrogiem kobiet nie jest patriarchy, lecz mężczyźni. A oni, żeby przetrwać, muszą utrzymać patriarchy przy życiu.

Konfederacja utuczyła się na tym. Czas dowiedzieć się czegoś o drugiej połowie społeczeństwa. I oddzielić mężczyzn od patriarchy. ●

Edyta Zielińska-Dao Quay

Behemoth na Fryderykach Jak udomowić bluźniercę

Nie ma dziś w polskiej muzyce Nartysty odnoszącego na świecie sukcesy większe niż Behemoth – co łatwo zmierzyć i tłumami na koncertach, i nakładami płyt, i temperaturą recenzji. Nic dziwnego, że Fryderyki, aspirujące do miana nadwiślańskiego odpowiednika nagród Grammy, nie tylko chcą Behemotha nagradzać (w kategorii metal ich album „Opvs Contra Natvram” jest faworytem), ale też zapewniły zespołowi miejsce na scenie.

Występ budzi jednak kontrowersje. Strażnicy płomienia uważają, że miejsce ekstremalnego metalu jest w undergroundzie, do którego dostęp mają tylko wtajemniczeni. Z kolei ci, których w oko kłują bluźniercze treści, uważają, że nie powinno się nobilitować takich wszeteczeństw.

Mam dużo zrozumienia dla tych, którzy czują dyskomfort, gdy Behemotha zapowiada się jednym tchem z Mrozem i Dodą, ale to płacz nad rozlanym mlekiem. Tamtej sceny, tych siedmiu kręgów piekielnych, z których wyrósł Behemoth, już nie ma. Uświadomiłem sobie to nie w Polsce, gdzie metal niezmiennie traktowany jest jako coś gorszego i głupszego od pierwszej lepszej popowej bzdury, ale w Norwegii, zwiędzając wystawę poświęconą black metalowi w Bibliotece Na-



FOT: TOMASZ STANCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

rodowej. W Oslo rówieśnicy i koledzy Behemotha celebrowani są jak dobro narodowe, żywe ekspozaty muzealne. Zresztą norwescy blackmetalowcy w ichniej telewizji publicznej to widok równie częsty jak u nas biskupi. Paradoksalnie, to właśnie stateczni mieszczanie, oburzający się, że pomiot szatana trafia na salony, powinni się cieszyć, bo nic tak nie rozbraja rewolucji jak obwieszanie jej liderów orderami.

A wszystkich państwa zapraszam przed telewizory. To rzadka okazja, by nie ryzykując wizyty na koncercie metalowym, dowiedzieć się, że Nergal to nie tylko śmieszno-straszny celebryta, ale Lewandowski polskiego metalu. ●

Jarek Szubrycht

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Z Rosji

„Im więcej nauczycieli na mieszkańca w regionie, tym większa przewaga partii rządzącej”. Nie tylko propaganda, strach i przekupstwo. Rosyjsko-amerykańska socjolożka odkrywa fundament poparcia dla Putina.

Rozmowa z Natalią Forrat
► [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Niemcy zamykają, Finowie otwierają



FOT: TAPANI KARIJÄNEN / AHTI

16 PROC.

zapotrzebowania Finlandii na elektryczność

pokryje OL3 – właśnie uruchomiony, największy w Europie reaktor atomowy. Kosztował 8 mld euro. Cała elektrownia Olkiluoto daje 1/3 fińskiego prądu. Reaktor ma pracować co najmniej 60 lat. Kilka godzin wcześniej Niemcy wyłączyli swoje trzy ostatnie elektrownie.

• **Więcej ► [Wyborcza.pl/klimat](https://wyborcza.pl/klimat)**

Andrzej rysuje



ODRA CZEKA NA RATUNEK.

Wkrótce potrzebny może być innym rzekom

„Warto sobie uświadomić, że nie żyjemy już w kraju z czystym powietrzem, czystymi rzekami i „zielonymi płucami”, tylko w środowisku, które zostało silnie zdegradowane. Dotyczy to szczególnie wód” – mówi Piotr Nieznański, doradca zarządu ds. środowiskowych w Fundacji WWF Polska. Alarmuje, że jeśli nie podjęte zostają odpowiednie działania, wkrótce dojdzie do kolejnej katastrofy na Odrze i innych rzekach Polski.

Latem 2022 roku doszło do katastrofy ekologicznej na Odrze. Widzieliśmy tysiące martwych ryb. Jak określiłby Pan obecny stan rzeki?

Piotr Nieznański, doradca zarządu ds. środowiskowych w Fundacji WWF Polska: Niewiele się zmieniło. Biorąc pod uwagę fakt, że nie ograniczono zrzutu wód zasolonych i zanieczyszczeń do Odry, to przy zaistnieniu dwóch warunków: wysokiej temperatury i niskiego stanu wody, możemy mieć powtórkę z tego, co się stało w tamtym roku. Obecnie potwierdzone jest występowanie złotej algi i w Kanale Gliwickim, i w Odrze. Bardzo się tego obawiam.

A jaki jest stan biologiczny Odry?

W wyniku ubiegłorocznej katastrofy zginęło blisko 50 proc. ryb. Mało kto jednak wie, że na odcinku środkowej i Dolnej Odry zginęły prawie wszystkie mięczaki, a to oznacza, że zginęła istotna część filtratorów i część bazy pokarmowej dla innych organizmów na Odrze. Próba odtworzenia życia biologicznego, która polegałaby na wypuszczeniu ryb do rzeki byłaby ogromnym błędem. Najpierw musimy odtworzyć strukturę, jakość i odporność całego ekosystemu rzecznej: od najmniejszych organizmów, po mięczaki i ryby. Tylko wtedy będzie to właściwie funkcjonowało.

Co musi się zmienić, byśmy uratowali Odrę i inne polskie rzeki?

Najważniejsze to odcięcie soli i zanieczyszczeń, które spływają do polskich rzek. To jest priorytet. Przez wiele lat zajmowaliśmy się ściekami komunalnymi i ograniczaniem ścieków z przemysłu, ale kwestia zasolenia wód była pomijana, na nią zawsze przyglądano się z boku. Katastrofa na Odrze wyjawiała zaniechania, do których dochodziło latami.

Przez wiele, wiele lat, wydając pozwolenia wodno-prawne, zezwalano na ogromne zrzuty soli. Wyznaczone w pozwoleniach limity są niekontrolowalne. W praktyce, ci, którzy dokonują zrzutów soli, sami siebie monitorują i właściwie nikt nie jest w stanie na bieżąco weryfikować rzeczywistej sumarycznej ilości zrzutów zanieczyszczeń i wód zasolonych. Dlatego kluczowym elementem, którym trzeba się zająć, jest wprowadzenie stałego monitoringu wód i zmiana systemu wydawania weryfikacji i kontroli pozwoleń wodno-prawnych.

Trzeba dążyć do maksymalnego zredukowania zrzutów wód zasolonych i zanieczyszczeń bezpośrednio do rzek – dopóki to nie nastąpi, ilość zrzutów musi być skorelowana z wielkością przepływów w rzekach.

Czego potrzebujemy, by zmienić sytuację?

Gdyby istniejący monitoring był w stanie wykazywać na bieżąco zmiany ilości i parametrów, stan wód, a obywatele mogliby na bieżąco to obserwować, to rosłaby presja społeczna. Proszę zwrócić uwagę, jak zmieniła się wrażliwość społeczna na zanieczyszczenie powietrza, odkąd zaczęto je powszechnie mierzyć, a prognozy pogody zawierają ocenę jakości powietrza w poszczególnych regionach i miastach. Gdy takiego monitoringu nie ma, ludzie nie wiedzą co płynie rzeką, a zakłady zrzucające zanieczyszczenia mogą czuć się bezkarnie.



fot. Krzysztof Konieczny / arch. WWF Polska



fot. Wiktor Strumiłło / arch. WWF Polska

Ważne jest także, żeby systemy monitoringu i kontroli były zintegrowane z systemem reakcji. Bo co nam z tego, że będziemy wiedzieć więcej o tym, co wpływa do rzeki, że będziemy wiedzieli, kto za to odpowiada, jeżeli nie pójdzie za tym system reagowania. Jeśli na rzece w punkcie A wydarzy się awaria, wyciek, zatrucie rzeki, to już w punkcie B – z biegiem rzeki – służby i ludzie powinni być poinformowani i posiadać wiedzę oraz procedury, co i w jakiej kolejności mają zrobić, żeby zminimalizować szkody.

Potrzebujemy czegoś jeszcze?

Oprócz odcięcia soli i wprowadzenia bieżącego monitoringu, istotna jest absolutnie niezależna, w tym niezależna politycznie, kontrola jakości środowiska. Jeżeli instytucje mają zajmować się kontrolą środowiska, które jest naszym wspólnym dobrem, to nie mogą być polityczne. A teraz są. Dyrektorów Wojewódzkich Inspektoratów Ochrony Środowiska powołuje wojewoda, wojewodę minister, a zatruwającymi rzeki są często wielkie zakłady przemysłowe, w tym m.in. spółki Skarbu Państwa. Trudno w tak upolitycznionym systemie kontrolnym spodziewać się bezstronnych ocen. Agencje monitorujące, ale szczególnie agencje odpowiedzialne za kontrole

i wymierzanie kar, powinny być absolutnie apolityczne, obiektywne i niezależne od wojewodów.

Potrzebne jest też prawo, którego się przestrzega i które jest bezwzględnie egzekwowane na tyle, że zniechęca tych, którzy zanieczyszczają, do takich działań. Zniechęca nie tylko wysokością, ale również nieuchronnością kar.

Obecne kary są zbyt niskie?

Tak, teraz nawet jeśli znajdzie się winnego, to kary są rażąco niskie. Niska wykrywalność w połączeniu z niskimi karami, stwarzają wręcz zachętę do zanieczyszczania. Jeżeli ktoś sobie skalkuluje, że oczyszczenie jakiegoś ładunku ścieków kosztowałoby kilkaset tysięcy złotych, a kara za spuszczenie nieoczyszczonych to np. 5 tys. zł, to kalkulator mu wskazuje, co zrobić. W Polsce świadomość kosztów środowiskowych jest bardzo niska.

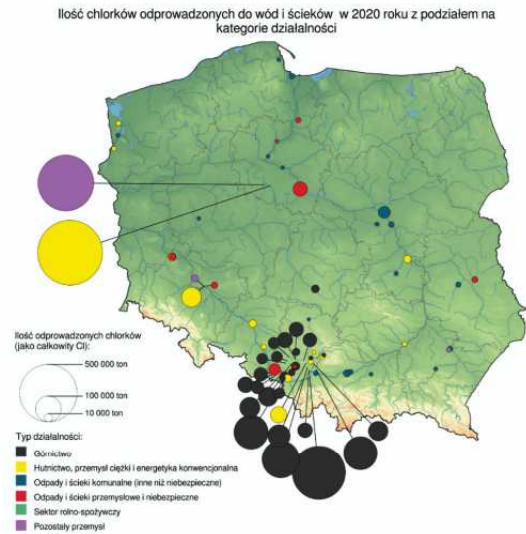
Jakie są skutki zanieczyszczenia wód dla nas wszystkich?

W coraz mniejszym zakresie będziemy mogli korzystać z rzek jako źródeł wody pitnej, a nawet do celów podlewania upraw – nie podlega się upraw solanką – i niektórych procesów przemysłowych. Bez poprawy jakości wód nie pomoże nam sama technologia. Już dzisiaj ogromnym problemem jest czerpanie wody z Odry czy Wisły ze względu na ilość chlorków i soli. To najbardziej odczuwalny dla człowieka skutek.

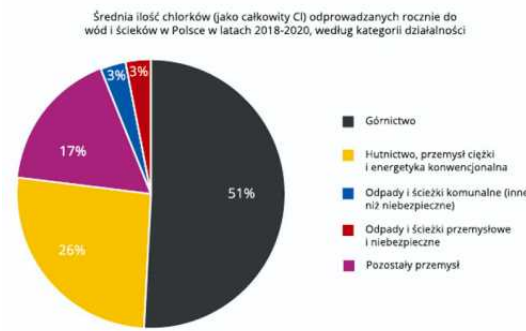
Konsekwencją dla środowiska jest zanikanie życia biologicznego i różnorodności biologicznej w rzekach, a z tym jest związany cały łańcuch konsekwencji. Zwykle porównuje się rzekę z układem krwionośnym człowieka. Rzeki są tak ważne dla planety Ziemia, jak układ krwionośny dla człowieka. Blokada przepływu krwi lub jej zanieczyszczenie prowadzą do chorób lub nawet zgonu. Tak dzieje się z naszym organizmem i analogicznie jest z systemem rzeczny i jego znaczeniem dla życia na Ziemi. Jeżeli zatrujemy rzeki, to środowisko, w tym i my nie będziemy w stanie z nich korzystać.

Jest jakaś nadzieja, że cokolwiek się zmieni?

Budujące jest to, że przybywa oddolnych inicjatyw. W tej chwili realizujemy projekty terenowe już na 12 rzekach w Polsce. Biorą w nich udział wędkarze, mieszkańcy, samorządowcy, społecznicy. To sami mieszkańcy, korzystający z rzeki, skrzykują się. Tam, gdzie to możliwe pomagamy im w tym, aby udrażniać rzeki, odtwarzamy tarliska dla ryb, sadzimy drzewa na brzegach rzek, by zacienić wodę. Udaje nam się w to angażować różne środowiska. Niedawno zakończyliśmy akcję nasadzeń blisko 18 tys. drzew nad rzekami w woj. świętokrzyskim. Również dbający o jakość życia w miastach urbaniści dostrzegają coraz częściej potrzebę przywracania usług ekosystemowych rzek w miastach. Wspólnie ze Stowarzyszeniem Urbaniści Polscy, z czego jestem bardzo dumny, przygotowaliśmy podręcznik naturalnej retencji. To jest poradnik dla samorządów, bo to oni w pierwszej mierze nie mogą pozostawać obojętni na problemy rzek. Dlaczego? Bo zadbanie o jakość środowiska w naszych „małych ojczyznach”, na każdym poziomie: wsi, gminy, starostwa, odwdzięcza się nam poprawą jakości naszego codziennego życia.



mat. prasowe WWF Polska



mat. prasowe WWF Polska

NASZA EUROPA

Główny inżynier NASA:

WRACAMY NA KSIĘŻYC,
ABY POLECIEĆ DALEJ

Howard Hu, człowiek odpowiedzialny za zbudowanie kapsuły, która zabierze astronautów na Księżyc, wyjaśnia, jak to pomoże w załogowej podróży na Marsa.

Nuno Domínguez

EL PAÍS

Urodził się w Szanghaju 53 lata temu. Jego rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych i założyli restaurację, w której nastoletni Howard Hu pracował na zmywaku i w kuchni, myśląc jednocześnie, że nauka może być jego paszportem do „lepszego życia”. Mniej więcej w tym czasie zobaczył „Gwiezdne wojny” i zdał sobie sprawę, że to, czego najbardziej pragnie na świecie, to budowanie statków kosmicznych.

Tamten marzyciel jest dziś szefem programu Orion, który umożliwi NASA wysłanie astronautów na Księżyc i dalej, na Marsa. Hu studiował aeronautykę i astronautykę w Seattle, dołączył do NASA jako stażysta w wieku 22 lat i od tamtej pory aktywnie uczestniczył w najbardziej spektakularnych programach agencji, takich jak promy kosmiczne i Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, jedyne zamieszkane przez ludzi miejsce poza Ziemią (na razie).

Hu kieruje ogromnym zespołem liczącym ok. 3,5 tys. osób, zarówno w NASA, jak i w ponad 800 firmach kontraktowych. Spotkaliśmy się w Hiszpanii, gdzie prowadził rozmowy z firmami zaangażowanymi w budowę opracowanego przez Europejską Agencję Kosmiczną modułu serwisowego dla statku Orion, który zapewni powietrze, wodę, elektryczność, napęd i kontrolę temperatury. Zaprezentował też nowe dane na temat pierwszej bezzałogowej misji testowej Artemis 1, która powróciła na Ziemię po kilkudniowym orbitowaniu wokół Księżyca w grudniu ubiegłego roku. Hu zapowiada, że lądowanie na Księżycu w 2025 r. będzie przełamywało nie tylko technologiczne bariery: na Srebrny Glob po raz pierwszy w historii zjedną kobieta oraz osoba rasy innej niż biała.

Czy po sukcesie misji Artemis 1 jesteśmy już gotowi na ponowne wysłanie ludzi na Księżyc?

– Najpierw koniecznym etapem jest przetestowanie całkiem nowej wersji Oriona w misji Artemis 2, która będzie załogowym lotem do Księżyca, ale bez lądowania. Weźmie w niej udział czworo astronautów. Podczas tej misji przetestujemy nowe systemy wsparcia dla pasażerów kapsuły, takie jak dostarczanie tlenu, wody oraz nowy system kontroli lotu, w tym naprowadzania lądownika. To bardzo ważne, że testujemy to wszystko wraz z nowatorskimi rozwiązaniami, które pozwolą nam prowadzić życie wewnątrz statku kosmicznego odbywającego długi rejs.

Jak wygląda wnętrze nowego Oriona?

– Przestrzeń jest porównywalna do bardzo dużego SUV-a. Gdy wchodzisz przez klapę, u twoich stóp znajdują się drzwi do łazienki, która jest wielkości małej budki telefonicznej. W środku są cztery fotele ułożone w rzędach po dwa, je-

• Rakieta Starship Super Heavy czeka na start na kosmodromie w Teksasie

FOT. SPACEX / AFP



Artemis 4 i 5
będą misjami,
w których astronauta
po raz pierwszy udadzą się
do nowej stacji Gateway,
która będzie orbitować
wokół Księżyca.
Europa buduje
znaczna część tej stacji,
do której z Ziemi
będą przylatywać
i dokować Oriony.
I to dopiero
z niej ludzie i ładunek
dolecą na Księżyc
lądownikiem firmy SpaceX

NASZA EUROPA

den nad drugim, jak łóżka piętrowe. Na dwóch przednich zasiądą dowódca i drugi pilot, którzy będą mieli w zasięgu całą konsolę sterującą. Po wejściu na orbitę będą się unosić w nieważkości, a fotele złożą się i schowają, by zrobić im miejsce.

To bardzo przytulny statek kosmiczny, ze sprytną kuchnią do podgrzewania jedzenia i łazienką w osobnym pomieszczeniu. Po raz pierwszy NASA uwzględniła coś takiego w statku załogowym – 50 lat temu astronauta całkowicie męskich załóg kolejnych misji Apollo oddawali mocz i defekowali do worków, bez żadnej prywatności.

Jak długo astronauta będą na tym statku?

– Po starcie z Kennedy Space Center statek pozostanie przez 24 godziny na orbicie Ziemi, podczas gdy my wykonamy działania kontrolno-testowe i upewnimy się, że wszystko jest w porządku i można kontynuować misję. Następnie odpalimy pojedynczy silnik, który zabierze statek na Księżyc, pozwoli mu oblecieć go dookoła i skierować z powrotem. Wszystko to zajmie od 10 do 12 dni w zależności od dnia startu. Będzie to znacznie szybciej niż w przypadku lotu Artemis 1, który trwał niecałe 26 dni. Mamy nadzieję zrealizować tę misję do końca 2024 r.

A potem Artemis 3? Kiedy ludzie znów wylądują na Księżycu? I czym to się będzie różnić od misji Apollo?

– Pierwszą różnicą będzie rozmiar rakiety i samego lądownika. Starship, wykonany przez firmę Elona Muska SpaceX, jest ogromny w porównaniu z rakieta i lądownikiem misji Apollo. Orion będzie musiał najpierw zacumować do tego lądownika na orbicie Księżyca. Nigdy wcześniej tego nie robiono; to będzie jedno z największych wyzwań. I oczywiście zobaczymy nie czarno-białe, ziarniste filmy, ale obrazy w wysokiej rozdzielczości. Kombinezony astronautów również będą zupełnie inne.

Ze wszystkich miejsc na Księżycu wybraliście lądowanie na względnie najmniej przyjaznym biegunie południowym. Dlaczego?

– Przez wzgląd na wodę. Zakładamy, że w strefach wiecznego cienia jest woda. Sądzymy, że możemy pobrać rdzenie lodowe i podać je analizie. Z czasem moglibyśmy uzyskać z księżycowej wody tlen i wodór, co pozwoliłoby nam na wytworzenie paliwa wodorowego i powietrza do oddychania w bazach na miejscu. Byłyby to pierwsze kroki w kierunku przyszłych stacji produkcyjnych

tych substancji, co jest niezbędne, bo sprowadzanie ich z Ziemi jest zbyt kosztowne.

Również z geologicznego punktu widzenia jest to wybór otwierający nowe możliwości, ponieważ wszystkie misje Apollo lądowały na księżycowym równiku. Orion jest przygotowany do przywiezienia z powrotem na Ziemię 100 kilogramów skał. To wręcz niewyobrażalne, jak wiele badań będziemy mogli przeprowadzić na tym materiale.

Jak długo astronauta będą przebywać na powierzchni Księżyca?

– Około sześciu dni. Pierwsze misje – bo to początek całej ich serii – będą krótkie i maksymalnie skoncentrowane na gromadzeniu danych naukowych. Ale już od misji Artemis 4 zaczniemy działania związane z budową stałej infrastruktury, aby Księżyc mógł być zamieszkiwany przez dłuższy czas: tygodnie, nawet miesiące. Oznacza to konieczność zbudowania modułów, w których będziemy generować energię, modułów mieszkalnych, logistycznych i łazików.

Czy potem na Księżycu na stałe będą mieszkać ludzie?

– Prawdopodobnie. Artemis 4 i 5 będą misjami, w których astronauta po raz pierwszy udadzą się do nowej stacji kosmicznej Gateway, która będzie orbitować wokół Księżyca. Europa buduje znaczną część tej stacji. To do niej z Ziemi będą przylatywać i dokować Oriony. Astronauta będą się tam przesiedać do innego pojazdu, lądownika, który będzie z nimi kursował między orbitą a powierzchnią Księżyca jak taksówka. A z powrotem na Ziemię będą latać znowu Orionem. To optymalne rozwiązanie, które da nam stały dostęp do powierzchni Księżyca. Jednocześnie na powierzchnię zostaną sprowadzone łaziki eksploracyjne, moduły mieszkalne i wszystkie inne elementy baz powierzchniowych. Znajdą się tam elektrownie i syste-

my komunikacyjne. Do tego stworzymy na orbicie Księżyca system satelitów. Wszystko to będziemy robić wspólnie z naszymi europejskimi, japońskimi, kanadyjskimi partnerami oraz firmami z wielu krajów. Międzynarodowe zaangażowanie stanowi o sile tego projektu.

Krytycy tego programu, w tym byli i być może następny prezydent Donald Trump, mówią, że „już tam byliśmy” – po co wracać?

– Księżyc to tylko etap. Nasz cel to wyprawa na Marsa, ale najpierw musimy przetestować technologię. Co nadaje się do tego lepiej niż nasze własne podwórko, czyli Księżyc? Nasz satelita znajduje się w odległości ok. 380 tysięcy kilometrów. W najbliższym punkcie swojej orbity Czerwona Planeta znajduje się ok. 50 milionów kilometrów od Ziemi. Dotarcie na Księżyc zajmuje nam dni zamiast lat. Musimy przetestować w warunkach kosmicznych rozszczepienie jądra atomowego jako paliwa, bazy nadające się do zamieszkania, pojazdy eksploracyjne, eksploatację zasobów. Musimy też rozwinąć tkankę przemysłową i biznesową. To dlatego znów wybieramy się na Księżyc, a mówiąc „my”, mam na myśli całą ludzkość.

Czy pierwsze załogowe misje na Marsa odbędą się dzięki temu w latach 2040.?

– Trudno powiedzieć. Ale patrząc na skokowy rozwój technologii w ostatnich dekadach, jestem optymistą. W pierwszych latach komercyjnego internetu nikt nie przewidywał, do czego to doprowadzi i jak intensywnie z niego korzystamy. Z eksploatacją kosmosu jest podobnie – w tej chwili siejemy nasiona i nie wiemy, jak szybko wyrosną. To może się stać bardzo szybko.

Czy Orion będzie tym statkiem, który zabierze pierwszych ludzi na Marsa?



• Howard C. Hu FOT. BILL STAFFORD

– Na pewno jego rozwiązania będą częścią pierwszej wyprawy na Marsa. Orion może obecnie przewozić cztery osoby przez 21 dni. Podróż na Marsa potrwa jakieś dwa lata. Będziemy więc z NASA i Orionem częścią znacznie bardziej złożonej misji. Orion przyda się poza Księżycem, ale z pewnością nie polecą na Marsa sam.

Łądowania na ciałach niebieskich znamy głównie z filmów SF. Wspomniał pan, że Artemis 2 zawiera elementy sterujące, dzięki którym astronauta mogą przejąć kontrolę, ale czy normalnie wszystko będzie się odbywać automatycznie?

– Orion może wystartować, wykonać misję i bezpiecznie sprowadzić załogę z powrotem całkowicie samodzielnie, w trybie automatycznym. Ale w misji Artemis 2 będziemy mieli pewne cele, w których astronauta będą trenować obsługę manualną. Planujemy, że przejmą kontrolę na przykład podczas końcowych etapów dokowania do stacji orbitalnej.

Nie chciał pan zostać astronautą i brać czynnego udziału w tych misjach?

– Może to brzmieć dziwnie, ale nigdy nie marzyłem o niczym innym niż prowadzenie projektu największego statku kosmicznego w historii z pozycji głównego inżyniera. I proszę, właśnie to robię.

Jak daleko według pana możemy się posunąć w eksploracji załogowej kosmosu?

– Wychodzę z założenia, że ten statek i jego misje to pierwszy krok w kierunku na razie bardzo odległej, ale jednak realnej przyszłości, w której będziemy mogli się wydostać poza Układ Słoneczny na sukcesywnie odkrywane egzoplanety, które wyglądają na nadające się do zamieszkania. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Rejs na Antarktydę przez Georgię Południową i Falklandy

Wybierz się w ekscytujący rejs naszym nowym statkiem ekspedycyjnym, Ocean Albatros i przeżyj przygodę życia docierając do najbardziej odległych miejsc na Ziemi.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Buenos Aires. Zwiedzanie miasta i kolacja. Dz. 3 Buenos Aires – Ushuaia, zwiedzanie miasta i zakwaterowanie w hotelu. Dz. 4 Park Narodowy Tierra del Fuego, wejście na pokład statku. Dz. 5-6 W drodze na Antarktydę. Kanał Beagle i Cieśnina Drake'a. Dz. 7-10 Półwysep Antarktyczny z Wyspą Króla Jerzego, Brown Bluff i Wyspą Stoniową Shackletona. Dz. 11-12 Rejs w kierunku Georgii Południowej. Strefa konwergencji antarktycznej. Dz. 13-16 Georgia Południowa. Nieokiełznana i bogata przyroda pośrodku południowego Atlantyku. Dz. 17-18 Na oceanie w kierunku Falklandów. Dz. 19 Port Stanley, stolica Falklandów. Czas wolny w małej stolicy. Dz. 20 Wyspy Falklandzkie. Spektakularne wybrzeże Zachodnich Falklandów. Dz. 21 Rejs kanałem Beagle. Dz. 22 Ushuaia – Buenos Aires. Kolacja, degustacja wina i argentyńskie tango. Dz. 23 Wylot z Buenos Aires do Warszawy. Dz. 24 Powrót do Warszawy.

24 dni | Wylot z Warszawy 26/02 2024

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!

Albatros travel

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW25

Klejnót w koronie Muska

STARSHIP

NAJPOTĘŻNIEJSZA RAKIETA W DZIEJACH

To ona ma zawieźć ludzi na Marsa

Piotr Cieśliński

Wygląda jak gigantyczne cygaro. Starship jest najnowszym dzieckiem firmy SpaceX, której właścicielem jest amerykański miliarder Elon Musk. Wielkość, udźwig i potęga silników tej rakiety robią wrażenie. Jest owocem futurystycznych i utopijnych (ale czy na pewno?) wizji Muska, który od dawna marzy o skolonizowaniu Marsa. Pochodzący z RPA przedsiębiorca wzbogacił się jeszcze przed trzydziestką na internetowym boomie, tworząc i sprzedając za 1,5 mld dol. system płatności PayPal. Z tych pieniędzy finansował kolejne pomysły, m.in. Teslę produkującą auta elektryczne czy konstelację tysięcy satelitów Starlink, które dostarczają szybki internet.

Kiedy we wrześniu 2016 r. na Międzynarodowym Kongresie Astronautycznym w Meksyku miliarder przedstawił koncepcję statku i rakiety, która wkrótce zabierze tysiące ludzi na Czerwoną Planetę, wielu pukalo się w głowę, sądząc, że to tylko zwykły u Muska przejaw wielkiego ego, a nawet megalomanii.

Tymczasem niespełna siedem lat później na świeżo wybudowanym kosmodromie w Boca Chica w Teksasie, na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej, stanęła na wyrzutni startowej monstrualna rakietą, jakiej świat jeszcze nie widział. Dwustopniowy pojazd kosmiczny – statek Starship osadzony na członie napędowym Super Heavy – ma 120 m wysokości, 9 m średnicy i niemal dwukrotnie większą siłę ciągu niż jakakolwiek rakietą w historii, włączając potężne rakiety Saturn V i najnowszą SLS, które NASA opracowała na potrzeby lotów na Księżyc.

Całkowita siła ciągu Super Heavy o połowę bije także rekordowy ciąg silników rakietki Falcon Heavy, która miała wynieść kosmonautów na Księżyc, ale... nigdy nie doleciała na orbitę ziemską. Wszystkie cztery próby ponad pół wieku temu zakończyły się katastrofami.

Dziewiczy lot

Przed tygodniem SpaceX dostał od amerykańskiej Federalnej Administracji Lotnictwa (FAA) zielone światło na pierwszy start nowej rakiety. Tysiące widzów zgromadziło się w okolicy, aby być świadkami tego wydarzenia.

Okno startowe otworzyło się w poniedziałek o godz. 14 naszego czasu. Pogoda była sprzyjająca, niebo nad Teksasem czyste i niebieskie, przed startem zbiorniki rakiety zostały wypełnione ciekłym metanem i tlenem. 17 kwietnia o godz. 15.20 Super Heavy miał odpalić 33 silniki typu Raptor i powoli wzbić się w powietrze. Ale kilkanaście minut przed startem czujniki wykryły jakiś problem z jednym z zaworów ciśnienia w rakiecie Super Heavy – i poniedziałkowy lot został wstrzymany.

SpaceX podał, że próba startu zostanie ponowiona „w ciągu kilku dni”. W chwili

li oddawania tego numeru do druku wciąż jeszcze nie było wiadomo kiedy.

Super Heavy nigdy wcześniej nie odebrał się od ziemi. W lutym miał tylko statyczną próbę generalną – odpalił silniki na wyrzutni startowej, ale z połową docelowej mocy. Pełną potęgę miał pokazać dopiero teraz. Ten człon napędowy ma zadanie przebić się przez najniższą i najbardziej gęstą część atmosfery ziemskiej.

Jak ma przebiegać test

Ale Super Heavy przestanie być potrzebny po 2 minutach i 49 sekundach lotu. Odłączy się od górnego członu, czyli statku Starship, który już samodzielnie – za pomocą własnych sześciu silników Raptor – osiągnie docelową wysokość i zacznie okrążyć Ziemię.

Sam Starship wykonywał już loty suborbitalne, wznosił się i samodzielnie lądował na kosmodromie w Teksasie. Ale były to tylko krótkie skoki w atmosferze. Jeszcze nigdy nie był w kosmosie i nie leciał w zestawie z rakietą Super Heavy. Ten lot ma

con 9 (obecnie podstawowe rakiety w arsenale SpaceX). Będzie można je zatankować i ponownie wysłać w kosmos, nawet wielokrotnie tego samego dnia. To doprowadzi do drastycznego zmniejszenia kosztów kosmicznych podróży.

Za pomocą nowej rakiety Musk zamierza dokończyć rewolucję, jaką dwie dekady temu zapoczątkował w kosmicznym biznesie. Wieszczy nadejście ery podróży kosmicznych dla zwykłych ludzi. Jego statki mają codziennie latać na orbitę okołoziemską, by mieszać tam satelity albo transportować ludzi zmierzających na inne globy (Księżyc lub Marsa).

W swojej najcięższej wersji Starship może dostarczyć na niską orbitę okołoziemską ładunek aż 150 ton albo... 100 pasażerów. To kilkukrotnie bije możliwości konkurencji, zarówno raket i statków NASA, Europejskiej Agencji Kosmicznej, jak i Roskosmosu czy Chin.

Spółka SpaceX w ciągu ostatniej dekady dosłownie zdeklasowała rywali. Od początku tego roku jej flagowe rakiety Falcon

astronautów na powierzchnię Księżyca w ramach misji Artemis. Nie brakuje ekspertów, którzy dzisiaj mówią, że największą innowacją w dziejach NASA był nie prom kosmiczny, ale stworzenie mechanizmów partnerstwa prywatno-publicznego, dzięki czemu w programy kosmiczne zaangażowały się na wielką skalę firmy takie jak SpaceX Muska czy Blue Origin założyciela Amazona Jeffa Bezosa.

Starship z nieco inaczej zamontowanymi silnikami (z boku rakiety, aby nie wzbijały pyłu podczas lądowania na Srebrnym Globie) ma być taksówką, która będzie wahadłowo wozić astronautów między powierzchnią Księżyca a stacją przesiadkową Gateway, która zostanie zbudowana na orbicie okołoksiężycowej.

Technicznie rzecz biorąc, stacja kosmiczna będzie orbitować nie wokół Księżyca, lecz wokół punktu Lagrange’a L2 układu Ziemia – Księżyc. Pelen obieg zajmie jej siedem dni. W tym czasie stacja będzie się oddalać na odległość ok. 70 tys. km od Księżyca i zbliżać się na 1,5 tys. km do jego powierzchni (z Ziemi do Księżyca jest prawie 400 tys. km). Na tej orbicie statek dosłownie balansuje między grawitacyjnym wpływem Ziemi oraz Księżyca. Zaletą jest to, że łatwo się na nią dostać. Zarówno do jej osiągnięcia, jak i opuszczenia nie potrzeba dużej mocy silników.

Innym plusem jest także minimalna ilość czasu, jaką stacja Gateway spędzi w cieniu Ziemi czy Księżyca (energia słoneczna będzie podstawowym źródłem zasilania). Także nieprzerwana widoczność Ziemi i tym samym możliwość utrzymania stałego łącza i komunikacji radiowej z ziemskim centrum misji.

Taka orbita umożliwi więc misje na powierzchnię Księżyca, a zarazem stanowi dobrą bazę przed misjami w dalsze regiony Układu Słonecznego, w tym w kierunku Marsa, które planują zarówno NASA, jak i Elon Musk.

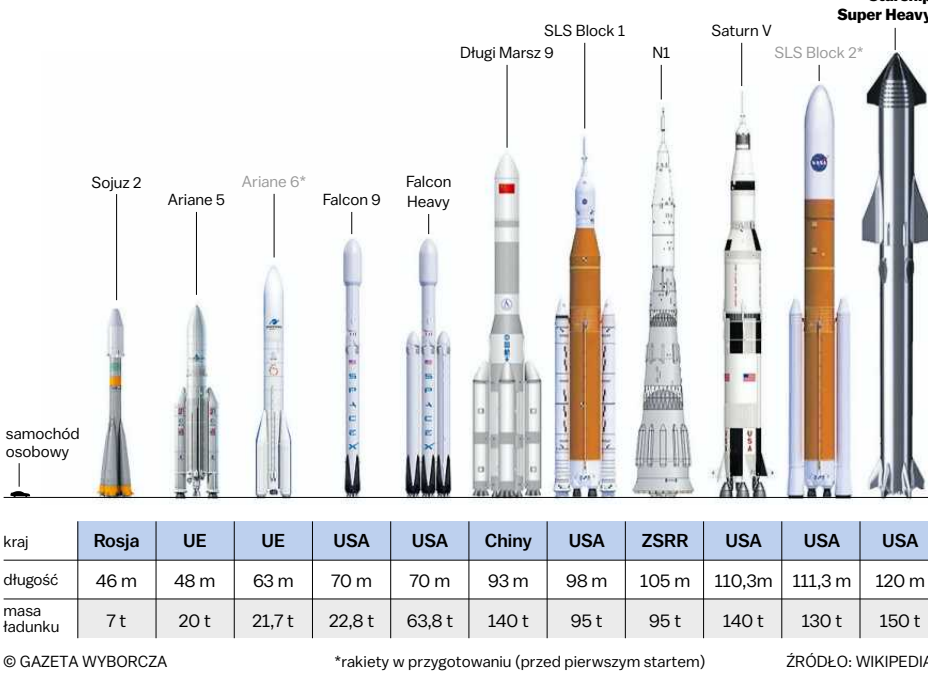
Czy Starship spełni nadzieje?

Musk tonuje oczekiwania. Napisał na Twitterze, że w dziewiczym locie wszystko może się zdarzyć. To normalne, że rakietą doświadczają jakiejś awarii podczas pierwszego startu. Szansę na udaną próbę oceniał na 50 proc., a za sukces uzna każdy start, w wyniku którego nie ulegnie zniszczeniu platforma startowa, bo jej odtworzenie byłoby najtrudniejsze i zajęłoby najwięcej czasu.

Zniszczeniem samego statku czy rakiety nikt w SpaceX specjalnie się nie przejmuje. Poprzednie prototypy także często ulegały zniszczeniu – podczas prób ciśnieniowych czy naziemnych testów silników. Kolejne już czekają na testy. Na tym polega metoda działania SpaceX, dzięki której ta spółka przebojem weszła do kosmicznego biznesu i po ledwie kilkunastu latach zdobyła kontrakt z NASA na transport towarów i ludzi do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, a potem na Księżyc. Teraz celuje o wiele dalej.

W wizjach Muska w przyszłości flotyla tysięcy (!) statków Starship ma odlatywać grupami na Marsa co 26 miesięcy, kiedy Ziemia i Czerwona Planeta znajdą się w sprzyjającym wzajemnym położeniu. Musk marzy o stworzeniu milionowej kolonii na Marsie. To dość utopijne plany, ale jest w nich element racjonalności: na początku Starship i Super Heavy będą sporo zarabiały, wynosząc komercyjne satelity na orbitę ziemską. ●

Starship na tle innych wybranych raket



być pierwszym testem tego zintegrowanego zestawu, który w przyszłości ma zabierać ludzi w podróże międzyplanetarne.

Co istotne, Starship i Super Heavy zostały zaprojektowane tak, aby można było wielokrotnie ich używać, tj. po zakończeniu misji będą powracać i lądować na Ziemi. W swoim dziewiczym locie orbitalnym Super Heavy wróci na Ziemię już po blisko ośmiu minutach. Zawiśnie pionowo tuż nad wodami Zatoki Meksykańskiej niedaleko wybrzeża Teksasu. Potem operatorzy pozwolą mu wpaść do wody i zatonać. Ten egzemplarz nie zostanie jeszcze przechwycony i odzyskany.

Natomiast Starship ruszy w podróż dookoła Ziemi (na maksymalnej wysokości ok. 235 km, czyli poniżej orbity Międzynarodowej Stacji Kosmicznej) i ponownie wejdzie w atmosferę ziemską nad Pacyfikiem, na północ od Hawajów. Uderzy w ocean i zatonie 90 minut po starcie. Także nie będzie jeszcze odzyskany. Pierwszy lot ma tylko pokazać jego możliwości.

Trwa rewolucja w branży

W przyszłości jednak zarówno Super Heavy, jak i Starship mają lądować pionowo w sposób kontrolowany tak jak rakiety Fal-

9 średnio co cztery dni startują w kosmos. Ten rok zamknie prawdopodobnie aż 90 lotami! (Co zbliży SpaceX do starego rekordu w liczbie raket wystrzelonych w ciągu roku, który należy do ZSRR – 101 raket wysłanych w roku 1982).

Musk powiedział, że chciałby, aby starty raket odbywały się równie rutynowo i często jak loty samolotów pasażerskich. Na razie jeszcze do tego daleko, bo przygotowanie rakiety Falcon 9 do ponownego lotu zajmuje wciąż kilka tygodni. Także platformy startowe na kosmodromie Kennedy Space Center na Florydzie czy w bazie Vandenberg w Kalifornii potrzebują około tygodnia przerwy między startami.

Ale przecież jeszcze dekadę temu Amerykanie byli w stanie przygotować ledwie 15-20 startów na rok, a pionowe lądowanie rakiety po wykonaniu misji i ponowne jej zatankowanie i wystrzelenie było uznawane za niezwykle osiągnięcie. Dziś to już rutyna.

Cel: Księżyc i Mars

Jednym z najbardziej zainteresowanych klientów SpaceX jest amerykańska agencja kosmiczna NASA, która przyznała spółce Muska prawie 3 mld dol. na opracowanie wariantu statku Starship, który ma zanieść

PO PRAWDZIE

Kaczyński pod twoim prysznicem

Gdziekolwiek jesteś, cokolwiek robisz i z kimkolwiek, oni to widzą i słyszą.

Agnieszka Kublik



PiS-owcy podejrzają cię w hotelowej łazience, nagrywają Pegasusem w domu i na ulicy, skążą za cokolwiek komisją McCarthy’ego, pardon, Kaczyńskiego. Nie, nie fantazjuję, opisuję, jak jest. Gdziekolwiek jesteś, cokolwiek robisz i z kimkolwiek, oni to widzą i słyszą. Oni wiedzą.

W tym tygodniu zszokowani czytaliśmy o nowym skandalu tej władzy. Otóż w hotelach zarządzanych przez Polski Holding Hotelowy służby specjalne inwigilują gości. To gruba sprawa, bo PHH ma pod sobą i lokalne obiekty w mniejszych miastach, takie, w których zatrzymują się samorządowcy w delegacji, rodziny na wakacjach, drobni biznesmeni w podróży, i hotele takiego kalibru jak Marriott International, Hilton International, Best Western Hotels & Resorts, InterContinental Hotels Group i Louvre Hotels Group.

PHH to państwowa spółka, a jej prezes Gheorghe Marian Cristescu przyjaźni się z Joachimem Brudzińskim. Tym samym, który co roku zabiera na wakacje Jarosława Kaczyńskiego. Cristescu to zatem wcale nie jakiś tam hotelarz, ma Krzyż Zasługi od Dudy i Nagrodę Wolności Słowa od reżimowej „Gazety Polskiej Codziennie”.

W tych hotelach PiS nie śledzi, rzecz jasna, wszystkich gości, ale tych, których na cel wzięła władza. Np. opozycję, gdy spotkała się z przywódczynią demokratycznej, antylukaszenkowej Białorusi Swiatłaną Cichanouską. Byli nagrywani przez służby ręką w rękę z pracownikami hotelu.

Służby z obsługą hotelu miały kolekcjonować kompromitujące materiały na Bartosza Kramka, opozycyjnego działacza, jednego z liderów fundacji Otwarty Dialog. Chodziło o informacje o jego operacjach bankowych i możliwość przeszukiwania jego pokoju hotelowego. Miały być i „lekarz sanitarny”, czyli podsłuch, i obserwacja założona przez służby.

W tych hotelach już nikt nigdy nie może czuć się bezpiecznie. A w innych?

A przecież służby mają jeszcze Pegasus, czyli superprogram do elektronicznej inwigilacji, teoretycznie terrorystów. U nas za takich władza uznała opozycję i słuchała np. Krzysztofa Brejzy, gdy był szefem sztabu wyborczego PO. Słuchała prokuratorki Ewy Wrzosek i adwokata Romana Gierty-

cha. Tego, który bierze sprawy związane z aferami ludzi PiS.

Pegasus jest sprytny. Instaluje się na urządzeniu ofiary np. poprzez kliknięcie w specjalny, pozornie niewinny link. Działa na telefonach z Androidem i z iOS, czyli praktycznie na wszystkich.

Pegasus jest pracowity. Przejmuje totalną kontrolę nad zainfekowanym urządzeniem, potrafi przechwyćć wszystko: zdjęcia, nagrania wideo, e-maile, SMS-y, listę kontaktów. Może śledzić lokalizację, nagrywać otoczenie smartfona w wersji audio oraz wideo, podsłuchiwać szyfrowane transmisje dźwięku oraz odczytywać zaszyfrowane wiadomości z różnorodnych aplikacji.

Jest przebiegły. Ma system autodestrukcji aktywowany, gdy klient programu na urządzeniu ofiary przez dłuższy czas nie komunikował się z serwerem Pegasus lub gdy pojawia się ryzyko zdemaskowania.

W Polsce Pegasus był aktywny od listopada 2017. Citizen Lab wykrywał program w sieciach ogólnokrajowych – w Polkomtelu, Orange Polska, T-Mobile Polska, Vectrze i Netii – ale lokalni operatorzy internetu, jak Fiberlink i Prosat, też się przed nim nie uchronili. Już nigdy nikt z telefonem w tych sieciach nie może poczuć się bezpiecznie. A w innych?

Do tej samej kategorii działań państwa wymierzonych w obywateli zaliczam państwową komisję ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007-22. Sejm uchwalił właśnie jej powstanie.

To ciało bezprecedensowe, ma oskarżać, sądzić i skazywać. Zasiadają w nim politycy wskazani przez sejmową większość, szefa wskaże premier.

Komisja dostała ogromne możliwości – nieograniczony dostęp do wszystkich śledztw, umów, tajemnic przedsiębiorstw, telefonów i maili. Będzie mogła zażądać od każdego organu każdego dokumentu, będzie miała prawo zlecać prokuratorowi przeszkanie i prowadzić kontrolę operacyjną. Będzie mogła wnioskować o uchylenie tajemnic – adwokackiej, lekarskiej, dziennikarskiej.

Może wymierzać horrendalne kary, m.in.: uchylenie decyzji administracyjnej wydanej w wyniku wpływów rosyjskich, wydanie zakazu pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi do 10 lat oraz cofnięcie i zakaz poświadczania bezpieczeństwa na 10 lat.

Za nieobecność przed komisją można będzie dostać do 20 tys. zł kary, za kolejną – do 50 tys.

Od jej decyzji nie będzie się można odwołać, a jej członkowie za nic nie będą odpowiadać. Ustawa powiada bowiem, że przewodniczący oraz członkowie komisji nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności (cywilnej, administracyjnej, karnej, odszkodowawczej) za działalność w komisji.

No i wreszcie – pierwszy raport komisji ma być przedstawiony 17 września, czyli w rocznicę napaści Związku Radzieckiego na Polskę w wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow. Mniej więcej miesiąc przed wyborami, które dla Jarosława Kaczyńskiego są bojem o życie.

Jeśli przegra, straci wszystko – honor i wolność.

Jeśli wygra, honor i wolność odbierze wszystkim swoim przeciwnikom.

Ta kampania wyborcza nie będzie ani uczciwa, ani sprawiedliwa. Jeszcze nigdy po 1989 roku władza nie miała aż tylu narzędzi do niszczenia innych. I jeszcze nigdy nie wykorzystywała ich tak chętnie i gorliwie. ●

Przedwyborcza wojna atomowa

Biden powiedział jasno: elektrownia jądrowa ma być amerykańska. Dlaczego Sasin wyskakuje z Koreańczykami?

Dominika Wielowieyska



Jesteśmy ostatnio bombardowani komunikatami o postępie projektów atomowych i można odnieść wrażenie, że zaraz będziemy mieli ze trzy elektrownie. Spokojnie, to tylko kampania wyborcza. W tle jest ostra rywalizacja różnych frakcji wewnątrz PiS. Poza tym politycy rządzący starają się zabezpieczyć swoją przyszłość w razie przegranej.

Dzisiaj mamy na składzie trzy projekty atomowe.

USA-Polska-Westinghouse – duży atom

Konsorcjum Westinghouse i Bechtel oraz spółka Polskie Elektrownie Jądrowe planują na Pomorzu budowę pierwszej polskiej elektrowni jądrowej. Promotorem tej inwestycji byli Piotr Naimski, były pełnomocnik rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej, od lat szara eminencja od geopolityki w obozie prawicy, i sam premier Morawiecki.

To najbardziej zaawansowany projekt, ale jest tu wiele znaków zapytania. Szczególnie o poziom finansowania przez stronę amerykańską. Nie wiadomo też, czy Amerykanie wezmą odpowiedzialność za całość budowy. Na razie wolą odpowiadać oddzielnie za dostawę urządzeń – Westinghouse – i za prace budowlane – Bechtel. A kompleksowo ma być odpowiedzialny polski PEJ, który żadnej takiej elektrowni nigdy nie zbudował. To wygodny dla USA układ. Nie wiadomo wreszcie, jaka będzie pomoc publiczna i czy na jej zasady zgodzi się Komisja Europejska. – Mielibyśmy z tym problemy Czesi, o niebo lepiej przygotowani i bardziej zaawansowani w pracach – mów jeden z moich rozmówców.

To wszystko przy założeniu, że KE odpuszczy rządowi niekonkurencyjny wybór technologii. Toteż zapowiedzi rządu, w tym dotyczące terminów zakończenia kolejnych etapów inwestycji, należy traktować jedynie w kontekście wyborczym.

Korea-Solorz-Sasin – duży atom

W październiku nadzorowany przez wicepremiera i ministra aktywów państwowych Jacka Sasina koncern energetyczny PGE i kontrolowana przez miliardera Zygmunta Solorza-Żaka spółka ZE PAK podpisały list intencyjny z koreańskim koncernem KHNP w sprawie współpracy przy budowie elektrowni w Pątnowie.

Ta inwestycja ma być przedsięwzięciem prywatnym. Jak pisał ostatnio Andrzej Kublik, grupa bliskich współpracowników Sasina dostała posady we władzach spółki jądrowej powołanej przez PGE i PAK. Konkurencja atomowa się zaostrza: zwolennicy tego projektu zwracają uwagę, że media z kapitałem amerykańskim chętnie informują o projektach z udziałem USA, a o koreańskim milczą. Ale Solorz ma swoją telewizję i portal, gdzie może ogłaszać dobre wieści.

USA-Obajtek-Sołowow – mały atom

Kilka dni temu usłyszeliśmy, że amerykański EXIM Bank deklaruje 3 mld dol., a agencja

DFC – 1 mld dol. na rozwój małych reaktorów atomowych (SMR) przez spółkę Orlen Synthos Green Energy. Poinformował o tym sam ambasador USA Mark Brzezinski. Wspomniana polska spółka to dziecko prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka oraz prezesa Synthosu Michała Sołowowa, od lat jednego z najbogatszych Polaków. Budowa małych reaktorów to projekt przyszłości: nikt dokładnie nie wie, jak to będzie działać i na ile będzie opłacalne.

Za kulisami przygotowani do tych projektów toczy się gra polityczna. Początkowo rząd PiS miał tylko jeden program rządowy, firmowany przez Morawieckiego, który przewidywał dwie elektrownie: jedną budowałiby Amerykanie, drugą Francuzi, a konkretnie koncern EDF. Kalkulacja Morawieckiego była taka: jeśli damy tę inwestycję Francuzom, Macron będzie nas bronił w Europie przed krytyką za łamanie zasad praworządności. Co prawda Paryż odniósł się niechętnie do takiego dealu, ale Morawiecki zakładał, że tak czy owak bliskie relacje z Francuzami będą naszym atutem w walce o odblokowanie unijnych pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy.

Znienacka Sasin ogłosił, że z Koreą i Solorzem stworzy „prywatną” elektrownię. Wizja budowy elektrowni przez EDF zaczęła się oddalać, więc zaskoczeni Francuzi tym bardziej niechętnie patrzyli na rząd PiS. Teoretycznie projekt Sasina i Solorza ma być finansowany z pieniędzy prywatnych, ale Francuzi wiedzą, że tak kosztowne i jednocześnie strategiczne przedsięwzięcia wcześniej czy później są dotowane przez państwo. A dla wszystkich pieniędzy publicznych nie starczy.

Zresztą odblokowanie KPO i tak stoi pod znakiem zapytania, bo Jarosław Kaczyński nie panuje już nad swoim obozem i nie jest w stanie przepchnąć przez Trybunał Julii Przyłębskiej ustawy o Sądzie Najwyższym. Tej, która miała odblokować KPO.

Kaczyński szantażuje Waszyngton?

Ofensywa Sasina, popierana przez innych wrogów Morawieckiego, a więc szefa MON Mariusza Błaszczaka oraz ministra sprawiedliwości i lidera Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobrę, uderzyła w premiera. Niewykluczone, że zielone światło dał Kaczyński, kalkulując, że wizja współpracy z Koreą będzie kartą przetargową w negocjacjach finansowych z Amerykanami. Projekt koreański ma wiele zalet dla Sasina, który w razie przegranych wyborów zapewne liczy na posadę w imperium Solorza.

Ten z kolei z pomocą swoich ludzi chce też pozytywnie do swojego projektu nastawić obecną opozycję. Argumentuje, że tylko on wyklada swoje prywatne pieniądze, Polska atomu potrzebuje, a im więcej projektów, tym większe prawdopodobieństwo, że któryś wypali. Z kolei krytycy wskazują, że projekt koreański ma charakter antyunijny, bo o ile Unia USA toleruje, o tyle nie jest zbyt zadowolona z wpuszczania na swój teren Korei. Unia, a szczególnie Francja, potentatka na atomowym rynku, boi się, że elektrownia KHNP zmieniłaby łańcuch dostaw całego cywilnego rynku atomowego.

Z obietnic rozliczą nas za dwie kadencje

Projekty atomowe to wieloletnie inwestycje. Dzisiaj można obiecywać masę rzeczy, a i tak nikt z tego polityków nie rozliczy, bo efekty poznamy dopiero po upływie dwóch kadencji. Każdy projekt kosztuje gigantyczne pieniądze, dlatego trudno przewidywać, że wszystkie trzy inwestycje zakończą się sukcesem. Ale politycy PiS, składając kolejne górnolotne deklaracje, wychodzą z założenia, że „po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy”, że Polska atomową potęgą będzie. ●

Tekturowy czek od ministra

Uniwersytet Wrocławski wybiera na rektora współpracownika Opus Dei, Akademia Górniczo-Hutnicza zaprasza arcybiskupa Jędraszewskiego, by pokropił nowy superkomputer, uczelnie medyczne podpisują „deklarację Półtawskiej”

Majcherek

Po ujawnieniu przepompowywania gigantycznych pieniędzy z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju do spółek zakładanych przez funkcjonariuszy obecnej władzy kilkoro naukowców poskarżyło się, że w wyniku tej afery wstrzymano im wypłaty z grantów finansujących ich badania. Nie wynikało z ich wypowiedzi, czy bardziej oburza ich sposób rozgrabiania publicznych środków przez partyjnych działaczy, czy fakt, że zdemaskowanie tego zablokowało transfery dla nich samych. Jeśli to drugie, mielibyśmy do czynienia z osobliwą odmianą kalkulacji „może i kradną, ale się dzielą”. Nieobcą wielu naukowcom i pracownikom akademickim.

W cieniu skandalu wokół organizacji discopolowej balangi pisowskiego funkcjonariusza w Operze Wrocławskiej odbyła się wizyta uczestniczącego w tej imprezie ministra Czarnka na Politechnice Wrocławskiej, gdzie wręczył rektorowi tekturowy czek na ponad 40 mln. Rektor przyjął go z wdzięcznością, której dał wyraz szerokim uśmiechem nad owym drogocennym kartonem. Oczywiście dla dobra uczelni, bo minister obiecał też, że zgodzi się na uruchomienie na uczelni (przypomnijmy: politechnice) studiów medycznych. Oplaciło się więc podwójnie.

W tymże Wrocławiu poprzedni rektor tamtejszego uniwersytetu w ogólnych sformułowaniach poparł pracowników i studentów sprzeciwiających się antyaborcyjnemu orzeczeniu Trybunału Przylębskiej i ogłosił godziny rektorskie, aby umożliwić udział w protestach. Uczelniana „Solidarność”, skądinąd stanowiąca rutynowe zaplecze pisowskiej władzy w środowiskach akademickich i naukowych, doniosła na niego do ministra Czarnka, że nielegalnie zarobił kilkadziesiąt tysięcy złotych. Minister go odwołał, senat uczelni wyraził oburzenie na naruszanie jej autonomii, zaprotestowali członkowie Kolegium Rektorów Uczelni Wrocławia i Opola. Po pewnym czasie pracownicy uniwersytetu doszli jednak do wniosku, że przedłużanie stanu zawieszenia szkodzi uczelni, i postanowili wybrać nowego rektora. Postawili na współpracownika Opus Dei, który na początek zapowiedział podwyżki płac. A potem załatwił od szefa rządu 80 mln na centrum badań fizycznych i chemicznych, nadając mu imię ojca premiera, Kornela Morawieckiego. Oplaciło się więc iownie jeszcze nieraz opłaci.

Magnificencja zadeklarował troskę, aby „uczelnia była neutralna światopoglądowo, religijnie i politycznie”, niemniej postanowił wystąpić w kościele, aby z posłanką Beatą Kempą wziąć udział w „obronie św. Jana Pawła II”.

Rektor krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, wyżej rangowanej od Politechniki Wrocławskiej, a więc mniej zależnej od łaskawości władzy, też nie zmarował okazji. Zaprosił Czarnka na inaugurację roku akademickiego w towarzystwie arcybiskupa Jędraszewskiego, powszechnie znanego jako homofobiczny fanatyk i fundamentalista, aby pokropił nowy superkomputer.

AGH to macierzysta uczelnia obojga rodziców prezydenta Dudy. Tego sa-

meo, któremu rektor dał się powołać do jego rady naukowej. Gremium to zostało ośmieszone w dniu wręczania nominacji zbiorową fotografią, na której widnieje kilkunastu wygarnituowanych mężczyzn bez udziału choćby jednej kobiety, co dało komentatorom niezły powód do szyderstw.

W owej radzie magnificencja z AGH spotkał rektora Uniwersytetu Warszawskiego, uczelni aspirującej do statusu najlepszej w Polsce. Oprócz rady przy prezydencie zasiada on lub zasiadał – trudno za nim nadążyć – w kilkunastu radach nadzorczych spółek skarbu państwa, w tym także tych przepompowujących gigantyczne środki do rozmaitych pisowskich fundacji i organizacji, a więc legitymizuje lub legitymizował ten proceder. Ostatnio wszedł w skład rady dyrektorów norweskiej spółki Orlenu. Powszechnie wiadomo, że ma dobre relacje z różnymi funkcjonariuszami obecnej władzy i prawdopodobnie dlatego elektorzy z UW uznali, że jest odpowiednim kandydatem do kierowania uniwersytetem, oczywiście dla jego i ich dobra.

Uczelnie lubelskie nie mają może wysokiego statusu, ale za to niepowtarzalną szansę wynikającą stąd, że minister wywodzi się z ich środowiska. Nie omieszkał go zaprosić na inaugurację obecnego roku akademickiego na tamtejszym Uniwersytecie Przyrodniczym, gdzie Czarnek wygłosił wykład zatytułowany sugestywnie „Polska a niepraworządne działania niektórych organów Unii Europejskiej”. Kilkunastominutową pogadankę zdominowały polajanki pod adresem instytucji unijnych wstrzymujących przelewy dla Polski, w tym polskich uczelni, pod fałszywymi, rzecz jasna, pretekstami naruszania praworządności przez polskie władze. Lubelska profesura w togach i gronostajach nagrodziła ministra brawami. Gospodarze z Uniwersytetu Przyrodniczego zostali docenieni kwotą niemal 15 mln zł na wsparcie Stacji Badawczej i Ośrodka Dydaktyczno-Szkoleniowego Jeździectwa i Hipoterapii (ufffff!). Oplaciło się.

Tezy o paskudnej Komisji Europejskiej i jej szefowej, Niemce Ursuli von der Leyen, które „muszą wrócić na tory praworządności, demokracji i pluralizmu, jakie panują w Polsce pod rządami PiS”, powtórzył minister na Uniwersytecie Rzeszowskim. Trzeba przyznać, że tym razem oklaski nie były rzęsiste, ale wizyta i tak opłaciła się uniwersytetowi, któremu przekazano szpital mający służyć jako klinika uniwersytecka.

W Poznaniu rektor Uniwersytetu Medycznego też orientuje się, jak zyskiwać przychyłość. We współpracy z parafią pod wezwaniem Zwiastowania Pańskiego zorganizował w dniu obchodzonego przez Kościół jako Dzień Świętości Życia konferencję „Etyka w medycynie a życie i zdrowie człowieka” z honorowym udziałem Willema Jacobusa Eijka, holenderskiego kardynała, znanego homofoba i pogromcy in vitro.

Władze i pracownicy uczelni medycznych z całego kraju licznie włączyli się w podpisywanie deklaracji wiary zainicjowanej przez Wandę Półtawską – przyjaciółkę Jana Pawła II, która kształtowała jego poglądy na obyczajowo-

wość i etykę seksualną. Na tej liście akademickiej dewocji figuruje 58 profesorów medycyny, nie licząc doktorów habilitowanych, adiunktów i mniej znaczących pracowników.

W środowisku akademickim i naukowym licznie występują nie tylko koniunkturaliści i oportuniści, są także autentyczni ideowcy i wyznawcy. Ich ekspozyturą są Akademickie Kluby Obywatelskie im. Lecha Kaczyńskiego działające w dziewięciu ośrodkach akademickich i regularnie publikujące oświadczenia potępiające środowisko naukowe za krytykowanie poczyniń pisowskiej władzy. Członkiem AKO (a także niedysyjszym kandydatem do Rady Warszawy z list PiS) jest przewodniczący wspomnianej rady naukowej przy prezydencie.

Środowisko akademickie zostało dość skutecznie spacyfikowane, bowiem nawet pracownicy krytyczni wobec rządów PiS wywierają mniej lub bardziej wyraźną presję na koleżanki i kolegów, aby nie artykułowali publicznie uwag o tych rządach, bo może to zaszkodzić ich uczelniom. Podczas czystek personalnych na krakowskim

Minister Czarnek wygłosił wykład „Polska a niepraworządne działania niektórych organów Unii Europejskiej”. Profesura w togach i gronostajach nagrodziła go brawami. Uczelnię doceniono niemal 15 mln zł dotacji

Uniwersytecie Pedagogicznym padały pod adresem zwalnianych oskarżenia, że działali na szkodę uczelni, krytykując rządzącą ekipę. To sposób myślenia nierzadki w tym środowisku. Każdy głos antypisowski może zostać uznany za pretekst do szynku, czego lepiej unikać, a więc się nie wychylać.

Uczelnie niepubliczne są znacznie mniej uzależnione od łaskawości władzy, ale niektóre też o nią zabiegają. Wyróżnia się w tym Collegium Humanum, założone raptem w 2018 r. i chętnie przyjmujące funkcjonariuszy rządzącej partii obdarzanych prestiżowymi w założeniu dyplomami MBA (Master of Business Administration), pomocnymi w obsiadaniu lukratywnych stanowisk, zwłaszcza w spółkach skarbu państwa. Jak ustalili dziennikarze „Newsweeka”, pisowscy protegowani mogą liczyć na szybką ścieżkę edukacyjną. „Studia można skończyć naprawdę szybko. Nawet w dwa, trzy miesiące” – poinformowała jedna z pracownic. Na opublikowanej w 2021 r. przez PSL liście „tłustych kotów”, obejmującej 357 nazwisk w spółkach skarbu państwa, dziennikarze „Newsweeka” zidentyfikowali ponad 50 absolwentów Collegium Humanum. Są na niej m.in. brat Obajtka (dyrektor w Lasach Państwowych) i stryj prezydenta Dudy (członek rady nadzorczej PKP Cargo). Najwyżsi przedstawiciele pisowskiej władzy, włącznie z prezesem Kaczyńskim, slali do uczelni listy pochwalne i gratulacyjne. Bywa ona nazywana kuźnią pisowskich kadr.

Niezależnie od przymilania się niektórych przedstawicieli środowiska aka-

demickiego do ministra Czarnek ma wobec niego własne plany. Obejmują zmianę hierarchii i rangi mającą wynieść na czołowe pozycje uczelnie katolickie i związane z Kościołem. Płyną do nich, w tym szkoły doktora Rydzika, strumienie pieniędzy. 16-letni aktywista Łukasz Rauhut chciał się dowiedzieć, jak szerokie, ale odmówiono mu informacji. Poszedł więc do sądu i wygrał. Udało mu się ustalić, że od objęcia rządów przez ekipę pisowską resort edukacji i nauki wsparł toruńskiego multiinwestora kwotą niemal 10 mln. Według ustaleń posłanki Hanny Gill-Piątek łączne transfery dla niego z resortu Czarnka w dwóch minionych latach sięgnęły niemal 3 mln. Ale hojnie wspierają uczelnię Rydzika także inne instytucje kontrolowane przez pisowskich funkcjonariuszy, w tym Narodowy Bank Polski, który na dofinansowanie studiów podyplomowych przeznaczył w latach 2018-20 prawie 800 tys. złotych.

Według OKO.press uczelnie katolickie i wydziały teologiczne są dotowane setkami milionów rocznie: Katolicki Uniwersytet Lubelski – 100-200 mln zł, Uniwersytet Kardynała Stefana Wy-

żyńskiego – grubo ponad 100 mln, Uniwersytet Papieski JP II – około 40 mln. Co nie przeszkodziło premierowi w ubiegłym roku zadecydować o dodatkowych środkach dla trzech uczelni katolickich w kwocie 25 mln zł. Do tego dochodzą hojne granty, np. przyznany UKSW w kwocie 7,5 mln zł na badanie... chrystianofobii. Łącznie z dotacją budżetowej korzysta 10 uczelni i wydziałów o profilu wyznaniowym.

Pupilkim resortu jest także Collegium Internarium, założone w 2021 r. przez Ordo Iuris, nawiązujące w nazwie do koncepcji Międzymorza, hołubionej w pisowskich kręgach. Jak odkryli dziennikarze Wirtualnej Polski, na studiach dziennikarstwa kształci ona... 14 studentów, ale otrzymała z ministerstwa co najmniej 2,7 mln zł.

Drugi sposób na podniesienie rangi – a w rezultacie finansowania – uczelni katolickich to obdarzanie wysoką liczbą punktów periodyków w nich wydawanych lub afiliowanych, w których publikują ich pracownicy. Minister pod sam koniec minionego pięcioletniego okresu oceny dorobku naukowego polskich instytucji naukowych przyznał dodatkowe punkty periodykom ze słowem „katolicki” w nazwie lub o takim profilu. Cel jest klarowny: stworzyć z uczelni katolickich nominalną elitę polskich szkół wyższych.

To zaś część nieskrywanego przez PiS planu wymiany elit polskiego społeczeństwa. Czarnek realizuje to zadanie na powierzonym mu odcinku. ●

Janusz A. Majcherek

Przedstawione oceny są prywatnymi opiniami autora

Pareidolia

Twarz Chrystusa objawia się na pizzy, naleśniku, w nadgryzionym batoniku, na żelazku, na obrazie USG.

Michał Rusinek

Michel Foucault uważał, że zanim pojawiło się myślenie naukowe, czyli do XVI wieku, zwornikiem wiedzy było podobieństwo: „ono kierowało w znacznie mierze egzegezą i interpretacją tekstów, ono organizowało grę symboli, umożliwiało poznanie rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Świat zataczał krąg wokół siebie – ziemia powtarzała niebo, twarze odbijały się w gwiazdach, a ziola kryły w łodygach służące ludziom sekrety”.

Podobieństwa trzeba jednak umieć dostrzec. „Abyśmy wiedzieli, że tojad leczy choroby oczu – pisze Foucault – a orzech utarty ze spirytusem winnym pomaga przy bólach głowy, musi nas powiadomić o tym jakieś znamię – inaczej ów sekret pozostałby zawsze w uśpieniu”. Skryte podobieństwa muszą być więc sygnalizowane na powierzchni rzeczy. „Nie jest wolą Boga – powiada cytowany przez Foucaulta Paracelsus – by to, co stworzył na pożytek człowieka i jemu ofiarował, pozostało skryte. A nawet jeśli ukrył niektóre rzeczy, niczego nie zostawił bez zewnętrznych i widzialnych znaków ze specjalnymi oznaczeniami – tak samo człowiek, który zakopuje skarb, oznacza okolicę, żeby mógł go potem odnaleźć”. Świat jest zatem pokryty swego rodzaju hieroglifami, sygnaturami, znamionami, szyfrem.

A potem przyszło oświecenie i wprowadziło naukowy sposób patrzenia na świat. Inne zostały zepchnięte w sferę zabobonu, fanatyzmu, ciemnoty i gusel. Ludzi, którzy chcieli nadal czytać rzeczywistość jak księgę z hieroglifami, traktowano jak szarlatanów lub szaleńców. W języku nauki pojawiły się takie określenia, jak pareidolia, czyli dopatrywanie się znanych kształtów w przypadkowych szczegółach, lub apofenia, czyli skłonność do odnajdywania związków i ukrytych sensów w przypadkowych lub nieznaczających zdarzeniach, obserwowana we wstępnych fazach schizofrenii.

Ale ponoć wszyscy miewamy skłonność do apofenii czy pareidolii i nie musi to być objaw chorobowy. Chcąc nie chcąc, dostrzegamy twarz w gniazdku elektrycznym czy w dziupli w drzewie. Tak ponoć działa nasz mózg, ustawiony na wyłapywanie z tła twarzy i odczytywanie emocji przez nie wyrażanych. Skłonność do wydobywania z chaosu informacji obrazów ludzkich twarzy ma podłoże ewolucyjne. Jak pisał Krzysztof Szymborski: „Człowiek, podobnie jak mrówki czy pszczoły, jest gatunkiem superspołecznym i szybkie rozpoznanie obecności innych ludzi ma ogromne przystosowawcze znaczenie. W szczególności ważne jest szybkie ustalenie, czy dostrzeżona osoba jest znajomym (przyjacielem), czy obcym (wrogiem). Jeśli na dodatek wróg jest ukryty, nasza szybka reakcja może być sprawą życia lub śmierci. Lepiej więc być przewrażliwionym i postrzegać ludzkie twarze nawet tam, gdzie ich nie ma, niż je przegapić”.

Nie zaniedbywałbym jednak – zwłaszcza w naszym kraju – wątku, o którym wspomniał Paracelsus: naszej potrzeby szukania w świecie znaków danych od Boga. Skłonność do ich poszukiwań została wyśmiana przez naukę, ale to nie oznacza, że zaniknęła. Pareidolia polega bowiem często na dostrzeganiu wokół nas nie tyle twarzy osób sobie znanych lub stanowiących potencjalne zagrożenie, ile istot o odmiennym statusie ontologicznym jak Chrystus czy szatan.

Twarz szatana podobno można zobaczyć we włosach królowej Elżbiety II na kanadyjskich banknotach z 1954 roku oraz na zdjęciach dymu nad World Trade Center. Ale najczęściej

w nieoczekiwanych miejscach objawia się twarz Chrystusa: na pizzy, grzance, naleśniku, nachosach, w nadgryzionym batoniku, na żelazku, w zacieku na ścianie, na pniu ściętego drzewa, w zasinieniu na nodze czy na obrazie USG. My, Polacy, mamy olbrzymią galerię pareidolii rodzinnych, zwanych u nas, rzecz jasna, cudami. W 1999 roku w Pajęcznie, w nacieku powstałym na bloku dostrzeżono twarz Jezusa. Lokalny ksiądz proboszcz wstrzymywał się od komentarza, ale – jak donosiły „Wiadomości” TVP – „coraz więcej ludzi nie ma jednak wątpliwości, że widzi twarz Chrystusa. Chce wierzyć, że przyszedł, żeby im pomagać”. W Krakowie, na os. 2. Pułku Lotniczego, na oknie klatki schodowej objawiła się pod koniec lat 80. Matka Boska. W sieci można znaleźć nagranie przedstawiające słońce prześwitujące zza chmury. W tle słychać rozemocjonowany głos kobiety wykrzykującej: „Buzię widzę w tym tęczu!”. Zdanie stało się już skrzydlatym słowem i pojawia się w niezliczonej liczbie memów. Nie zamierzam jednak sztydzić z infantylnego słownictwa czy problemów genderowo-gramatycznych. Cały dialog jest symptomatyczny: niektórzy ludzie mają potrzebę epifanii i pozakościelnego, religijnego, pierwotnego przeżycia. Jeśli mają skłonność do pareidolii, to ta potrzeba bywa im spełniana.

Na szczególny poziom wzniosła pareidolię prof. Krystyna Pawłowicz, sędzia Trybunału Konstytucyjnego. W rocznicę tragedii smoleńskiej, a zarazem w Niedzielę Wielkanocną, umieściła na Twitterze zdjęcie resztek wiadomego wraku ułożonych w kształt samolotu. Fotografię zrobiono od strony dzioba, konstrukcja przypominała więc Chrystusa na krzyżu. Komentarz pani profesor brzmiał: „Ukrzyżowany — Zmartwychwstał”. Wielkie litery wskazują, że chodziło jej o Chrystusa. Dostrzeżenie Go w szczątkach wraku sugeruje tajemniczą, przedświadceniową łączność między śmiercią Chrystusa a śmiercią ofiar katastrofy samolotowej, a więc nadaje owej śmierci charakter religijnej ofiary. Pod wpisem pojawiły się zaraz pytania: kto zmartwychwstał? Czyżby prezydent Lech Kaczyński? Oraz dyskretnie sprostowania, że on jednak nadal nie żyje, a być może Krystyna Pawłowicz myli go z jego bratem bliźniakiem. Owszem, zmartwychwstanie można rozumieć symbolicznie: Jarosław Kaczyński w dużej mierze zbudował obecną potęgę swojej partii na mitologizacji katastrofy, w której zginął jego brat. A więc na swego rodzaju religii ze wszystkimi jej obowiązkowymi elementami, włącznie ze zmartwychwstaniem (partii? idei?).

Nikt jednak nie dostrzegł w tweecie prof. Pawłowicz erudycyjnego odniesienia do wiersza Cypriana Kamila Norwida „Krzyż i dziecko”. Owo dziecko ostrzega ojca, że maszt łodzi, którą płyną, zaraz uderzy w most i „wszystko zginie”. Ojciec odpowiada, że most i maszt tworzą razem znak krzyża, więc nie ma się czego bać, bo to „znak zbawienia”, a więc – innymi słowy – przekonuje, że zmieszczą się śmiało. Płyną więc dalej. Co się wydarza? Nie wiadomo. W ostatniej strofie wiersza dziecko pyta: „Gdzież się podział krzyż?”, i dostaje odpowiedź: „Stał się nam bramą”. Nie mamy jasności, czy oboje uniknęli katastrofy komunikacyjnej, czy też raczej oboje zginęli i owa brama okazała się dla nich bramą do nieba.

Żeby potrafić dostrzec symbol w czymś przypadkowym – jak potrafił Norwidowski ojciec czy jak potrafi realna Krystyna Pawłowicz – trzeba mieć umiejętności, o których pisał Foucault. Umiejętności, które idee oświeceniowe usiłowały w nas zagłuszyć, ośmieszyć lub sprowadzić do chorobowego symptomu. Racjonalistom owych umiejętności pozbawionym warto co jakiś czas przypominać, że oświecenie należy do tych zachodnich nowinek, które wciąż się u nas nie przyjęły. Pareidolia polska nadal ma się dobrze. A tym się różni od pareidolii zagranicznych, że my widzimy wszędzie nie twarze, ale krzyże. Jest krzyż – jest dobrze, jest swojsko. Bo przecież – jak pisał inny romantyczny poeta, Karol Baliński – „tylko pod tym przenajświętszym znakiem/ Polska jest Polską i Polak Polakiem”. ●

Czy wypada oglądać Picassa

Nawet jeśli byłeś jak Joseph Conrad, swego skażonego widzenia nie zmienisz.

Marcin Matczak

Kobieta w żółtym naszyjniku” jest jednym z dowodów na to, że Picasso, którego 50-lecie śmierci właśnie obchodzimy, był artystą wielkim, a człowiekiem podłym. Na obrazie, do którego pozowała Françoise Gilot, matka jego dzieci, na lewym policzku postaci widać czarny punkt. Niestety, to nie znamię. To ślad po zgazonym na twarzy papierosie – dowód przemocy, której Picasso dopuścił się w rzeczywistości, a który przeniósł do sztuki.

W książce „Potwory” Claire Dederer opisuje, jak głosi podtytuł, „dylemat fana”: czy przemocowi mężczyźni, którzy jednocześnie okazali się geniuszami, powinni być potępieni wraz ze swoją sztuką, czy też ich dzieła zasługują na osobny los? Oprócz Picassa w książce jest miejsce dla Ernesta Hemingwaya, Michaela Jacksona, Romana Polańskiego. Ale takich przypadków jest dużo więcej.

Czy wolno fascynować się książkami Heideggera, wiedząc, że był nazistą? Czy na podziw zasługują dzieła Jeana-Jacques’a Rousseau, który umieścił w przytulku pięcioro swoich dzieci i publicznie podkreślał, że nie widzi w tym nic złego? Czy wolno śpiewać „Wygnanie z raj” Kaczmareckiego, wiedząc, że sam autor najwyraźniej zasługiwał na lanie mieczem pańskim?

Trudno jest na te pytania odpowiadać mężczyźnie w świecie, w którym poglądy przypisuje się ludziom na podstawie tego, kim są, a nie na podstawie tego, co myślą. Jeśliś facet, łatwo oskarżyć cię o solidarność z patriarchatem, gdy powiesz cokolwiek choćby neutralnego o potworze, nawet jeśli nie bronisz jego (bo nie ma kogo), ale artefaktu, czyli jego dzieła. W czarno-białym świecie wojny wszystkich ze wszystkimi różnica między autorem a jego twórczością jest zbyt subtelna, by ją uwzględnić.

Pewnie dlatego facet Jan Kłata w ostatnim wywiadzie dla „Wyborczej” mówi: „Ludziom nie wolno odbierać możliwości refleksji nad światem i nad sobą samym za pomocą arcydzieł, które zostały stworzone przez strumień piękności. Możemy wsadzić Polańskiego do pierdła, ale odpieprzmy się od »Chinatown«.” No właśnie: arcydzieła stworzone przez strumień piękności – czy to tylko subtelna metafora zaciemniająca obraz przemocowca? Przecież lud domaga się jednoznaczne go potępienia.

Do dylematu fana można podejść na dwa sposoby. Pierwszy – uznajemy, przyjmując narrację typową dla myśli lewicowej, że promowanie dzieła promuje twórcę, a więc skoro twórca był potworem, promowanie dzieła to promowanie potworności. Nie ma tu więc żadnego dylematu. To, kim jesteś, zarazą to, co tworzysz. Stanowisko to wiadać na przykład w myśli postkolonialnej, zgodnie z którą książki białych opisujących nie ich świat należy odrzucić, bo nawet jeśli byłeś jak Joseph Conrad, swego skażonego białością widzenia nie zmienisz i przemycisz je do dzieła.

A skażenie ma to do siebie, że się rozszerza – na przykład na czytelników – a więc trzeba mu postawić tamę. Tak samo jeśli jesteś potworem, to, co wytworzyłeś, jest skażone twoją potwornością i dlatego zasługuje na potępienie jak ty sam.

To myślenie, choć lewicowe, jest trochę religijne, co może zaskakiwać. Jak w świętych księgach, jakoś duchową dzieła ocenia się przez to, czy jego autor posiadał pewne przymioty. Innymi słowy, czy był odpowiednim duchem natchniony. Duch kolonializmu wyklucza uznanie dzieła za warte propagowania, podobnie z duchem patriarchatu czy, jak widzimy ostatnio, z duchem rosyjskości. Boykot Tolstoja czy Czajkowskiego w związku z napaścią Rosji na Ukrainę ma ten posmak zwalczania herezji, palenia książek i partytur na tym samym stosie, na którym pali się twórcę, a przynajmniej jego tożsamość. To takie nałożenie bibliograficzno-muzycznych sankcji na wszystko, co złe i od zła pochodzi.

Ale można do relacji autor – dzieło podejść inaczej, na przykład za radą Cézanne’a, który mówił, że jedynym dążeniem artysty musi być milczenie. „Musi zdusić w sobie głosy uprzedzeń, musi zapomnieć, zawsze zapominać, ustanowić ciszę, być doskonałym echem. Wtedy krajobraz wypisze się sam na jego wrażliwej rysownicy”. Trudno przecież winić fale powietrza za to, że od nędznego materiału się odbiły, trudno krytykować rysownicę, nawet jeśli brudne ręce ją trzymały.

Podobnie sprawę twórców-potworów ocenilby kolejny biały facet, czyli Mondrian: „Pozycja artysty jest skromna – jest on w zasadzie kanałem”. To z kolei interpretacja Jungowska: niektórzy z nas mają moc medium. Uzyskują wgląd w zbiorową podświadomość, mają wyjątkową, choć wybiórczą wrażliwość (na sztukę, nie na ludzi, jak pokazuje kasus Picassa) i zdolność, by to, co odkryją po drugiej stronie, zamknąć w komunikowalny kształt. Jak argonauci wybierają się w nieznaną krajinę, eksplorują je i wracają, przynosząc swoje opowieści jak lupy.

Czy wracają ze stresem pourazowym, czy też zawsze byli przemocowymi, czy też przekonani o swojej wyjątkowości myślą, że więcej im wolno – nie wiadomo. Wiadomo, że to oni są rurą, przez którą przepływa Kłatowy strumień piękności. A on, choć niesie piękno, prawdę i przez moc katharsis innych oczyszcza, niesie też jakiś szlam, który dość łatwo w rurze się osadza. Medium za wrażliwość płaci cenę, choć nie jest jasne, jaki tu związek przyczynowy dokładnie zachodzi. Czy wrażliwość jest powodem szaleństwa, czy też szaleństwo jest warunkiem koniecznym wrażliwości? Jedno jest jasne – nic nie usprawiedliwia przemocy.

Kiedy o sprawie twórca – dzieło pomyśli się łaskawiej, stare powiedzenie, by nie zabijać posłańca, który niesie złą nowinę, można zamienić na wezwanie, by nie zabijać nowiny, którą niesie zły posłaniec. Zgadzaając się z mądrością, że tam, gdzie pali się książki, w końcu zaczną się palić ludzi, można apelować, by nie palić książek tych, którzy metaforycznie na spalenie zasługują.

Media, kanały, doskonałe echa nie musiały skazić tego, co udało im się usłyszeć, zobaczyć i przekazać dalej. Po to w końcu wymyśliłiśmy pismo i sztuki wizualne, by idealne artefakty dało się oddzielić od ich wadliwych twórców.

Tom napisał ją, miłośnik Kaczmareckiego i czytelnik Heideggera, beneficjent patriarchatu i nieświadoma ofiara jego propagandy. ●

Śmiertelność na OIOM-ach w Polsce jest najwyższa w Europie.

Judyta Watoua

I znacznie wyższa niż w wielu krajach na świecie. Powód: wielu pacjentów zamiast intensywnej terapii ma terapię daremną. Lekarze udają, że ich leczą, z góry wiedząc, że to nic nie da.

WALKA O ŻYCIE I ZDROWIE MĘŻA MARSZAŁEK

„Pacjenci przebywający w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Legnicy są leżeni zgodnie z obowiązującymi standardami medycznymi oraz ze wskazaniami, wynikającymi ze stanu zdrowia, aktualnej wiedzy medycznej, dostępnymi metodami, a także zasadami etyki zawodowej oraz z należytą starannością” – oświadczyła Anna Płotnicka-Mieloch, dyrektorka szpitala, po tym jak Radio ZET ujawniło, że na oddziale intensywnej terapii przebywa od

bo nie dbamy o zdrowie i kondycję tak jak mieszkańcy krajów zachodnich i za późno zgłaszamy się do lekarza. Owszem, mniej dbamy o zdrowie, ale przecież do leczenia mamy też trudniejszy dostęp. A on jeszcze jako prezes NFZ pozwolił na początku epidemii, by szpitale i przychodnie w ogóle wstrzymały na długie tygodnie wszelką diagnostykę i normalne leczenie. Nawet się o tym nie zająknął. Ani o tym, że ani trochę nie obchodził go fakt, że w jednych szpitalach umierała połowa pacjentów z COVID podłączonych do respiratora, a w innych – prawie 100 proc. przyjętych.

Ministra nie obchodziło to, że pacjenci z COVID byli u nas po prostu gorzej leżeni. Tymczasem do niego właśnie należała kontrola efektywności leczenia. Choćby po bieżącej analizie można było przeprowadzić na podstawie danych zbieranych przez NFZ oraz w rejestrze covidowym prowadzonym przez Instytut Kardiologii w Aninie. Po naszym tekście posłanka Marcelina Zawisza z Lewicy poprosiła o takie dane w NFZ. Dostała tabelkę, w której w zależności od śmiertelności szpitale podzielono na cztery grupy. Wprost wynikało z niej, że w zasadzie NFZ nie robi wielkiej różnicy, czy w danym szpitalu przeżywa co czwarty czy co drugi pacjent.

stwowego Zakładu Higieny napisali artykuł o tym, że śmiertelność na polskich oddziałach intensywnej terapii jest drastycznie wyższa niż w innych krajach.

– Dane o śmiertelności w Polsce tak dalece odbiegały od tego, co notuje się w innych krajach, że początkowo żadne pismo nie chciało tego opublikować, obawiając się szoku – wspomina dr Weigl.

Ostatecznie tekst ukazał się w „Intensive Care Medicine”, ale nie w formie artykułu, tylko niedługiego listu. Dane z rejestrów prowadzonych w innych krajach zestawiono w nim z danymi o leczeniu w oddziałach intensywnej terapii w Polsce zbieranymi w PZH. „Włączono wszystkich dorosłych pacjentów leczonych na ogólnych oddziałach intensywnej terapii w Polsce w okresie od 1 stycznia do 31 grudnia 2012 r. Nie uwzględniono pacjentów przyjętych na wysokospecjalistyczne oddziały intensywnej terapii (oddział oparzeń, oddział kardiologii, neurochirurgii)” – zaznaczyli autorzy. Wynik: śmiertelność w Polsce – 42 proc., w innych w innych krajach europejskich – od 6,7 (Szwecja) do 17,8 proc. (Włochy). W Ameryce Północnej – 7,2 proc., w krajach Bliskiego Wschodu – ponad 30 proc., w Brazylii – zaledwie 9,6 proc., w Tajlandii – 13,9 proc. a w Chi-

lu chorych przyjmowanych na oddziały” – czytamy w omówieniu artykułu.

PODŁĄCZASZ DO APARATURY I NIC NIE MUSISZ ROBIĆ

Kontekst sytuacji z mężem marszałek Wittek sprawia, że problem intensywnej terapii nagle stał się polityczny. Moi rozmówcy nie chcą mówić pod nazwiskiem, ale rozmawiają chętnie.

– Pyta pani, dlaczego nie mamy rejestru? Bo pokazałby drastyczną prawdę o naszych wynikach. Jest kilka osób, które bardzo się o to starały, lecz większość środowiska tego nie chce. Lepiej się nie konfrontować z rzeczywistością. A naszym problemem nie jest to, że stosujemy gorsze metody leczenia. Nie mamy gorszego sprzętu niż w Mongolii. I wcale nie jesteśmy niedofinansowani. Naszym głównym problemem jest to, kogo przyjmujemy na oddział. Staże na oddziałach we Włoszech czy Hiszpanii uświadomiły mi, że zajmujemy się pacjentami, których tam na intensywną terapię albo by nie przyjęto, albo wypisano by ich w momencie, kiedy według wszelkich wytycznych i algorytmów

TERAPIA DAREMNA ZAMIAST INTENSYWNEJ

dwóch i pół roku w stanie wegetatywnym mąż marszałek Elżbiety Witek.

Płotnicka-Mieloch nie jest lekarką i żaden lekarz pod podobnym oświadczeniem pewnie nie chciałby się podpisać. Bo nie ma takich standardów i takich wytycznych, które pozwalałyby trzymać pacjenta przez dwa i pół roku na intensywnej terapii. Wbrew słowom oburzonego publikacją prezesa PiS w tym przypadku nie ma już miejsca na walkę „o życie i zdrowie ciężko chorego męża”. Ona już dawno się skończyła. Jest tylko opieka, która mogłaby być sprawowana gdzie indziej.

NFZ o tym wie. Jednak zamiast wysłać do szpitala w Legnicy kontrolę, ogłosił, że to wcale nie jest wyjątek, bo w ciągu ostatnich pięciu lat aż 83 chorych w całym kraju przebywało na OIOM-ach powyżej roku. Tym samym pokazał, że toleruje terapię daremną powszechnie uprawianą na wielu oddziałach intensywnej terapii w Polsce i nie zamierza nic z tym robić. Podobnie jak kolejni ministrowie zdrowia.

BO NIE ĆWICZYMY I SIĘ NIE SZCZEPIMY

„Tolerancja dziadostwa” – tak o intensywnej terapii w Polsce powiedział jeden z profesorów, z którym rozmawiałam przed ponad rokiem, pisząc artykuł o przyczynach 200 tys. nadmiarowych zgonów w Polsce.

Minister zdrowia Adam Niedzielski mówił wtedy, że jesteśmy sami sobie winni,

Tydzień temu w Sejmie odbyło się posiedzenie podkomisji ds. zdrowia publicznego. Ministerstwo Zdrowia przedstawiło na nim nowy dokument na temat przyczyn wysokiej umieralności w czasie pandemii. Znow jesteśmy sami sobie winni, bo na pierwszym miejscu wymienia teraz niższy poziom wyszczerpienia niż w innych krajach. Ale nic o tym, że to kraje Zachodu, w których nie dopuszczono do tego, by lekarze przestali normalnie badać pacjentów, i w których od lat monitoruje się efekty leczenia, w tym na intensywnej terapii.

BO PRZYJMujemy PACJENTÓW W DUŻO GORSZYM STANIE

„Obywatel ma prawo wiedzieć, dlaczego w jednych oddziałach śmiertelność wynosiła 50, a w innych 100 proc. Tymczasem, będąc lekarzem intensywnej terapii, nie mam żadnych możliwości dowiedzenia się, ile pacjentów podłączonych do respiratora w Polsce udało się uratować. W krajach dysponujących rejestrami informacje te są dostępne zarówno dla wybranych grup zawodowych, jak i w przestrzeni publicznej” – pisał do „Wyborczej” przed rokiem dr Jan Adamski, zmarły już anestezjolog, który pracował w Finlandii. W 2015 r. wraz z dr. Wojciechem Weiglem, prof. Andrzejem Kańskim ze szpitala na Banacha, Michałem Hultströmem z Uniwersytetu w Uppsali i dr. Pawłem Goryńskim z Pań-

nach – 16,3 proc. Niższa śmiertelność była nawet w Mongolii – 23,5 proc. Za to media na długości pobytu chorych na intensywnej terapii jest kilkakrotnie wyższa: ponad dziesięć dni wobec czterech w takich krajach jak Niemcy czy Norwegia.

– Nie wiemy, jak wygląda śmiertelność w krajach byłego bloku wschodniego, bo rejestry intensywnej terapii istnieją tylko w Europie Zachodniej, a nasze dane z Polski były pierwszymi publikowanymi. Jednak przejrzałem dostępne dane z całego świata i nie znaleźliśmy żadnego kraju, który miałby wyższą od Polski śmiertelność na intensywnej terapii – mówi dr Weigl.

Wybuchła afera. Autorom listu zarzucono błędy metodologiczne. Anestezjologzy oburzyli się, że zarzuca się im, że gorzej leczą. A nie leczą gorzej, tylko przyjmują na intensywną terapię pacjentów w dużo gorszym stanie niż w innych krajach.

Po latach potwierdziły to wyniki analizy przeprowadzonej przez zespół prof. Wojciecha Szczeklika z UJ opublikowane w zeszłym roku w „British Journal of Anaesthesia”. Dotyczyła leczenia 8 tys. pacjentów powyżej 80. roku życia na intensywnej terapii w różnych krajach Europy, w tym ok. 30 w Polsce. Uwzględniono stan ich zdrowia w momencie przyjęcia. Wynik: nie wykazano różnic w poziomie opieki medycznej pomiędzy poszczególnymi krajami, za to znaczące różnice w śmiertelności. „Stosunkowo duża częstość zgonów wśród polskich pacjentów prawdopodobnie ma związek z bardzo ciężkim stanem wie-

byłoby wiadomo, że to nic nie da – mówi mi znajomy anestezjolog.

Nie pierwszy raz to słyszę. „Jest wiele oddziałów, gdzie leczenie jest prowadzone »po linii najmniejszego oporu«, gdzie chorych podłącza się do urządzeń, często nie zadając sobie trudu, aby dociec prawdziwej przyczyny ich problemów i dostosować optymalne leczenie. Leczeniem często zajmuje się ktoś z doskoku, codziennie ktoś inny kwalifikuje chorych w bardzo ciężkim stanie. Wielu pacjentów przyjmowanych do IT w Polsce już na wstępie nie ma szans na przeżycie albo są one znikome. Prowadzi się więc powszechnie terapię daremną. To wygodne, bo nie trzeba się konfrontować z koniecznością podejmowania trudnych decyzji o zaniechaniu dalszego leczenia. Nie trzeba się narażać na trudne rozmowy z prokuratorem. To wygodne, bo takiego chorego wystarczy podłączyć do aparatury i prawie nic nie trzeba przy nim robić, a zanim umrze, przyniesie szpitalowi dużo punktów i pieniędzy. W przeciwieństwie do chorego, którego trzeba by naprawdę leczyć. Dla tych ostatnich miejsc zwykle już nie ma. To sprawia, że praca w Polsce w intensywnej terapii jest frustrująca. Nie tylko dlatego, że jest pracą ciągłym napięciem, ale przede wszystkim dlatego, że to całe nasze napięcie i wysiłek »idzie w piach«, a personel przyzwyczajany do »udawania leczenia« staje coraz bardziej wypalony, cyniczny, brakuje mu coraz bardziej empatii dla pacjentów

i ich rodzin” – tak kondycję intensywnej terapii podsumował w liście do „Wyborczej” rok temu lekarz z Warszawy.

UMIERAJĄCY NA OIOM-IE OBNIŻA ŚMIERTELNOŚĆ

Zgodnie z polskimi przepisami 2 proc. łóżek szpitalnych powinny stanowić te na intensywnej terapii. Europejskie wytyczne mówią o 5 proc. Mamy więc za mało łóżek, a w dodatku na wielu z nich leczymy tych, którzy powinni mieć inną opiekę. Wiele oddziałów intensywnej terapii jest w małych szpitalach – mają po kilka łóżek. Powinno się je skoncentrować, bo wtedy łatwiej o obsadę i leczenie w dobrym standardzie.

Zdarza się, że w prowincjonalnym szpitalu lekarze nie chcą przyjąć chorego w krytycznym stanie na OIOM pod pretekstem, że jeszcze nie miał jakiegoś badania. To, że w międzyczasie chory z pacjenta, którego można było próbować uratować, stanie się kandydatem do terapii daremnej, nie ma dla nich znaczenia. Taki będzie potem „łatwiejszy”.

Gdzie indziej zdarza się „zsyłanie” na intensywną terapię umierających pacjen-

ta jednak oddziałów nazywanych po angielsku „step down”, czyli takich, gdzie jest wzmóżony nadzór, ale nie aż taki jak intensywnej terapii. Nie ma też dostatecznie rozwiniętej i dofinansowanej opieki długoterminowej.

Anestezjolog: – Często pacjenta trzyma się, dopóki nie umrze, bo nie widzi się wyjścia. Rzadkością są rodziny gotowe wziąć takiego chorego z respiratorem do domu. Całodobowa opieka to ogromny wysiłek i potrzeba do tego umiejętności. Nie każdy potrafi i ma dość sił. Owszem, są zakłady opiekuńczo-lecznicze, które mają miejsca dla pacjentów wymagających respiratora. Na miejsce jednak trzeba zazwyczaj długo czekać, czasem nawet miesiące. Inna rzecz to świadomość, jak tam wygląda opieka. Standard jest na ogół niski, bo na maksa się oszczędza. Pacjent trafia z intensywnej, gdzie przypada jedna pielęgniarka na dwa łóżka, do miejsca, w którym są dwie pielęgniarki na 40-50 łóżek. Na intensywnej terapii był sobie spokojnie kilka miesięcy, a teraz umiera w ciągu kilku dni. Mając to z tyłu głowy, trudniej o decyzję.

Inny problem z zakładami opiekuńczo-leczniczymi jest taki, że NFZ tylko częściowo pokrywa koszty opieki. Reszta jest pokrywana z dochodów pacjenta, a jak pensja, renta czy emerytura to za mało, dopłacić musi rodzina. Czasem ta rodzina utrzymuje się z emerytury babci czy dziadka, więc nie zgadza się na wypisanie z intensywnej terapii i grozi prokuratorem. – Od-

cy, o których wiadomo, że leczenie na intensywnej terapii może przynieść korzyść. Czwarta to zbyt zdrowi lub zbyt chorzy, by taką korzyść odnieść.

Drugie narzędzie to ocena stanu w trakcie pobytu chorego na intensywnej terapii. Czy dalsze leczenie to już nie jest terapia daremna, czyli taka, o której z góry wiadomo, że nie przyniesie korzyści. Jeśli tak, to nie powinno się poddawać chorego kolejnym zabiegom lub zaniechać tych już stosowanych. – Kryteria nie służą wymianie jednych pacjentów na innych. Służą temu, by nie prowadzić terapii daremnej – podkreśla jeden z moich rozmówców.

Daremnej terapii nie powinno być także wtedy, kiedy wiadomo, że chory by sobie tego nie życzył. I to w Polsce nie wychodzi. Przed ponad dekadą grupa lekarzy związanych z Warszawskim Hospicjum dla Dzieci i prawników opracowała projekt ustawy o pełnomocniku medycznym i tzw. testamencie życia. W skrócie: wybrany przez nas pełnomocnik miał być uprawniony do tego, by w momencie, kiedy sami nie możemy już wyrazić woli, jak chcemy, by się nami zajmowano, zgadzał się na nasze leczenie albo mu się sprzeciwiał. Miał m.in. moc decydować o zaniechaniu leczenia, które uznałby za sprzeczne z naszym interesem i gloszonymi przez nas wartościami. „Testament życia” miał być dokumentem zawierającym oświadczenie na przyszłość, na jakie formy leczenia wyrażamy zgodę, a jakim się sprzeciwiamy, kiedy znajdzie-

cia, z wykluczeniem zarówno przyspieszenia śmierci (eutanazja), jak i jej opóźnienia poprzez uporczywą terapię”. Dalej czytamy: „Taką terapię stanowi technicznie możliwe podtrzymywanie czynności narządów nieprzynoszące korzyści pacjentowi leczonemu na stanowiskach intensywnej terapii medycznej (...). Współczesna medycyna dysponuje bowiem środkami, które mogą sztucznie opóźnić śmierć, jednak bez rzeczywistej korzyści dla pacjenta (...). Współczesna bioetyka, także inspiracji katolickiej, uznaje uporczywe podtrzymywanie funkcji narządów, które nie przynosi korzyści pacjentowi, a więc terapię daremną, za błąd postępowania medycznego, o ile pacjent nie domaga się wyraźnie podejmowania dalszych działań ratujących życie”.

JEDNEGO DNIA STAN STABILNY, DRUGIEGO BEZNADZIEJNY

Są wytyczne i zalecenia Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii, dokument zespołu bioetycznego Episkopatu, a także kilkudziesięciostronicowe opracowanie wydane przez zespół Rzecznika Praw Pacjenta zatytułowane „Standardy postępowania w terapiach medycznych stosowanych w okresie kończącego się życia”. Jest też jednak obojętność kolejnych ekip w Ministerstwie Zdrowia.

– Nikt tego tematu nie ruszy, jest za trudny dla ludzi – mówi mi doświadczony poseł i lekarz. Może i za trudny. A może raczej abstrakcyjny, kiedy nie dotyka nas samych. Ale wielu z nas wcześniej czy później tego doświadczy. Co wtedy? Profesor: – Często w tej chwili bliscy sami proszą, żeby nie eskalować leczenia, że mama by nie chciała. Trzeba by po prostu skłonić ludzi do rozmów na ten temat.

Biuro Rzecznika Praw Pacjenta też dostaje pytania o terapię daremną – kiedy można wymagać odstąpienia od leczenia, czy trzeba notariusza itp.

W „Medycynie Praktycznej” ukazało się właśnie stanowisko „Zapobieganie terapii daremnej u dorosłych chorych umierających w szpitalu” opracowane przez grupę powołaną przez Towarzystwo Internistów Polskich. Poparło je kilkanaście innych towarzystw lekarskich. Poza wszystkimi aspektami medycznymi zwraca się w nim szczególną uwagę na potrzebę rozmowy lekarzy z pacjentem i/lub jego rodziną, rzetelne informowanie i wytłumaczenie, co się dzieje i dlaczego wdrożenie takiego czy innego leczenia albo kontynuowanie tego, co dotąd, nie ma już sensu. Na to trzeba jednak czasu, a w szpitalach jest pośpiech i rzucanie wyrywkowych informacji, często sprzecznych. Ojciec dziecka, które przebywało 18 dni na intensywnej terapii: – Jednego dnia lekarz dyżurny mówił, że stan jest stabilny. Drugiego inny lekarz, że beznadziejny. I tak dzień po dniu co innego.

Inne zalecenie ze stanowiska internistów: wszystko, co się dzieje z pacjentem, w tym wyniki badań dowodzących, że chodzi już o terapię daremną, oraz informacje o rozmowach przeprowadzonych z bliskimi odchodzącej osoby, musi być odnotowane w dokumentacji. Praktyka bywa często inna. Lekarz: – Zamiast przeprowadzić uczciwą rozmowę z rodziną, kontynuuje się daremną terapię i czeka, aż pacjent sam umrze podpięty do rury, choć mogłoby to się stać w spokojniejszym, zapewniającym większą intymność miejscu. Jeszcze gorzej, kiedy pozoruje się tylko leczenie, po cichu z niego krok po kroku rezygnując. To przynosi jeszcze większe szkody moralne wśród personelu, bo to jest kłamstwo. Marzę, że kiedyś wreszcie się z tego wszystkiego otrząśniemy. ●

Śmiertelność na intensywnej terapii



Szwecja – 6,7 proc.



USA – 7,2 proc.



Brazylia – 9,6 proc.



Chiny – 16,3 proc.



Włochy – 17,8 proc.



Mongolia – 23,5 proc.



Polska – 42 proc.

tów z innych oddziałów. Po co? Na przykład po to, żeby obniżyć na swoim oddziale śmiertelność. Zgon na intensywnej terapii lepiej wypada niż na chirurgii, bo jak zdarzy się na chirurgii, to może znaczyć, że coś sknocił.

Inny powód to pieniądze dla szpitala. – Kiedyś nie przyjmowało się wszystkich na oddział. Ale teraz NFZ płaci tak, że każdy pacjent może się zbilansować – tłumaczy szef intensywnej terapii w jednym z dużych szpitali na Śląsku.

NFZ płaci tylko za jedną chorobę, obojętnie, na ilu oddziałach ktoś jest leczony w trakcie jednego pobytu w szpitalu. Wyjątkiem jest intensywna terapia. Tu w rozliczeniach z NFZ szpital może łączyć leczenie, więc to wykorzystuje. Wykorzystuje się też to, że za leczenie na intensywnej terapii NFZ płaci „detailed” – zlicza punkty TISS za poszczególne czynności i procedury, jak np. dializa. Pielęgniarka z małego szpitala: – Uciekłam z pracy w takim oddziale. Tam się nawet tych chorych nie podpięło ekstra do tej czy innej rurki. Po co iść w koszty. Fikcyjne procedury były wpisywane tylko w sprawozdaniach, żeby zaliczyć więcej punktów TISS. NFZ nigdy nie był u nas z kontrolą.

Inny problem to pacjent „niewypisywalny”. Zespół jest zgodny, że dalsze leczenie na intensywnej terapii nie ma sensu. Nie jest już w stanie nic więcej zrobić. Pacjent potrzebuje dobrej dalszej opieki, ale już nie tego wszystkiego, co oferuje dla ratowania życia intensywna terapia. W Polsce nie

powiadam wtedy, że za nieuzasadniony pobyt chorego na intensywnej terapii też trzeba będzie zapłacić, tylko kilkadziesiąt razy więcej – mówi profesor anestezjolog. Nie każdy jest taki asertywny.

NAWET BISKUPI SĄ PRZECIWKO TERAPII DAREMNEJ

Szef intensywnej terapii w dużym mieście: – Mamy narzędzia do tego, żeby nie przyjmować na intensywną terapię chorych, którzy tego nie potrzebują, albo wypisywać tych, którzy już się nie kwalifikują. Problem w tym, że większość z nas nie chce lub boi się z nich korzystać.

Pierwszym narzędziem jest kwalifikacja. Stan chorego ocenia się, stosując różne kryteria i zaliczając do jednej z czterech grup. Pierwsza to pacjenci, którzy mają jednoznacznie dobre rokowania, czyli ta-

my się w stanie terminalnym i nie będziemy już zdolni sami tego lekarzom powiedzieć.

Projekt przepadł. – Nie udało się do niego przekonać i jeszcze długo nie uda. Politycy wszystkich opcji są niechętni. Bo sprawa nie jest postrzegana w aspekcie prawa do godnej śmierci, tylko jako coś, za czym kryje się eutanazja – mówi Małgorzata Szerczyńska, doktor prawa i prokurator, która uczestniczyła w tamtych pracach.

O tym, że terapia daremna jest błędem i wcale nie oznacza eutanazji, mówi dokument „O terapii daremnej (uporczywej) chorych poddawanych intensywnej terapii” opublikowany w 2018 r. przez komisję bioetyczną Konferencji Episkopatu Polski. Jest w nim odwołanie do Nowej Karty Prawochników Służby Zdrowia opracowanej przez Papieską Radę ds. Duszpasterstwa Służby Zdrowia. W punkcie 149 karta mówi: „Ochrona godności umierania oznacza poszanowanie chorego w ostatniej fazie ży-

Te wszystkie definicje z lekcji WOS

Kiedy pytam znajomych z liceum i gimnazjum o plany, słyszę, że „politykom nie wolno ufać”, „nie mam na kogo głosować”, „mój głos i tak nic nie zmieni”. Gdzieś już to kiedyś słyszałam.

Wiktoria Bieliaszyn



To nie będzie tekst, w którym – by poprawić samopoczucie wyborcom opozycji – napiszę, że Polska pod rządami PiS to Rosja albo Białoruś. Nie jest to prawda. Nie trzeba analiz politycznych, by to udowodnić. Wystarczy zadać proste pytanie: „Czy po napisaniu komentarza z krytyką sytuacji w Polsce, ale jeszcze przed naciśnięciem »publikuj« lub »polub«, czują państwo lęk?”. Albo: „Czy przechodzi państwu przez myśl obawa, że jedno kliknięcie może w bardzo krótkim czasie zaprowadzić państwa do aresztu, przed sąd i do więzienia?”. Nie? Tak myślałam, choć mając w pamięci historię Barbary Kurdej-Szatan czy Jakuba Żulczyka, odrobinę zdziwi mnie, jeśli nie zapala się państwu w tych momentach mała ostrzegawcza żarówka.

Faktem jest, że powietrza nad Wisłą z roku na rok jakby mniej; władze stopniowo, z mniejszym lub większym powodzeniem, przykręcają kolejne kurki, a podczas prodemokratycznych protestów w innych państwach (np. w Izraelu) usłyszeć można co-raz częściej hasła: „Nie chcemy skończyć jak Polska”, ale nie da się mówić o terrorze.

No i wybory – nawet jeśli nie śledzimy bieżącej polityki, bardzo nas ekscytują. Ich wyniki nie są dla nas czymś oczywistym, czego zawsze zazdrościli mi przyjaciele z Rosji i Białorusi. Nawet jeśli z rozgoryczeniem odpowiadałam, że mój kandydat nie wygrał, wzruszali ramionami: „O co ci chodzi? Prawdziwe wybory! Piękna sprawa! Ciekawe, jak to jest – nie wiedzieć do samego końca, jakie będą wyniki?”.

Dlatego ustawianie Polski z którymkolwiek z tych państw w jednym rzędzie odbieram jako brak szacunku wobec tych Rosjan i Białorusinów, którzy od lat walczą z reżimami Putina i Łukaszenki. Mają szansę takie jak człowiek porywający się z gołymi rękoma na czołg. Przekonał się o tym Władimir Kara-Murza, który właśnie do- stał 25 lat za „zdradę stanu”.

I dlatego nie czuję, bym miała prawo potępiać pasywnych Rosjan i Białorusinów za ich milczenie. Bić na alarm należało 20 lat temu, kiedy ludzie, oszołomieni bezprecedensowym wzrostem gospodarczym i populistyczną polityką władz, przespalili swą szansę na budowę instytucji demokratycznych. Rosjanom, zajęтым „swoimi sprawami”, obojętne było, że z telewizorów zaczęła się sączyć prymitywna propaganda, a przedstawiciele realnej opozycji byli inwigilowani i szkalowani. Większość Rosjan nie czuła się zagrożona, kiedy władze zmieniły narrację ze względnie liberalnej na tę o „wyjątkowej, rosyjskiej drodze”.

Wybitny socjolog Grigorij Judin stwierdza, że Rosjanie stali się „obywatelami” jedynie w sensie konsumpcyjnym. Widziałam to wśród najbliższych, którzy doskonale umieli dokonać wyboru między smartfo- nem rodzimej produkcji a iPho- ne’em, ale zupełnie nie potra- fili odróżnić demokracji od ru- skiego miru (co jest kolejnym dowodem, że związek kapitali- zmu i demokracji jest dużo bar- dziej skomplikowany, niż chcie- liby niektórzy).

Polacy są w innym miejscu, lecz nie pokusiłabym się o stwier- dzenie, że to miejsce szczegól- nie przyjazne. W kraju, w któ- rym prawa kobiet i mniejszości są ograniczane, niezależne me- dia atakowane, przedstawiciele opozycji inwigilowani, trudno czuć się spokojnie. Nie poma- gają zatrwożone reakcje mo- ich bliskich z Rosji i Białorusi, którzy przy okazji wizyt w Pol- sce najpierw mówią mi: „Prze- sadzasz z tą krytyką, bardzo tu europejsko”, a chwilę później, oglądając TVP, łapią się za gło- wy: „Jak coś takiego jest możli- we w środku Europy?”.

Dlatego tak bardzo niepokoi mnie apatia polityczna moich rówieśników. Mobilizacja wy- borcza Polaków po sześćdzie- siątce jest bardzo wysoka, dobi-

ja do 90 proc. Jednocześnie za- ledwie 39 proc. ankietowanych z mojej grupy wiekowej, czy- li w przedziale 18-29 lat, zade- klarowało, że „na pewno pójd- zie na wybory”. W grupie nie- co starszej, między 30. a 39. ro- kiem życia – 50 proc.

Kiedy pytam znajomych z li- ceum i gimnazjum o plany, czę- sto słyszę, że „nie ma na kogo głosować”, „politykom nie wol- no ufać”, „żadna partia nie ma im nic do zaoferowania” albo że „ich głos i tak nic nie zmie- ni”. Gdzieś już to kiedyś słysza- lam...

Dzielię się tymi wypowie- dziami z zaprzysiężonym ro- syjskim adwokatem. „Oto od- powiedź na pytanie, dlacze- go u nas, w Rosji, jest, jak jest. Bo wszędzie tak jest, ludzie są zmęczeni polityką, rozczarowa- ni. Tylko że nie w każdym kra- ju pojawił się Putin”, mówi Di- ma. A znajoma rosyjska dzien- nikarka dodaje: „Przez całe la- ta krytykowałam opozycjoni- stów i aktywistów, że niewy- starczająco dobrze reprezen- tują moje interesy i bronią mo- ich praw. Dopiero potem do- tarło do mnie, że nie byłoby od rzeczy nie tylko samej walczyć o swoje prawa, ale i korzystać z tych posiadanych”.

Czy młodzi są obojętni na lo- sy kraju, w którym mieszka- ją, pracują, żyją i kochają? Nie wierzę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ma nic przeciw- ko, by o jego życiu decydowano za niego, by ograniczano jego prawa czy swobody. Problem w tym, że młode pokolenie nie zdaje sobie sprawy, że rzeczy- wiście może do tego dojść. Nie pamięta o obowiązkach, któ- re wiążą się z wolnością, albo, zastanawiając się nad ewentu- alnym wyborem, nie dokonu- je żadnego, kierując się zasadą: „Wszystko albo nic”. Lekceważy związek przyczynowo-skutko- wy między rządami prawa, po- działem władz i tymi wszystki- mi abstrakcyjnymi zakłębami z lekcji WOS a ich osobistą wol- nością.

Nie ma żadnych specjal- nych ludzi, którzy muszą upo- rządować nasz kraj, kiedy my będziemy jedynie krytykować ich z kanapy lub zajmować się „swoimi sprawami”. Za pró- by zrzućcia na siebie odpowie- dzialności za to, co się wokół nas dzieje, trzeba będzie zapła- cić. Cena może nas zszokować. Tak jak zszokowała moich ro- syjskich przyjaciół. ●

Członkowie kochają kneble

Czy biskupi będą równie gorliwi w stosunku do ojca Rydzyka i księdza Oko jak do księży Bonieckiego i Wierzbickiego?

Magdalena Czyż

Im dłużej obserwuję Kościół w Polsce z perspektywy politologa, tym bardziej żałuję, że nie mam perspektywy seksuologa. Byłaby znacznie bardziej efektywna. I nie chodzi o sekretne życie księży. Mam podstawy sądzić, że te sekrety nie różnią się zbyt- nio od sekretów wszystkich innych facetów, ergo: nudne to i powtarzalne, powtarzalne i nudne.

Myślę raczej o zjawisku szerszym, bo o ciele wieloosobo- wym, czyli o polskim Episkopacie razem wziętym i osobno zresztą też.

Owo ciało, składające się z wielu, nomen omen, członków, wykazało się po raz kolejny aktywnością, której źródła odna- leźć można w seksuologii właśnie.

Mianowicie Episkopat wydał dekret ogólny KEP w spra- wie występowania duchownych, członków instytutów ży- cia konsekrowanego, stowarzyszeń życia apostołskiego oraz niektórych wiernych świeckich w mediach.

Punkt 1: „Jedynie wypowiedzi tych duchownych, osób konsekrowanych i członków stowarzyszeń życia apostoł- skiego, którzy działają z wyraźnego upoważnienia własnego przełożonego (...), można uznawać za stanowisko instytucji kościelnej, w imieniu której się wypowiadają”.

Punkt 3: „Duchowni, osoby konsekrowane i członkowie stowarzyszeń życia apostołskiego wypowiadający się w me- diach powinni cechować się wiernością nauce Ewangelii, rzetelną wiedzą, odpowiednimi kompetencjami, roztropno- ścią i odpowiedzialnością za wypowiedziane słowo, troską i umiłowaniem prawdy, szacunkiem wobec innych i szcze- rym poszukiwaniem wspólnego dobra, aby Kościół mógł skutecznie sprawować swoją funkcję”.

Punkt 4: „Wypowiadając się w mediach, duchowni, oso- by konsekrowane i członkowie stowarzyszeń życia apostoł- skiego powinni pamiętać, że są powołani do głoszenia na- uki Chrystusa, a nie własnych opinii i poglądów, zwłaszcza takich, które mogą powodować zamęt, zgorznienie, wprowa- dzać podziały lub wywoływać negatywne emocje oraz do te- go, by wiara i obyczaje wiernych nie doznały uszczerbku”.

Ciekawa jestem, czy ten zapis będą biskupi odnosić z rów- ną gorliwością w stosunku do ojca Rydzyka czy księdza Oko jak do księży Bonieckiego czy Wierzbickiego. No i otwarte pozostanie pytanie: którzy księża i które ich wypowiedzi we- dług Episkopatu sięgą zgorznienie, negatywne emocje i po- działy?

Cały dekret składa się z 18 tego rodzaju punktów – kne- bli. To właściwie jeden wielki knebel włożony w usta wszyst- kich, którzy troszczą się o Kościół (tylko trzeba rozumieć, że różnie tę troskę definiują, co przerasta możliwości intelektu- alne Episkopatu).

Ale dlaczego uważam, że politolożce brakuje narzędzi do analizy tego, co się dzieje w Kościele w Polsce? I że przydałby mi się chociaż fakultet z seksuologii? Dlatego że taka dawka obsesji na punkcie kontroli, władzy, dyscypliny i jednocze- śnie dążenia do autodestrukcji to istne eldorado badawcze dla seksuologa.

Do tego należy jeszcze dorzucić masochizm grupowy te- go gremium, bowiem domyślać się można, że świadomość, iż wszyscy komentatorzy mniej, delikatnie mówiąc, przy- chylnie nastawieni do Kościoła zaczną ich za ten dekret chło- stać, smagać, bić na inne sposoby, poniewierać i opluwać, przyprawia o dreszcz rozkoszy niejednego, znowu nomen omen, członka Episkopatu.

Ci panowie naprawdę muszą to lubić. Niech mają, cała przyjemność po ich stronie. ●

O G Ł O S Z E N I E

JUŻ W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy
extra

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA



EKOUMIAR

Jak być bliżej siebie i natury?

NATALIE PORTMAN

Zawsze byłam ambitna

CAMILLA PARKER BOWLES

Kim jest nowa królowa Anglii

O tu, panie, wybili, za wolność wybili!

60 lat temu Mrożek wyjaśnił, dlaczego po każdej aferze PiS rośnie, zamiast spadać

Kublik

Lgną do Kaczyńskiego z taką siłą, z jaką odpychają wszystkich innych. Co siedzi w głowie wyborcy PiS? Jakie emocje? Jakie myśli? Jakie marzenia? „Koncentracja na grupowych krzywdach podtrzymuje poczucie zagrożenia wśród części obywateli i motywuje ich do akceptacji autorytarnych przywódców, nadmiernie wysokich wydatków na zbrojenia, stawiania murów obronnych. Poczucie zagrożenia sprzyja poparciu politycznego konserwatyzmu” – wylicza prof. Krystyna Skarżyńska w książce „Nieufność: źródła i konsekwencje”.

Michał Boni, Paweł Boski, Maciej Mrozowski, Piotr Szarota, Michał Bilewicz, Krzysztof Jasiewicz, Adam Daniel Rotfeld, Mirosław Wyrzykowski, Wojciech Cwalina, Witold Orłowski, Andrzej Eliaz, Janusz Majcherek – współautorzy książki, która pojawi się w maju online, w otwartym dostępie – przyglądają się źródłom i konsekwencjom nieufności, ogólnej i trwałej postawie wobec ludzi i grup społecznych, instytucji.

Po jej lekturze już nikt nie powinien się dziwić, dlaczego Jarosław Kaczyński ma od lat tak liczną grupę tak zmobilizowanych i wiernych wyborców.

To fenomen. Nie ma tygodnia, by na jaw nie wychodziły kompromitujące PiS fakty. Miliony rozdawane swoim, kupowanie głosów w Sejmie za budżetową kasę, kręcenie lodów przy okazji pandemii, a teraz wojny w Ukrainie. Lekceważenie Unii Europejskiej, Ukrainy, usadzanie swoich ludzi bez kompetencji wszędzie tam, gdzie jest możliwość. Sondaże pokazują, że dwie trzecie Polaków nie ufa premierowi i rządowi. A w grupie wyborców PiS rząd popiera ponad 85 proc., partię powyżej 30 proc. I przy każdym skandalu poparcie nie maleje, ale rośnie.

„Coraz więcej badaczy przygląda się związkowi między pamięcią doświadczeń historycznych a aktualnym życiem, poglądami, relacjami międzygrupowymi i międzyludzkimi – zauważa prof. Skarżyńska. – Ludzie potrzebują pamięci o historii grupy, by podtrzymać sens jej trwania, grupową tożsamość, wartości, kulturę”.

Pamięć grupowa jest selektywna, więc dotyczy głównie zdarzeń, które zaspokajają bieżące potrzeby grupy, np. legitymizuje roszczenia terytorialne albo wzmacnia aktualnie pożądany autowizerunek grupowy. Swoje narracje historyczne mają wszystkie narody. Tym, co wyróżnia Kaczyńskiego – ale też np. Orbána – jest dobór historycznych momentów: to przegrane powstania, bitwy, wojny, narodowe traumy. I ich celebrowanie w duchu prząśno-ludowym. Przykładem wykorzystywania historii dla politycznej bieżączki jest żądanie reparacji od Niemiec.

„Jarosław Kaczyński liczy straty i krzywdy wyrządzone przez hitlerowskie Niemcy, nie tyle oczekując odszkodowań, ile po to, by utwierdzić Polaków w nieufności do Niemców i dzisiejszego ich funkcjonowania w ramach UE, rzekomo niesprawiedliwie krytykujących rządy prawicy i zmierzających do obalenia ich – pisze Skarżyńska. – Gdyby rządzący chcieli uzyskać jakieś pieniądze od Niemiec, działaliby dyplomatycznie, negocjując warunki w taki sposób, by niemieckie społeczeństwo zaakceptowało jakąś formę

finansowego wsparcia Polski, a nie traściło dotychczasowego życzliwego zainteresowania naszym krajem”.

Grupowa martyrologia i wiktylizacja to pojęcia, które pozwalają zrozumieć, skąd bierze się szczególna więź między wyborcami PiS a partią. Otóż podobnie jak wierni wyborcy Orbána czy Netanjahu i gorliwi zwolennicy PiS „budują swoją grupową tożsamość wokół cierpienia, poczucia zagrożenia i przeszłego bohaterstwa. Dlatego ta więź jest głęboka i trwała”.

Skarżyńska przywołuje opowiadanie Sławomira Mrożka „Moniza Clavier”, historię Polaka rzuconego w środowisko kosmopolitycznych elit, który – sam nie wiedząc kiedy – wskakuje w buty wolnościowo-męczeńskie, czyli w taką opowieść o sobie, w której jak na dłoni widać dwie dominujące, pozornie sprzeczne polskie emocje: poczucie krzywdy oraz dumy z własnej historii.

„Jako syn narodu północnego, surowego, doświadczonego przez historię, z odrębnością swoją, z mądrością swą, drogo zapłaconą, niedostępną innym – jak kabanosy. Ha – pomyślałem sobie – śmiecie się, śmiecie, jestem jak pomnik, u którego stóp bawią się dzieci. I znowu palnąłem sobie szklaneczkę na ich rachunek. Wkroczyłem w środek rozbitego towarzystwa. – O, tu! – krzyknąłem, szeroko otwierając jamę ustną i wskazując palcem na zęby trzonowe. – O, tu, wybili, panie, za wolność wybili! Nastąpiło zamieszanie. Ucichli, popatrzyli na mnie, nie mogąc zrozumieć, o co mi chodzi. A przecież chciałem tylko uprzytomnić im w sposób jasny i przystępny, niejako pogłębiony, cierpienia mojego narodu. To, że najwidoczniej nie docenili martyrologii, bardzo mnie rozgniewało”.

„Mrożek opisuje rys mentalności, który badacze nazwali kolektywnym narcyzmem, wyższościową orientacją wiktylizacyjną lub grandiosą” – pisze Skarżyńska.

Narcyzm kolektywny to „defensywna forma grupowej identyfikacji, z zawyżoną, wyidealizowaną, ale niepewną i niestabilną samooceną, stale wymagającą potwierdzenia u innych”. Może stanowić formę identyfikacji z różnymi grupami, zwykle istotnymi dla naszej osobistej tożsamości, takimi jak własna grupa narodowa, religijna, etniczna, zawodowa czy partia polityczna.

W Polsce, Izraelu czy na Węgrzech ów narcyzm łączy się z trwałą pamięcią o krzywdach i ofiarach, dumą z martyrologicznej historii, poczuciem zagrożenia. Towarzyszą temu „aktualnie przeżywany strach, rozczarowanie polityką, smutny nastrój i niski poziom poczucia wpływu, sprawstwa i skuteczności”.

„W ostatnich dekadach psychologowie społeczni dowodzą, że pamięć grupowej przeszłości może mieć negatywny wpływ na aktualne relacje międzygrupowe. Choćby Daniel Bar-Tal, ceniiony badacz konfliktów międzynarodowych, pokazuje, jak tendencyjna pamięć historyczna (a każda grupa ma własną) może prowadzić do permanentnego, trwającego przez pokolenia, niszczącego obie strony »nierozwiązywalnego konfliktu międzygrupowego« – zauważa Skarżyńska. Dlaczego? Bo „pamięć o zranieniu (fizycznym lub psychicznym) prowadzi też do tzw. wyprzedzającej podejrzliwości i wrogości wobec osób z grupy sprawców daw-

nych krzywd, ale także wobec wszystkich »obcych«”.

Ale dlaczego wyborcy PiS wybaczą swojej partii wszystkie błędy, wpadki, afery? Bo z grupowym narcyzmem, martyrologią i wiktylizacją wiąże się zjawisko „oślepiającego zaufania” (blinding trust) wobec swoich, uznawanych za krzywdzone ofiary.

Gdy amerykańscy studenci identyfikujący się jako politycznie konserwatywni Żydzi czytali podczas badania tekst o cierpieniu Żydów podczas Holocaustu przed tzw. grą w zaufanie (polegającą na inwestowaniu funduszy z partnerem pochodzącym z tej samej lub innej grupy religijnej), explicite deklarowali większą nieufność wobec graczy z innych grup niż żydowscy studenci, którym nie przypomniano cierpień ofiar Holocaustu.

„Im bardziej badani spostrzegali własną grupę jako silnie wiktylizowaną, tym silniejsze zaufanie wykazywali do graczy z grupy własnej i więcej inwestowali, nawet gdy ich żydowski partner nie współpracował lub jawnie oszukiwał” – opisuje wyniki Skarżyńska.

Kolektywnemu narcyzmowi, trwałej pamięci o krzywdach i poczuciu zagrożenia towarzyszą smutny nastrój i poczucie braku wpływu, sprawstwa, skuteczności

Inni badacze ustalili, że kolektywny narcyzm dodatnio koreluje z wiarą w spiski, ale podejrzliwością i wrogością i złe zamiary kierowane są tylko wobec grup obcych. Wrogość i agresja „swoich” nie są dostrzegane ani pamiętane.

Ten mechanizm widać w postawie polskiego Kościoła. „Dostojnicy często głośno wyrażali poczucie zagrożenia ze strony laickiego Zachodu, Unii Europejskiej, liberalizacji i swobód obyczajowych, obecności emigrantów z innego kręgu religijnego, a bagatelizowali odpowiedzialność osób duchownych, które łamały nie tylko zasady katolickiej religii, ale i normy prawne”.

Nawet najbardziej spajające, nadające tożsamość własnej grupie lęk i nieufność trzeba w końcu złagodzić. Temu służą teorie spiskowe. Powstają w sytuacjach niepewności, ambiwalencji, strachu, braku kontroli i trudności w rozumieniu tego, co dotyczy „naszej” grupy – czyli w tych wszystkich warunkach, których doświadczają wyborcy Kaczyńskiego – aby stwarzać poczucie bezpieczeństwa: gdy „wiem, kto jest naszym wrogiem”, odzyskuję poczucie poznawczej kontroli i zyskuję wrażliwość, że wiem, jak można by sobie poradzić z niebezpieczeństwem.

Po pisowskie hipotezy odnośnie do katastrofy smoleńskiej („ruski zamach na polskiego prezydenta”) sięgają właśnie „grupy i osoby skoncentrowane na przeszłych krzywdach, bohaterstwie i poniesionych ofiarach”. A także po wszelkie inne teorie w spójny i nieskomplikowany sposób objaśniające świat. „Polacy charakteryzujący się wysokim poczuciem kolektywnej wiktylizacji silniej wierzą w konspirację-

ne działania Żydów, częściej też wykorzystują teorie spiskowe przy wyjaśnianiu bieżących zdarzeń, np. pandemii COVID-19, niż Polacy z niskim poczuciem narodowych krzywd i cierpień”.

Prezes PiS te zjawiska wykorzystuje od lat. „Wieloletnie celebrowanie pamięci o ofiarach katastrofy smoleńskiej, zwłaszcza tzw. miesięcznice, podtrzymywały pamięć o Lechu Kaczyńskim jako ofierze zewnętrznych wrogów i wewnętrznych zdrajców oraz rozszerzały – dość skutecznie – przekonania dużej grupy Polaków, że cała Zjednoczona Prawica przez lata była i jest ofiarą wykluczeń, pomówień, niesłuszných oskarżeń. Tworząc martyrologiczno-wiktylizacyjny mit grupy własnej – uzyskiwała współczucie, poparcie wyborcze i legitymizację polaryzującej społeczności polityki”.

Temu ma zapewne służyć złożone w tym tygodniu zawiadomienie do prokuratury, że 10 kwietnia 2010 r. doszło do zamachu na Lecha Kaczyńskiego. Słowa Kaczyńskiego o „mordzie” w Smoleńsku to odwoływanie się do tych wszystkich opisanych emocji.

To wszystko pozwala Kaczyńskiemu wyjaśnić „swoim” trudności w porozumieniu się z Unią. „Mit wiecznej krzywdzonej i niedocenianej grupy polityków, połączony z resentymentem i nieufnością wobec Niemiec i liberalnej opozycji, stanowi argument wyjaśniający brak pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy i pozwala uciec od odpowiedzialności za inflację czy katastrofę ekologiczną na Odrze” – tłumaczy Skarżyńska. Ba, trwałe poczucie grupowych krzywd i cierpień pozwala usprawiedliwiać krzywdy zadawane innym grupom i może stanowić podstawę domagania się specjalnego (wyrozumiałego, bardziej korzystnego) traktowania własnej grupy przez innych.

Dzięki takiemu postrzeganiu świata elektorat PiS nie ma za grosz wyrozumiałości wobec innych. Toleruje się i wybacza „swoim” największe przekręty, naruszenia prawa, niekompetencję prowadzącą do poważnych szkód dla całego społeczeństwa, natomiast „innych” obwinia się o niepopelnione przestępstwa, próbuje oskarżać o zdradę stanu. Tak urabiano niechęć do niepokornych sędziów, protestujących nauczycieli czy opiekunów osób z niepełnosprawnościami.

Narcystyczne osobowości czerpiące samozachwyt z martyrologicznej pamięci swojej grupy wcale nie są pewne swojej wartości. Dlatego tak nie znoszą krytyki, nienawidzą i upokarzają przeciwników. Jako liderzy są szczególnie niebezpieczni, bo zarażają nienawiścią innych. Stąd wyborcy PiS bez skrupowania potrafili mówić do kamer TVP o nienawiści do Tuska, o wieszaniu na szubienicy. Czują się ofiarami jego polityki i nie są w stanie mu niczego wybaczyć, jednoczą się w oczekiwaniu wymierzenia mu kary.

„A przede wszystkim chcą zasłużyć na aprobatę wodza, mówią to, co chce on usłyszeć; a jak już tak mówią, to zaczynają tak myśleć”.

● Agnieszka Kublik

„Nieufność: źródła i konsekwencje” pod redakcją Andrzeja Eliasza i Krystyny Skarżyńskiej, książka wydana przez Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji im. Marka Dietricha ukaże się w maju w otwartym dostępie na stronie wydawcy (www.ipwc.pw.edu.pl)



JAK ZASTAWIONO PUŁAPKĘ NA KOBIETY

Ustawodawca zachował się trochę jak Poncjusz Piłat. Wykorzystał oportunizm towarzyszący rozumieniu bardzo wyrafinowanej konstrukcji prawnej

Waldemar Paś

14 marca Sąd Okręgowy Warszawa-Praga skazał Justynę Wydrzyńską z kolektywu Aborcyjny Dream Team na osiem miesięcy ograniczenia wolności (ma pracować społecznie po 30 godzin w miesiącu). Odpowiadała z art. 152 par. 2 kk, za wysłanie swoich tabletek wczesnoporonnych kobiecie w ciąży, która o nie prosiła. Adresatka nie dostała tabletek, bo paczkę przechwycił jej partner i powiadomił policję.

Sąd utajnił uzasadnienie, nie znamy więc jego rozumowania. Justyna Wydrzyńska zapowiedziała apelację. To najprawdopodobniej pierwszy wyrok w sprawie pomocy w aborcji po październiku 2020 r., kiedy Trybunał Julii Przyłębskiej zakazał legalnej aborcji z powodu wad płodu. Kilka dni po wyroku Ordo Iuris zapowiedziało zawiadomienie prokuratur o możliwości popełnienia kolejnych przestępstw przez działaczki ADT. Dowodem mają być anonimowe historie kobiet, które na stronie ADT opisują swoje aborcje.

Z prof. Ewą Łętowską i prof. Andrzejem Zollem rozmawiamy o tym, skąd się wziął art. 152 par 2. Dlaczego jest interpretowany i stosowany tak restrykcyjnie? Czy karniści, którzy proponowali ten przepis, mogli przewidzieć, że wykonawcy kodeksu karnego w swym oportunizmie doprowadzą to tego, z czym dziś się mierzymy?

Polowanie na kobiety trwa. W gabinecie lekarskim w Szczecinie prokurator „aresztował” dokumentację pacjentek, w tym historię ich ciąży i poronień (rozmowa Agaty Calkowskiej z ginekolożką ze Szczecina „Kobiety, zamiast rodzić, przyjeżdżają się sterylizować” na Wyborcza.pl/magazyn). Co tam wyczytał i jak tej wiedzy użyje?

Jak mogło dojść do skazania pani Wydrzyńskiej? Przecież nie nastąpiło poronienie, kobieta w ciąży nie zażyła tych pastylek, one nawet nie trafiły do jej rąk! Piekło Polek stało się gorętsze – tak uważa wiele i wielu.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA: Cieszę się, że spróbujemy to wyjaśnić, panie profesorze, sine ira et studio (bez złości i ambicji). Wszyscy wiedzą, że jestem raczej pro-choice niż pro-life.

PROF. ANDRZEJ ZOLL: Ja również się cieszę, a moje poglądy też są znane.

E.Ł.: Mam kilka problemów ze zrozumieniem prawnej konstrukcji penalizacji czynów towarzyszących aborcji, zafundowanej przez kolegów karników i ustawodawcę. Gdyby owa konstrukcja była jasna, to nie byłoby takiej reakcji społecznej na wyrok.

Przeczytajmy art. 152 par. 2 kk: „tej samej karze podlega, kto udziela kobiecie ciężarnej pomocy w przerwaniu ciąży z naruszeniem przepisów ustawy lub ją do tego nakłania”. Jakie są znamiona czynu zabronionego, w którego popełnieniu chce się udzielić pomocy, żeby można było skutecznie skazać taką osobę jak Justyna Wydrzyńska? **A.Z.:** Nastąpiło tutaj bardzo poważne nieporozumienie w publicznej debacie, niestety, nawet niektórzy karniści nie oparli się na tekście ustawy.

Przeczytajmy, czym jest pomocnictwo w znaczeniu z art. 18 par. 3. Odpowiada za pomocnictwo ten, kto w zamiarze, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, swoim zachowaniem ułatwia jego popełnienie, w szczególności dostarczając narzędzie, środek przewozu, udzielając rady lub informacji; odpowiada za pomocnictwo także ten, kto wbrew prawnemu, szczególnemu obowiązкови niedopuszczenia do popełnienia czynu zabronionego swoim zaniechaniem ułatwia innej osobie jego popełnienie.

I teraz – art. 152 par. 2 nie opisuje karalności w znaczeniu pomocnictwa z art. 18 par. 3. On mówi o sprawstwie. To przestępstwo o charakterze formalnym, co w tym przypadku oznacza, że nie musiało dojść do aborcji, a kobieta w ciąży nie musiała zażyć tych pigułek, a i tak zostało ono popełnione.

Wystarczy samo przekazanie pigułek.

Drakońskie.

A.Z.: Nie dyskutujemy teraz, czy zachowanie pani Wydrzyńskiej było aksjologicznie uzasadnione albo czy ustawodawca prawidłowo sformułował typ czynu zabronionego art. 152 par. 2, bo to kwestia zmiany ustawy.

Z dużym oporem się wypowiadam, bo nie ma prawomocnego wyroku, ale na podstawie dostępnej wiedzy, m.in. z przekazów medialnych, wnoszę, że zachowanie pani Wydrzyńskiej realizuje znamiona przestępstwa z art. 152 par. 2.

Czyli jeżeli ktoś chce popełnić morderstwo, a ja na ostrzeżenie nóż i mu go dam, to nawet jeśli on zrezygnuje, to ja i tak będę odpowiadał za pomocnictwo?

A.Z.: Tak, choć przy zabójstwie stosuje się art. 18 par. 3. Aby uzupełnić ocenę prawną czynu z nożem, należy przytoczyć art. 22:

„Art. 22. par. 1. Jeżeli czynu zabronionego tylko usiłowano dokonać, podmiot określony w art. 18 par. 2 i 3 odpowiada jak za usiłowanie.

Par 2. Jeżeli czynu zabronionego nie usiłowano dokonać, sąd może zastosować

nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet odstąpić od jej wymierzenia”.

Ale powtórzę, nas interesuje art. 152 par. 2, który mówi o sprawstwie, czyli nie pomocnictwie opisanym w art. 18 par. 3.

Nie jest łatwo się w tym połapać.

E.Ł.: Spróbuję przełożyć z polskiego na nasze. Rozumiem, że w art. 152 par. 2 chodzi o sprawstwo tego, kto działał ku czyjejś aborcji. Ale jakie są znamiona tego sprawstwa? Jeżeli wysyłam pigułki poronne nieznajomemu mężczyźnie, odpowiadam z art. 152 par. 2?

A.Z.: Nie. Przepis określa: „kto udziela pomocy kobiecie w ciąży”.

E.Ł.: Czyli aby odpowiadać karnie, muszę wysłać albo dać tabletki kobiecie ciężarnej, tak?

A.Z.: Mam pomóc kobiecie ciężarnej w dokonaniu aborcji. Ta pomoc może mieć różne formy, np. wysłać leki na adres jej męża, bo tak umówiłem się z ciężarną kobietą. Czyli niekoniecznie do rąk własnych kobiety w ciąży.

E.Ł.: Panie profesorze, mam wątpliwość. Prawo karne stawia znacznie wyższe wymagania jasności i precyzji w opisie składowych czynu przestępnego, niż ma to miejsce w innych działach

prawa. Wykluczone są zatem klauzule generalne, należy unikać dwuznaczności znaczeń, zwrotów niedookreślonych itd.

Tu niejasność jest wyjątkowo zjadliwa. Spróbujmy teraz sami dla siebie postawić cezurę, w którym miejscu zaczyna się to sprawstwo z art. 152 par. 2?

Czy jeżeli mam leki wczesnoporonne w łazienkowej apteczce, a wiadomo, że jestem już w wieku postreprodukcyjnym, i znajoma kobieta w ciąży przyjdzie do mnie i wyciągnie te leki, to czy odpowiadam z art. 152 par. 2?

A.Z.: Nie, bo sprawa jest prosta.

Przestępstwo z art. 152 par. 2 musi być popełnione umyślnie. Sięgnijmy do art. 9 kk. Czyn zabroniony popełniony jest umyślnie, jeżeli sprawca ma zamiar jego popełnienia, to chce go popełnić albo – przewidując możliwość jego popełnienia – na to się godzi.

Czyli muszę mieć zamiar udzielenia pomocy w aborcji lub przynajmniej godzić się na to, że jej udzielam. Trzymanie pigułek w domowej szafce nie oznacza, że jej właścicielka chce komuś konkretnemu pomóc w wykonaniu aborcji.

E.Ł.: Różne organizacje pomagają dziś kobietom, które same chcą przerwać ciążę. I te organizacje mają te pigułki. Dlaczego przepis jest sformułowany tak dziwnie, skoro intuicyjnie kieruje naszą uwagę ku pomocnictwu z art. 18 par. 3? Skoro to przepis sprawstwa formalnego, czy nie można było napisać: „kto propaguje aborcję i ma odpowiednie tabletki, ten podlega karze”? Wtedy byłoby jasne, choć straszne.

No właśnie, panie profesorze. Czy internetowi sprzedawcy leków wczesnoporonnych dopuszczają się jakiegos sprawstwa?

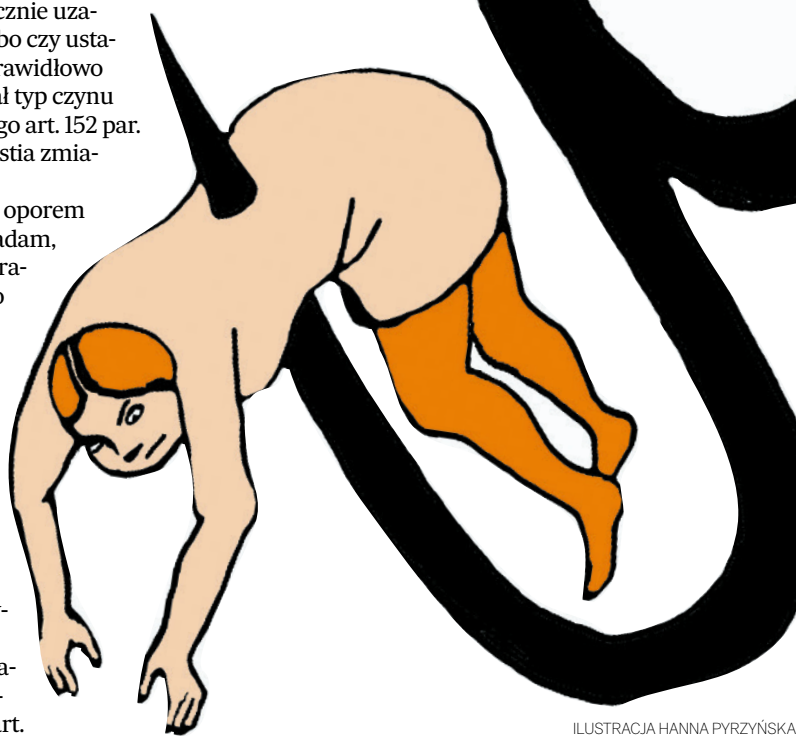
A.Z.: Nie mam żadnej wątpliwości, że tak.

To dlaczego prokuratura uczepliła się tylko pani Wydrzyńskiej?

A.Z.: Trzeba zapytać prokuraturę. Jeżeli jakaś grupa ludzi, np. stowarzyszenie, przekazuje pigułki tym, którzy o to proszą, to popełniają przestępstwo z art. 152 par. 2.

Chciałbym się odnieść do słów pani profesor, dlaczego nie ma sformułowania „każdy, kto posiada”. To wcale nie byłoby ściślejze znamiona, a rozszerzałoby znacznie karalność. Ustawodawca zawęził tutaj odpowiedzialność.

E.Ł.: Formalnie ma pan rację, ustawodawca nie objął posiadania środków wczesnoporonnych art. 152 par. 2. Jednocześnie jednak



ILUSTRACJA HANNA PYRZYŃSKA

robi coś brzydkiego. Udaje, że robi coś innego, a tak naprawdę liczy na oportunizm organów ścigania – jak w tym przypadku.

Weźmy przykład krakowskiej aptekarki, która odmówiła realizacji recepty dla konia z wrzodami, bo ten lek ma również działanie wczesnoporonne u ludzi. Ilość tego specyfiku wywołała u farmaceutki wątpliwości. Policja zabrała z apteki właściciela tego konia z powodu podejrzenia popełnienia, uwaga, przestępstwa z art. 152 par. 2.

Pod płaszczykiem zawężenia karalności ustawodawca wprowadził mętny przepis, w którym złe instynkty społeczeństwa, oportunizm wobec władzy, łatwość zachowań policyjnie wątpliwych żeruje na tym brzmieniu przepisu.

Konstruujący ten przepis prawnicy ułatwili sobie życie. Mają czyste ręczki, a prawdziwy cel realizują inni, którzy postępują ekscesywnie, czyli naruszając powszechne normy.

A.Z.: Pani profesor, nie mogę się z tym zgodzić. Po pierwsze, nie można od ustawodawcy wymagać, aby od razu zakładał ekscesywne interpretowanie przepisu.

E.Ł.: W Trybunale Konstytucyjnym mawialiśmy, że trzeba przewidzieć najbardziej nonsensowne, najbardziej krytyczne zachowanie społeczne właśnie po to, żeby prewencyjnie potencjalnie niebezpieczny przepis wyeliminować z obrotu prawnego, szczególnie z prawa penalnego.

A.Z.: Zgadzam się, prawo penalne musi być wyjątkowo ściśle, bo chodzi o podstawowe prawa człowieka, o jego wolność, majątek, cześć. Tylko pamiętajmy, że ustawa jest pisaną językiem codziennym, używanym przez ludzi, bo jest do nich adresowana. Nie można wtedy wymagać od języka, aby był ścisły.

Słowo „pomaga” jest jednoznaczne w języku codziennym.

Ale wróćmy do konia. Ów człowiek przyniósł do apteki receptę od weterynarza. Pani farmaceutka nie powinna się nawet zastanawiać, czy chodzi o klacz, czy ogiera. To jest sprawa weterynarza. A jej zachowanie było przesadną ostrożnością, żeby jej ktoś nie zarzucił, że ona pomaga w dokonaniu aborcji. Przecież nie chciała pomóc żadnej kobiecie w przerwaniu ciąży, czyli nie miała ani zamiaru bezpośredniego, ani wynikowego.

E.Ł.: Ale doprowadziła do tego, że weterynarze boją się przepisywać koniom środki na wrzody. A właściciele koni mają problem z realizacją swojego prawa do leczenia zwierząt.

A.Z.: Każdy przepis w polskim prawie karnym można idiotycznie interpretować.

E.Ł.: Czy pan profesor chce powiedzieć, że jeżeli pomocnictwo w art. 152 powinno być rozumiane właśnie w tym sensie, tak jak pan mówi, to należy postawić zarzuty wszystkim prokuratorom, którzy nie ściągają np. handlujących w internecie środkami wczesnoporonnymi?

Bo jeśli tak, to cała dyskusja po wyroku przeciwko pani Wydrzyńskiej powinna prowadzić do ocknięcia się prokuratury i natychmiastowego ruszenia ławą na internetowe sklepy farmaceutyczne.

A jeżeli nie, to mam problem z tym, że chodzi o działanie przeciwko NGO-som, które służą pomocą kobietom. Nie dziwię się, że zdaniem kobiet prawo, generalnie rzecz biorąc, jest skierowane przeciwko nim. Pani Wydrzyńska chciała pomóc ofierze przemocy domowej.

Jej przypadek to spłot złej legislacji, złego działania organów ścigania, wybiórczości ostrza penalnej sprawiedliwości kierowanego ewidentnie antykobieco. Jeżeli to się nałoży na postępujące, wieloletnie zaostrożanie możliwości przerywania ciąży, to jako prawnik dyskutujący o społecznym wymiarze prawa stawiam pytanie: jak dzieli się odpowiedzialność za zły skutek prawa pomiędzy ustawodawcą, ścigającym i sądem?

Może zastanówmy się nad możliwością usiłowania dokonania przestępstwa z art. 152 par. 2?

A.Z.: Bardzo wątpliwe jest wystąpienie usiłowania w przestępstwach formalnych. Dlatego nie powinno się przyjmować możli-

wości karalności za usiłowanie popełnienia przestępstwa z art. 152 par. 2. Jeżeli nie mamy do czynienia z bezpośrednim niebezpieczeństwem przekazania tabletek, to nie jest to karalne.

To przestępstwo, wchodzę teraz ściśle w teorię prawa karnego, abstrakcyjnego narażenia na niebezpieczeństwo.

Co to znaczy?

A.Z.: Karze podlega się już na przedpolu zrealizowania czynu zabronionego, gdy do bezpośredniego zagrożenia jego dokonania jeszcze daleka droga. Dlatego nie karze się za usiłowanie z art. 152 par. 2.

E.Ł.: Środki, które mogą być wykorzystane jako poronne, można produkować i sprzedawać, jeżeli dzieje się to zgodnie z przepisami o obrocie farmaceutykami. Pytanie: w którym momencie zaczyna się przejście pomiędzy abstrakcyjnym posiadaniem instrumentu zdolnego do aborcji a tym, że to już zaczyna stanowić samoistny czyn z art. 152 par. 2?

A.Z.: To bardzo łatwo powiedzieć. Kiedy mam zamiar, aby pomóc konkretnej kobiecie w przerwaniu ciąży, podając jej środek poronny.

E.Ł.: Umożliwiając dostęp, powiedzmy w ten sposób.

A.Z.: No dobrze, umożliwiając lub co naj-

Waldemar Paś: *Czy internetowi sprzedawcy leków wczesnoporonnych dopuszczają się jakiegos sprawstwa?*

Andrzej Zoll: *Nie mam żadnej wątpliwości, że tak.*

Ewa Łętowska: *Ustawodawca liczy na oportunizm organów ścigania jak w przypadku pani Wydrzyńskiej*

mniej zgadzając się, że ta pigułka zostanie zażyta do przerwania ciąży.

Jeśli ów klient apteki nie miałby konia chorującego na wrzody, a kupując lek, nie myślałby o konkretnych kobietach w ciąży, to nie popełniałby przestępstwa z art. 152 par. 2?

A.Z.: W takim przypadku bardzo trudno by mi było uzasadnić popełnienie przestępstwa z art. 152 par. 2. Co innego z naruszeniem innych przepisów, np. o obrocie środkami farmaceutycznymi.

E.Ł.: Wróćmy na grunt, który już troszkę zaczęliśmy drążyć. Tej konstrukcji nie rozumiem, pan profesor to przyznał, nawet niektórzy karnicy, powszechnie nie rozumieją sędziowie, a prokuratorzy stosują tak, jakby nie rozumieli.

Niezrozumiała regulacja, powszechnie źle stosowana, jest po prostu niedobra.

A.Z.: Nie mogę się zgodzić. Bo co to znaczy, że ta konstrukcja jest niedobra? „Kto pomaga drugiej osobie” jest wypowiedzią całkowicie zrozumiałą.

Duża część społeczeństwa może się nie zgadzać z regulacją zawartą w ustawie, ale to nie znaczy, że ta regulacja jest niejasna. Ona jest jasna. Trzeba tylko mieć odwagę powiedzieć: nie mam żadnych podstaw do kwestionowania wyroku. Pani Wydrzyńska spełniła znamiona z art. 152 par. 2 – nie widzę tu błędu sędziego.

A dlaczego prokurator nie stosuje przepisu – pani profesor wie, że prokurator często jest oportunistą, szczególnie gdy przelozeni mówią mu: stosuj/nie stosuj. Dzieje się tak zbyt często, dlatego prokuratura funkcjonuje tak fatalnie.

E.Ł.: Pan jest karnikiem, ja nie. Otóż jeżeli osoby o tak różnym światopoglądzie jak pan profesor i ja zgadzają się, że prokuratura kieruje się zasadą oportunizmu, czyli korzyścią dla władzy, a nie legalizmu – działam zawsze, gdy widzę złamanie prawa – to mamy kolejny dowód na to, że prawo jako żywo co innego głosi, a co innego realizuje.

Pesymistyczna konkluzja dla każdego, kto zajmuje się prawem.

A.Z.: Adresatem takiego zarzutu, pani profesor, jest parlament.

Panie profesorze, dlaczego raz pan mówi, że wyrok jest w porządku, a kiedy indziej, że niemożliwe jest usiłowanie dokonania przestępstwa z art. 152 par. 2?

A.Z.: Bo pani Wydrzyńska została skazana nie za usiłowanie popełnienia przestępstwa z art. 152 par. 2, ale za dokonanie tego przestępstwa. Zrealizowała wszystkie jego znamiona: miała zamiar pomóc w przerwaniu ciąży i pomogła, dostarczając pigułki.

Twierdzę, że nie można odpowiadać za usiłowanie pomagania. Każdy powinien zrozumieć tę różnicę.

Gdyby właściciel konia z wrzodami zamierzał sprzedawać tabletki konkretnym kobietom, to pani aptekarka też by odpowiadała?

A.Z.: Przecież art. 152 par. 2 wyraźnie mówi, że „kto pomaga osobie ciężarnej”, czyli aptekarka musiałaby wiedzieć, o jaką osobę ciężarną chodzi, i mieć zamiar pomóc usunąć jej ciążę.

E.Ł.: Rozumiem, że można intelektualnie tak rozumować, jak rozumuje pan profesor.

A to rozumowanie naprawdę jest wyrafinowane.

A.Z.: Prawo jest wyrafinowane.

E.Ł.: Panie profesorze... Jak byłem bardzo młoda, to napisałam doktorat o umowie o świadczenie przez osobę trzecią. Niezżyjący już profesor Kunicki napisał mi w recenzji, że moja książka jest pełna subtelnych rozważań, uwaga, „których potrzeba nie zachodzi”.

Ustawodawca zachował się tu trochę jak Poncjusz Pilat. Wykorzystał oportunizm towarzyszący rozumieniu tej bardzo wyrafinowanej konstrukcji prawnej, aby mieć święty spokój, jednocześnie zgadzając się na ekscesywne, czyli naruszające normy, stosowanie tego przepisu, aby ograniczać możliwości manewru kobiet, które chcą przerwać ciążę.

A czy wyrok przeciwko pani Wydrzyńskiej nie przeczy zasadom przyzwoitości? Chodzi nie tylko o jego formalną zgodność z prawem. Czy sędzia mogła odstąpić od wymierzenia kary?

A.Z.: Nie. Na pewno nie miała do tego podstaw w art. 22.

Dlaczego?

A.Z.: Bo to nie było usiłowanie, tylko sprawstwo.

Ach, no tak. To jest naprawdę pułapka na ludzi...

E.Ł.: Tak, to jest pułapka na ludzi.

Skoro prokuratura nie ściga tysięcy innych, demokracja się sypie, mamy podwójne państwo, sytuacja naprawdę nadzwyczajna – czy racjonalna sędzia nie powinna wziąć tego pod uwagę? Dlaczego musiała skazać panią Wydrzyńską?

A.Z.: Przepraszam bardzo, jeżeli byśmy tak rozmawiali, to po co sędzia skazuje za zabójstwo? Przecież są zabójcy, których nie złapano.

E.Ł.: Pan redaktor za bardzo ułatwia sobie życie. Tak nie można.

A.Z.: Sędziego wiąże ustawa. Jeżeli powiemy, że sędzia nie jest związany ustawą, to doprowadzimy w państwie już do takiego błota, że się z niego nie wykaraskamy.

Ale to pani profesor podkreśla, że w miarę upływu lat ostrze polskiego prawa jest coraz bardziej kierowane przeciwko kobietom.

E.Ł.: W 2002 r. Porozumienie Kobiet wystosowało list do Parlamentu Europejskiego. Wśród sygnatariuszek były Maria Janion, Wisława Szymborska, Magdalena Abakanowicz, Agnieszka Holland, Krystyna Jan-da, Irena Grudzińska-Gross, Henryka Bochniarz, Kora Jackowska, Olga Tokarczuk, An-da Rottenberg, Olga Lipińska i inne osoby, w tym i ja – nie byłam jeszcze w Trybunale Konstytucyjnym. Domagałyśmy się wolnej od zastraszania, demokratycznej debaty o sytuacji kobiet w Polsce. Bardzo rzadko podpisuję tego typu dokumenty, a dziś podpisałabym jeszcze raz.

Jakimś potwornym problemem jest odpowiedzialność prawodawcy, który składa swoje pomysły w określonych warunkach społecznych, innych od tych, z którymi np. obecnie się mierzymy.

A.Z.: W pełni się zgadzam z panią profesor. Ustawodawcą jest szczególnie zobowiązany wziąć pod uwagę sytuację społeczną. Nie można też przechodzić z projektem wieczorem i oczekiwać, żeby jeszcze następnego dnia Senat go zatwierdził, a pan prezydent podpisał.

E.Ł.: Sędziowie są ludźmi z krwi i kości jak reszta naszego społeczeństwa. Jeżeli władza profituje z oportunizmu i pewnej łatwizny, w którą osuwa się społeczeństwo niechzące podejmować moralnie trudnych wyborów i brać za to odpowiedzialności, to na pewno są też sędziowie orzekający ostrożnie. Tak jak medyk, który leczy w sposób nie najlepszy dla zdrowia czy błogostanu pacjenta, tylko najbezpieczniejszy dla niego samego.

Sędzia może orzekać, żeby się nie narażać wyższej instancji, bo wtedy źle wypadnie w statystyce, albo żeby nie narażać się na awanturę przed sądem, że mu będą głośno manifestować albo że go opiszą w gazetach, co sędziowie niekoniecznie dobrze przyjmują itd.

Jesteśmy bardzo oportunistycznym społeczeństwem i bardzo tchórzliwym. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Ewa Łętowska

• specjalistka prawa cywilnego, konstytucyjnego, administracyjnego oraz praw człowieka, rzecznik praw obywatelskich I kadencji, (1988-92), była sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego, sędzia TK w stanie spoczynku, profesor i członkini PAN oraz Polskiej Akademii Umiejętności



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Andrzej Zoll

• karnista związany z UJ, były przewodniczący PKW, sędzia w stanie spoczynku i były prezes TK, rzecznik praw obywatelskich IV kadencji

KILKA LEKCJI Z IZRAELA DLA NASZEJ OPOZYCJI

Orbán, Kaczyński, Netanjahu rozumieją cnotę cierpliwości i wytrwałości

Tomasz Tadeusz Koncewicz*

„W pokoju, w którym ludzie zgodnie utrzymują zмовę milczenia, jedno słowo prawdy brzmi jak strzał z pistoletu”

Czesław Miłosz,
wykład noblowski, 8 grudnia 1980

Decyzja o wyjeździe do Izraela zapadła z godziny na godzinę. Po otrzymaniu zaproszenia od think tanku Israel Democracy Institute 24 godziny później byłem już w samolocie do Tel Awiwu. Przez kilka dni spotykałem się z politykami w Knesecie, rozmawiałem z przedstawicielami organizacji pozarządowych i mediów. Na koniec wziąłem udział w międzynarodowym „panelu kryzysowym” dotyczącym proponowanych przez rząd Netanjahu zmian w sądownictwie. W skład panelu wchodziłi byli ministrowie sprawiedliwości Irlandii, Kanady, byli sędziowie trybunału konstytucyjnego Niemiec i sądu najwyższego Indii oraz dwójka profesorów z European University Institute w Florencji.

Posel do Knesetu Moshe Turpaz potrząsał głową z niedowierzaniem, gdy powiedziałem, że wyroki Trybunału Konstytucyjnego nie są w Polsce publikowane, a prezydent pod osłoną nocy mianuje wybrane z naruszeniem prawa prywatne osoby. Dla niego i jego kolegów taka pogarda dla dokumentu konstytucyjnego była nie do pojęcia.

Zdałem sobie sprawę, że Izraelczycy chcieli poznać mechanikę systemowego i legalistycznego demontażu liberalnych podstaw porządku prawnego, lecz ci sami Izraelczycy mogą nam, Polakom, dać kluczowe lekcje obywatelskiego zaangażowania i mobilizacji.

Tym, co naprawdę mną wstrząsnęło, był wieczorny marsz w Jerozolimie pod rezydencję prezydenta Herzoga w sobotę, 25 marca. Zobaczyłem ludzi, którzy wyraźnie zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji i stawki. To nie był tylko protest

przeciwko samej próbie przejęcia sądu najwyższego. Izraelczycy myśleli o przyszłości swoich dzieci i o wizji państwa, w którym chcieliby żyć. Intuicyjnie rozumieli, że podążanie drogą wytyczoną przez Polskę czy Węgry pozbawiłoby ich praw i podważyło samą istotę ich demokracji. Wśród skandowanych hasel („Demokracja to my!”) było również: „Levin, Levin, to nie Polin”, skierowane do ministra sprawiedliwości, dobitnie podkreślające, że Izrael nie chce podzielić losu Polski.

W tę sobotnią noc poczułem wielki żal. W Polsce nie udało się zmobilizować obywateli w obliczu bezprawia i opresyjności państwa, znacznie poważniejszych niż to, przeciwko czemu protestują Izraelczycy. Obywatele oswoili niegodziwość i bezprawie jako normę dnia codziennego, a nasz kraj jest traktowany jako upadłe państwo, od którego Netanjahu chce się chętnie uczyć.

W Polsce zrozumienie, że gdy bronisz sądu czy Trybunału Konstytucyjnego, bronis równocześnie demokracji, która jest czymś więcej niż moment oddania głosu przy urnie, nigdy nie przeniknęło do świadomości społecznej. Prawdziwa demokracja jest tym, co dzieje się między cyklami wyborczymi, gdy podtrzymują ją instytucje niezależne od rządu. Sądy są takimi samymi elementami systemu demokratycznego jak parlament, rząd czy prezydent, ale różnią się funkcją – zapewniają, że wybrane władze nie mogą robić wszystkiego, co chcą, aby przypodobać się swoim wyborcom. Dla sądu liczy się prawo, a nie najbliższy sondaż. To sąd gwarantuje, że system będzie zakorzeniony w liberalnych wartościach, takich jak rządy prawa, poszanowanie praw mniejszości. Pobyt w Izraelu przypominał mi o tym na każdym kroku.

Tłumaczyłem kolegom, politykom i obywatelom, że w Polsce wszystko zaczęło się od demontażu niezależnego Trybunału Konstytucyjnego. Jeśli chcesz rządzić bez ograniczeń, musisz zacząć od sądu, który kontroluje konstytucyjność prawa, ponieważ ten sąd jest podstawowym przeciwnikiem autokratów. Jego zniszczenie wpływa na funkcjonowanie całego systemu prawnego.

Pytanie, które często słyszałem, brzmiało: dlaczego przejęcie takiego arbitra ma tak kluczowe znaczenie? Tu trzeba przyjąć perspektywę długofalową. Otóż dla Kaczyńskiego i Netanjahu czy im podobnych sąd konstytucyjny (sąd najwyższy w Izraelu) nie jest zwykłą przeszkodą. Plan jest znacz-



nie bardziej wyrafinowany: chodzi o przekształcenie instytucji stanowiącej przeciwwagę dla większościowego ustawodawcy w bezkrytycznego sprzymierzeńca większości i pomocnika rządu. Przejęcie takiego sądu jest więc perłą w koronie autokratycznych liderów. Jeżeli dzisiaj w Izraelu zastanawiają się, co może się wydarzyć, jeżeli nie powiedzą „nie”, wystarczy spojrzeć na Polskę, w której kontrola sądowa jest wykorzystywana jako miecz wymierzony w przeciwników politycznych i w tych wszystkich, którzy myślą inaczej niż obecna większość parlamentarna, a sądy mają się ograniczać do podstemplowywania niekonstytucyjnych inicjatyw rządu.

W licznych rozmowach ostrzegałem przed strategiami przejmowania państwa. Orbán, Kaczyński, Netanjahu rozumieją cnotę cierpliwości i wytrwałości. Strategie zawłaszczania państwa nakładają się na siebie, są powiązane i samonapędzające się. Legalistyczni autokraci wiedzą, jak grać na zwłokę, przeczekać protesty, oszukiwać, manipulować. Raz rozpoczęte przejmowanie wywołuje efekt kuli śnieżnej: początkowe zatrucie polskiego Trybunału Konstytucyjnego zainfekowało cały system prawny. Zawłaszczanie państwa to proces pełen perfidii. Może się zatrzymać na chwilę, pójsz na niewielkie ustępstwo, by po chwili wytchnienia powrócić ze wzmożonym atakiem i liczyć, że to czekanie zmęczyło ludzi i tym razem jakoś uda się przepchnąć nielegalne projekty ustaw.

Przejmowanie państwa nie zna słowa „nie”. Widzieliśmy to w przypadku Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego czy nawet bezbronnej Puszczy Białowieskiej.

Z polskiego doświadczenia niechlubna instrukcja przechwytywania państwa i niezależnych instytucji zawierałaby następujące elementy:

1. Jeśli nie możesz zmienić konstytucji, omijaj i marginalizuj ją.

2. Powtarzaj i forsuj kłamstwa aż do powstania nowej doktryny i niekonstytucyjnej zmiany.
3. Wprowadzaj niekonstytucyjne przepisy do skutku.
4. Wycofuj się i ustępuj w kwestiach nieistotnych, jednocześnie forsując to, co istotne.
5. Gwałtem i siłą twórz niekonstytucyjne fakty, których nie będzie można już cofnąć.
6. Baw się w kotka i myszkę.
7. Graj na przeczekanie.
8. Wyprzedzaj opór publiczny.
9. Przetrzymaj burzę publicznego oburzenia i protesty, a potem wróć z jeszcze bardziej radykalnymi zmianami.
10. Gdy wyrzucą cię przez okno, zakradaj się z powrotem tylnymi drzwiami, tak aby bezprawie i niekonstytucyjność stały się w końcu elementem dnia codziennego.

To menu manipulacji jest kluczowe, ponieważ w pewnym momencie zostaje osiągnięty punkt krytyczny i cały system się załamuje. Przejęcie i zniszczenie Trybunału Konstytucyjnego, a potem Sądu Najwyższego nastąpiło z mistrzowską kalkulacją i zimną krwią. W tym drugim przypadku udało się nawet pomimo masowych protestów w lipcu 2017 – które nie podkopały determinacji autokratów, a jedynie spowolniły ich na jakiś czas, tylko po to, by po osłabieniu protestów i utracie zainteresowania ludzi przyjąć przy aktywnym zaangażowaniu Dudy (sprzedawanym ludziom jako rzekomy kompromis) jeszcze bardziej trujący pakiet legislacyjny, który w końcu osiągnął skutek kagańcowy wobec sądownictwa.

Odczekanie kilku tygodni w 2017 roku zrobiło różnicę. Sąd Najwyższy został zdobyty przy minimalnej tylko uwadze i zainteresowaniu opinii publicznej. Izraelczycy nie mogą nigdy zapomnieć, że jeśli dzisiaj odpuszczą choć na chwilę, jutro będzie już za późno.

Ostrzegałem, że Izrael nie powinien powtarzać naszych błędów. Przesłanie do protestujących obywateli

FOT. ODED BALITY/AP



musi zawierać trzy elementy: 1) zachowanie czujności; 2) pozostawanie wiernym fundamentom porządku konstytucyjnego; 3) zrozumienie, przeciwko komu toczycie tę bitwę. Nie ma miejsca na kompromis. Netanjahu nie wyprowadzi przeciwko wam czołgów, ale pod przykrywką przepisów prawnych wypatroszy liberalny system od środka. Nie będziemy świadkami masowego łamania praw człowieka, morderstw politycznych czy masowego osadzania ludzi w więzieniach. Legalistyczni auto-kraci przejmą kontrolę nad niezależnymi instytucjami metodami całkowicie zgodnymi z prawem – z jego literą, ale nie duchem. A na koniec uczynią z nich „zniewolone umysły”: potulne, biernie, przyjmujące bezprawie jako „business as usual”.

My w Polsce przechodzimy właśnie od przejęcia państwa do zniewolenia umysłów i wytworzenia totalnej obojętności na bezczelność władzy, zakłamanie i pogardę wobec tych, którzy nie akceptują Polski w wydaniu PiS.

Izraelczycy rozumieją, że ich walka nie dotyczy więc tylko sądu najwyższego, ale obrony pewnego sposobu życia we wzajemnie szanującej się wspólnocie obywateli aspirujących do życia w przyzwoitym i otwartym państwie. Stąd ta niesamowita mobilizacja. Ale żeby walka była skuteczna, ich udział nie może się kończyć na jednym czy drugim proteście. Jeśli chcesz wygrać długoterminowo, musisz być wytrwały, skoordynowany i przez mgłę kłamstwa dostrzegać puste obietnice i manipulację.

I znów Polska musi być postrzegana jako ostrzeżenie: potężna mobilizacja po aborcyjnym wyroku pseudosądu Przylebskiej była wielką szansą, ale zabrakło nam konsekwencji, cierpliwości, jasnego przekazu i, co kluczowe, politycznej opozycji, która wykazałaby się choć odrobiną konstytucyjnej wyobraźni wykraczającej poza małostkową politykę dnia dzisiejszego, która pozwoliła by jasno sformułować społeczny przekaz,

że stawką jest przetrwanie państwa prawa. Impuls szybko wygasł.

Tylko długotrwała presja ze strony obywateli może przynieść trwały efekt. W Izraelu protesty odniosły sukces właśnie dlatego, że ludzie nie opuścili ulic po kilku dniach, nie zadowolili się pustymi obietnicami. Przeciwnie, zwiększyli obecność w sferze publicznej, protestując nie tylko przeciwko samej reformie, ale także przeciwko ograniczaniu praw kobiet i mniejszości seksualnych oraz okupacji terytoriów palestyńskich.

Bolesne lekcje z upadku niezależnego sądownictwa w Polsce pokazały, jak bezbronne są instytucje, które nie cieszą się społecznym poparciem i zrozumieniem. Uderzające dla mnie było to, w jakim stopniu obywatele Izraela rozumieją znaczenie społecznej legitymizacji instytucji, a władzy sądowniczej w szczególności.

Spółeczna legitymizacja sądów musi być analizowana jako połączenie właściwości, procesu i percepcji. Perspektywa „właściwości” wyjaśnia nam relacje między sądami a ich bezpośrednim otoczeniem. Istotne jest przekonanie, że instytucje posiadają atrybuty (np. służą dobru wspólnemu, są rozsądne, sprawiedliwe itp.), które uzasadniają nasze uznanie ich autorytetu i tłumaczą naszą ciągłą gotowość do ich respektowania. Uznanie instytucji za prawomocne nie wynika po prostu z ich formalności („bo jest”), ale przede wszystkim ze społecznego zaufania i wiary w te instytucje. Kiedy autorytet instytucji staje się społecznie akceptowany, instytucje i ich władza stają się w oczach społecznych prawomocne.

Spółeczna legitymizacja jako „proces” z kolei wiąże się z niełatwym procesem jej stawania się. Bo jest ona nie dana, lecz zmienna: zaufanie wobec instytucji w głowach członków wspólnoty, której instytucje służą, jest generowane w czasie i jest wynikiową historii, kontekstu i kultury. Legitymizacja społeczna sądów jest budowana

w wyniku powtarzalnej długotrwałej praktyki i działania, które budują postawy i nawyki. To wymierzanie sprawiedliwości według akceptowalnego społecznie standardu tworzy w głowach obywateli poczucie, że sądy zasługują na społeczne uznanie i obronę. Dlatego sądy muszą budować poczucie wspólnej sprawy i celu wykraczającego poza własny interes. Im bardziej instytucje bronią praktyki rządów prawa i tłumaczą ją obywatelom, tym trudniej będzie je przechwycić i tym bardziej legitymacja społeczna będzie funkcjonować jak tarcza przeciwko tym, którzy chcą zawłaszczyć instytucje i niszczyć konstytucję.

Gdy uda się połączyć te trzy elementy, możemy dojść do wierności konstytucyjnej, a więc sytuacji, gdy abstrakcyjne idee i zasady konstytucyjne są przekształcone w praktykę i żywe doświadczenie. Społeczne osadzenie funkcji sądów oznacza, że konstytucja staje się „konstytucją obywateli”, że sąd staje się „moim sądem” i wreszcie, że sędzia staje się „dobrym sędzią” chroniącym obywatela przed państwem i tworzącym w obywatelu przekonanie, że niezależnych sądów nie można skazać na zapomnienie.

Z tego powodu Netanjahu już wie, że tej bitwy nie da się wygrać, bo obywatele nigdy nie pozwolą, by ich sąd najwyższy zginął jak nasz Trybunał Konstytucyjny, w ciemności i zapomnieniu. I to jest jedna z wielu lekcji, których my, Polacy, a także liderzy naszej beznadziejnie zagubionej i bezradnej opozycji możemy się nauczyć od Izraelczyków.

Od chwili, gdy Netanjahu odwołał ministra obrony Jo'awa Galanta, który publicznie ostrzegł przed ryzykiem, jakie niesie forsowana „reforma” sądownictwa dla bezpieczeństwa państwa, opór tylko rósł. Ta decyzja tylko spotęgowała gniew ludzi, ale też niewyobrażalną mobilizację całego społeczeństwa. Szef największego związku zawodowego zapowiedział strajk, do którego dołączyli przedstawiciele branży high-tech, uniwersytety, szpitale, nawet konsulaty. Netanjahu zrozumiał, że ludzie się nie cofną, i sam zaczyna powoli wycofywać się z planu zawłaszczenia sądownictwa.

W Izraelu ma miejsce konstytucyjna rewolucja, która definiuje charakter państwa na kolejne dekady. Rozmawiając z polity-

Protesty przeciwko Netanjahu odniosły sukces, bo ludzie nie opuścili ulic po kilku dniach, nie zadowolili się pustymi obietnicami

Sądy bez poparcia społecznego są bezbronne. Dlaczego tylko władza sądownicza zakorzeniona społecznie jest brana na poważnie przez przebiegłych autokratów: rozumieją, że zanim zaatakują wymiar sprawiedliwości, będą musieli się zmierzyć z obywatelami gotowymi walczyć o „swoje sądy”. Dotyczy to każdej instytucji.

To być może najważniejsza lekcja, której nigdy nie odrobiliśmy w Polsce i którą chciałem przekazać Izraelczykom.

Dziś polityczny kompromis, który osładzałby nieco planowaną reformę sądownictwa, ale utrzymywałby cel, jakim jest przejście kontroli nad mianowaniem sędziów i przyznanie większości w Knesecie uprawnień do odrzucania orzeczeń sądu najwyższego, musi brać pod uwagę, że Izrael jest już innym krajem niż jeszcze kilka tygodni temu. Obywatele są zdeterminowani, jasno rozumieją stawkę i domagają się znacznie więcej niż jeszcze miesiąc temu. Jeśli więc Netanjahu jedynie złagodzi szczegóły swoich planów, ale utrzyma ich istotę, obywatele tego już nie zaakceptują: sąd najwyższy albo ma być w 100 procentach niezależny od władzy politycznej, albo w ogóle go nie będzie.

Ważne będzie również to, jak zachowa się sam sąd najwyższy, który również będzie musiał się zmierzyć z nowymi ustawami. Nie może się zgodzić na żaden pospieszny wymyślony kompromis polityczny, który zagrozi niezależności sądów czy równowadze władz. Jeśli zaakceptuje niedemokratyczne zmiany, będzie to koniec tej instytucji. Ludzie nie będą już występować tylko przeciwko elitom rządzącym, ale też zwrócić się przeciwko samemu sądowi. Każda instytucja (sądy w szczególności), o czym boleśnie przekonaaliśmy się w Polsce, jest silna, gdy ma wsparcie opinii publicznej. Poparcie obywateli i społeczna legitymizacja instytucji to najskuteczniejsza broń instytucji w starciu z legalistycznymi autokratami typu Netanjahu, Orbán czy Kaczyński.

kami i będąc wśród protestujących, zrozumiałem, że nie ma już powrotu do sytuacji sprzed protestów. Uruchomiona została ogromna siła społeczna, a dyskusja publiczna przeniosła się na najbardziej fundamentalne pytanie: jak daleko władze mogą się posunąć, by wpływać na życie zwykłych Izraelczyków. Bez względu na to, co wydarzy się na szczeblu politycznym, Izrael przechodzi „moment konstytucyjny”. Obywatele już wygrali, a politycy o tym wiedzą, nawet jeśli wciąż boją się to przyznać i zaakceptować nową sytuację. Kilka tygodni temu stawką było przetrwanie sądu najwyższego, dziś stawką jest obrona i przetrwanie demokracji i pewnego sposobu życia.

Takiej determinacji, obywatelskiego zaangażowania i konstytucyjnej wierności Polska nigdy nie widziała i nie zaznała. W sobotnią noc w Jerozolimie i podczas każdej rozmowy z Izraelczykami zastanawiałem się, mając w pamięci nasze polskie protesty: co by było, gdyby... ●

*Tomasz Tadeusz Koncewicz

• profesor prawa, kierownik Katedry Prawa Europejskiego i Komparatystyki Prawniczej Uniwersytetu Gdańskiego, adwokat, członek Editorial Board „Oksfordzkiej encyklopedii prawa Unii Europejskiej” i zespołu doradców ds. kontroli konstytucyjności prawa przy marszałku Senatu RP. Zasiada w radzie Fondation Jean Monnet pour L'Europe w Lozannie

OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

KAŻDY JEST W PIEKLE CHRONIONY

Żyjemy w najbezpieczniejszych czasach w dziejach cywilizacji. Może wystarczy już tego bezpieczeństwa?

Krzysztof Katkowski*



Niebezpieczeństwo czai się wszędzie. Na przystanku ktoś może nas napaść, o ile nie wjedzie w nas pijany kierowca. W ciemnej uliczce może się stać wszystko, włącznie z oskórowaniem albo przerobieniem na pasztet. Na szynach jakaś Aneczka mogła rozlać olej. Niebezpieczeństwo grozi nam jako pieszym i kierowcom, jako konsumentom i przedsiębiorcom, jako pracownikom i pracodawcom. Wystawienie na ryzyko to nieodłączny element naszego życia, uregulowany nawet w kodeksie cywilnym („Proszę o omówienie odpowiedzialności na bazie zasady ryzyka” – to jedno z pytań – zmor studentów trzeciego roku prawa).

I tak zgodnie z art. 435 par. 1 kc prowadzący na własny rachunek przedsiębiorstwo lub zakład wprawiany w ruch za pomocą sił przyrody (pary, gazu, elektryczności, paliw) ponosi odpowiedzialność za szkodę na osobie lub mieniu wyrządzoną przez ruch przedsiębiorstwa lub zakładu, chyba że szkoda nastąpiła wskutek siły wyższej albo wyłącznie z winy poszkodowanego lub osoby trzeciej, za którą nie ponosi odpowiedzialności. Prawo karne reguluje liczne przypadki, kiedy coś dzieje się niezamierzenie – „nieumyślne spowodowanie śmierci” (art. 155 kk) – i różne konstrukcje regulujące odpowiedzialność, kiedy nie planowaliśmy popełniać zbrodni czy przestępstwa. Ryzyko czai się nawet w codziennej etykiecie – boimy się, że przy stole wyrwie się nam przykry odgłos, boimy się zbłądzić przy nauczycielu, rówieśnikach, członkach rodziny.

Przed tym ryzykiem, którego nie redukują wstyd i obawa przed zbłądzeniem się, chronią nas przymus państwa oraz ubezpieczenia – nie tylko te komercyjne, ale również społeczne, renty, zasiłki macierzyńskie czy emerytury. Żyjemy w najbezpieczniejszych czasach w dziejach cywilizacji. Jak pisze w książce „Pochwała ryzyka” francuska psychoanalityczka Anne Dufourmantelle, jako społeczeństwo zbliżamy się do poczucia zerowego ryzyka. Chroni nas coraz więcej norm społecznych – już nie tylko prawo i zwyczaj, ale też kolejne zalecenia od lekarzy i różnorodnych ekspertów, wskazówki i sugestie wyrażone wprost lub w formie sugestii przez krewnych i znajomych, presje tej czy innej bańki w mediach społecznościowych. Otaczamy się kolejnymi normami, żeby nie ryzykować... czegokolwiek. Lecz Dufourmantelle zauważa, że „żadna chyba epoka

nie była »pewniejsza« niż nasza, a jednak wszyscy doświadczamy „rosnącego niepokoju, niewspółmiernego do wydarzeń” – albo raczej do ryzyka jakichś wydarzeń. Jednak wciąż słyszymy o kolejnych ryzykach, które trzeba wyeliminować. I przez tę naszą obsesję porządku i bezpieczeństwa – zrozumiałą, bo mającą zdusić w nas potrzebę wojen jeszcze gorszych niż ta w Ukrainie, „tak radykalnie odczłowieczających, że nie jesteśmy sobie w stanie ich wyobrazić” – wpadamy w pseudodojrzałość, zabijając jakikolwiek rozwój osobisty. No i czy serio wierzymy, że kiedyś nasze liczniki ryzyka będą wynosić okrągłutkie zero? Dufourmantelle sprzeciwia się ideologii niwelowania ryzyka i nie jest w tym osamotniona – wtóruje jej wybitny belgijski filozof prawa Laurent de Sutter, autor wydanej kilka miesięcy temu „Pochwały niebezpieczeństwa”. Wyzwanie, które proponują,

jest proste: „niebezpieczeństwu trzeba pa-
trzeć prosto w twarz”.

B rzmi efektownie, ale dla wielu prze-
rażająco. I to od dziesiątek pokoleń.
Wszak cała tradycja myśli i nauki
europejskiej to jeden wielki lęk przed
rozregulowaniem. Platon i Arystoteles cali
drżeli, gdy tylko pojawiła im się w głowach
myśli o jakimś braku odpowiedniej liczby
regulacji: wystarczy spojrzeć, jakie pań-
stwo wymarzył sobie Platon i co jego uczeń
myślał o demokracji.

Później nie jest lepiej. Z jednej strony,
owszem, wciąż powraca obsesja „poznaj
samego siebie”, starogreckie „gnothi seau-
ton” wyryte na bramie wyroczni delfickiej,
która zakładała odkrycie pewnej uniwer-
salnej prawdy o sobie – też tylko pozornie
wolnościowa, gdyż najlepiej, by owa praw-
da była w zgodzie z panującymi akurat re-
aliami społecznymi.

Z drugiej strony – obsesja porządku,
przepelniająca prawo rzymskie, na któ-
rym opiera się praktycznie całe współcze-
sne prawo prywatne. De Sutter wskazuje,
że słowo „danger”, oznaczające i po fran-
cusku, i po angielsku „niebezpieczeństwo”,
wywodzi się od łacińskiego „dominium”
(„władza”), pochodzącego z kolei od „domi-
nus” – „pan domu”. „Niebezpieczeństwo”
wywodzi się od myślenia o kimś, kto za-
rządza domem, czyli własnością prywatną.
Suwerenność pana domu wiąże się z nie-
bezpieczeństwem i zarządzaniem nim. Już
od czasów rzymskich nie da się więc my-
śleć o niebezpieczeństwie bez myślenia
o władzy.

Kolejne wieki i odsłony cywilizacji tylko
utwierdzały nas w przekonaniu, że rozregu-
lowany świat to zmore. Widać to po tym, jak
dawniej przedstawiano piekło – nieład, mnó-
stwo postaci spleatanych, gestykulujących,
kierujących się w różne strony; coś jak na
dyptyku „Ukrzyżowanie i Sąd Ostateczny”
Jana van Eycka, ukazującego symetrię Nie-
ba i chaos Piekła. Chaos to straszny stan na-
tury, któremu musi przeciwstawić się racjo-
nalna organizacja państwa – o tym pisał za-
chwalający Lewiatana Thomas Hobbes, czy-
li, jak zauważył Marcin Król, jeden z ojców
koncepcji państwa opiekuńczego. Prawo to
zachowanie symetrii, kontroli; bez niego ma
istnieć tylko anarchia czy, jak pisał o czasach
baroku francuski historyk Lucien Febvre,
„zawsze i wszędzie strach”.

P rawdziwy boom przyszedł jednak
w czasie skoku w nowoczesność, czyli
na przełomie wieków XVIII i XIX.
W wyniku reakcji na przemiany społeczne,
oparte często na idei „wolności”, pojawiła
się nowa ideologia społeczna nazwana
konserwatyzmem. Przy czym strach przed
rozregulowanym światem dotyczył nie
tylko szeroko pojętej prawicy. Liberalowie,
tak zachwyceni dzikim kapitalizmem,
także chcieli odciąć się od ryzyka – bo
dlaczego akurat ja miałbym utracić firmę
i moc skończyć żerowanie na pracowni-
kach? Także lewicy zależało na ucieczce
od niebezpieczeństwa; to w tym miejscu
spektrum politycznego rozwijała się idea
ubezpieczeń – oraz, inne w formie i inten-
cji, lecz w duchu bliskie konserwatystom,
marzenia o uregulowanych wspólnotach.

Takie myślenie dało nawet podwaliny
pod nową naukę, czyli socjologię. Spójrzmy
bowiem, co o przemianach w wieku XIX
pisał jej założyciel, powiązany z francuski-
mi socjalistami Emil Durkheim:

„Nasza wiara została zakłócona, trady-
cja straciła wiele ze swej władzy, osąd in-
dywidualny wyemancypował się spod osą-
du zbiorowego. Funkcje, które rozprzę-
gły się podczas tego zamętu, nie miały cza-
su na to, by dopasować się do siebie, no-
we życie, które wyłoniło się nagle, nie cał-
kiem mogło się zorganizować, zwłaszcza
zaś nie zorganizowało się tak, aby zaspoko-
ić wzbudzoną w naszych sercach coraz go-
rętszą potrzebę sprawiedliwości. Niepokój
nasz nie bierze się z faktu, że krytyka uczo-
nych zniszczyła tradycyjne objaśnianie na-
szych obowiązków, i stąd jakiś nowy sys-

tem filozoficzny nie mógłby owego niepo-
koju rozproszyć. Niepokój wynika ze stanu
rozprzężenia, spowodowanego tym, że nie-
które powinności nie są już oparte na rze-
czywistym stanie rzeczy, rozprzężenia, któ-
re skończy się dopiero wtedy, gdy powsta-
nie i utrwali się nowa dyscyplina”.

W klimacie intelektualnym ostatnich
dekad Durkheim poczułby się jak w do-
mu. Oto słynny libański pisarz Amin Ma-
alouf w książce o wymownym tytule „Roz-
regulowany świat” martwi się, że potencja-
ły i cywilizacji zachodniej, i arabskiej wy-
czerpały się. „weszliśmy w nowy wiek bez
kompasu”. Ulrich Beck nazywa nas „społe-
czeństwem ryzyka”: wystawionym na ryzy-
ko ekologiczne, zdrowotne, informatyczne
i społeczne. Jesteśmy skazani na niebezpie-
czeństwa, na które nie mamy wpływu – jak
choćby to atomowe. Wybitny niemiecki
socjolog konkluduje, że nadszedł koniec
wszystkich tak pieczołowicie przez nas ho-
dowanych możliwości dystansowania się.
„Można się odgrodzić od biedy – od niebez-
pieczeństw epoki atomu już nie”.

O wszechobecnym niebezpieczeństwie
pisze też Zygmunt Bauman, trapiąc się
płynną nowoczesnością, czyli właśnie roz-
regulowanym światem późnego kapitali-
zmu. Za nią ma przychodzić płynny lęk,
czyli ciągle poczucie niepokoju funkcyjono-
wania w tym świecie, zmuszające nas do
wypracowania własnej indywidualnej etyki.

N asza cywilizacja europejska to więc
historia ciągłego niepokoju o kontrolę.
Gdyby posadzić ją na kozetce, psy-
choterapeuta zdiagnozowałby zaburzenia
obsesyjno-kompulsywne. Kompulsje to ciągłe
powracanie do nakładania nowych kar i zwy-
czajów, czy jak chciał Durkheim, „powstania
i utrwalenia się nowej dyscypliny”.

Obsesja zaś jest prosta: to strach przed
nieporządkiem, wystawieniem się na nie-
bezpieczeństwo, a ostatnio nawet na ryzy-
ko – bo już i przed nim jesteśmy chronieni.
W istocie drżymy na samą myśl, że cokol-
wiek mogłoby się zmienić; że coś nie jest
zaplanowane. Tak jak osoby cierpiące na
OCD przed wyjściem z domu musimy za-
łatwić setki małych rzeczy, żeby na pewno
„nie stało się nic złego”. Masowo boimy się
potencjalności ryzyka – bo to może ozna-
czać drogę szybkiego ruchu do jakiejś ży-
ciowej tragedii.

Nic, wszędzie tylko obsesyjny, nieopa-
nowany strach, z którym próbujemy so-
bie poradzić tak, jak umiemy – czyli kom-
pulsywnie. Szybkimi poprawkami, zmiana-
mi ustaw, ograniczeniami prędkości na au-
tostradach, oznaczeniami typu „najlepiej
spożyć przed”, cancelowaniem albo stawia-
niem na piedestał, opieraniem się na dziw-
nych, często toksycznych autorytetach.

Co z tego jednak, że idealnie zaprojek-
tujemy autostradę i zakażemy się rozpę-
dzać, jeśli i tak wjedzie na nią pod prąd pi-
jany kierowca. Co z tego, że kupimy do-
brze oznakowane mięso i nabiał, jeśli ktoś
się pomyli i towar będzie od początku po-
psuty. Co z tego, że kogoś skancelujemy, je-
śli i tak zaraz zostanie zaproszony gdzie in-
dziej, gdzie nasze zasady nie są aż tak prze-
strzegane. Co z tego, że oprzemy się na ja-
kimś autorytecie, jeśli, dajmy na to, okaże
się hierarchą ukrywającym pedofilów.

I co z tego, że zmienimy ustawę, jeśli lu-
dzie – i same organy państwa – nie będą jej
dokładnie przestrzegać.

N owoczesność miała być wielkim
skokiem naprzód: byle dalej od tego
strachu, w świat wolny od ślepego
i nieprzeniknionego losu – owej wylęgarni
lęków”, pisze Bauman. To idealnie wpisuje
się w rozumienie nerwicy u Dufourman-
telle – opartej na kontroli, zamknięciu się
w tym, co znane.

Chyba nikt lepiej nie opisał tego niż Emil
Zola. Wybitny Francuz, cierpiący skądinąd
właśnie na zaburzenia obsesyjno-kompul-
sywne, w powieści „Bestia ludzka” przedsta-
wia nam Jacques’a Lantiera, który musi pra-
cować w czymś znanym i ustalonym – tu
akurat na kolei – bo inaczej „zejdzie z dro-

gi” i... zacznie zabijać. Na tym opiera się me-
chanizm OCD – na próbie zamknięcia się
w tym, co znane, aby ukryć się przed obraza-
mi płynącymi z obsesji. Wszyscy – zachwy-
cający się „Dniem, w którym umarło słońce”
Yana Lianke, zgłębiający metafory „Miasta
ślepców” Saramago, szukający analogii z te-
raźniejszością w „The Last of Us” – jesteśmy
jak Lantier, zagubieni w kompulsji wykony-
wania tego, co znane, z obawą przed tym, co
może być nieznanne.

Czy jest w ogóle możliwe uleczenie na-
szego lęku przed chaosem?

Z pomocą przychodzi filozofia. Na przy-
kład właśnie de Sutter. Cała jego twórczość – z „L’âge de l’anesthésie. La mise so-
us contrôle des affects” (przetłumaczoną
wdzięcznie na angielski jako „Narcocapi-
talism”) oraz „Hors la loi” („Po prawie”) na
czele – to jedna wielka próba wyleczenia
nas z obsesyjno-kompulsywnych zaburzeń.

De Sutter przedstawia współczesne spo-
łeczeństwa jako sparaliżowane przez... le-
ki, które wprowadziły nas w „wiek znieczu-
lenia”. Znieczulenia, które Belg utożsamia
wprost z istnieniem późnego kapitalizmu:
ludzie, zamiast działać, są ośpiani i okrada-
ni z jakiegokolwiek mocy sprawczej. Nie jest
to jednak prosta, niskich lotów krytyka psy-
chiatrrii, lecz zatroskana refleksja, że w rze-
czywistości, w której niezależnie od dawek
i liczby sesji nie da się do końca wyzdrowieć,
bo wali się – lub tak nam się wydaje – cały
świat, obecna psychiatria jest nieadekwatna.
Stawia bowiem na znieczulanie nas, a nie na
próbę zmiany otaczającego nas świata i na-
szych światopoglądów. Czyny nas biernymi,
nie popycha do działania.

Również współczesne prawo na globalnej
Północy, tak stawiane przez nas na piedesta-
le jako regulator zdrowego życia publiczne-
go i gwarant swobód demokratycznych, de
Sutter – z wykształcenia prawnik – podda-
je krytyce jako archaiczne w swojej istocie.
Dlaczego? To proste: od czasów rzymskich

Może uratuje nas filozofia traktująca ryzyko nie jako zagrożenie, które trzeba (najlepiej za pomocą nie tylko kolejnych regulacji, ale też coraz kosztowniejszych usług i produktów) wyeliminować, lecz jako poszerzenie możliwości?

myśl prawnicza ma obsesję na punkcie po-
rządku – choć przecież nawet w stabilnych
społeczeństwach liberalnych i demokratycz-
nych prawo zmienia się każdego dnia.

Belg odwołuje się do takich koncepcji
jak żydowski prawny pluralizm halachicz-
ny – w którym jednocześnie obowiązywać
mogły opinie prawne różnych szkół – żeby
pokazać, że prawo jest w zasadzie sprzecz-
ne, że jego trwałość to mit. Stara się do-
wieść, że nasi sędziowie i prawnicy wciąż
cytujący starożytnych jurystów takich jak
Ulpianus i Gaius, nasze przepisy, konstytu-
cje i ustawy to tylko kompulsje wynikające
z obsesji, jaką mamy na punkcie chaosu.
„Tylko że chaos jest wszędzie, nie możemy
od niego uciec” – mówi nam de Sutter.

C o więc robić? To dopowiada inna
francuska psychoanalityczka Éli-
sabeth Roudinesco: „trzeba zna-

leżć równowagę między ochroną, jaką
państwo musi zapewnić podmiotowi,
a świadomością tego, że nigdy nie uda
się wykorzenić przemocy”. Bo „ideologia,
która obiecuje całkowite bezpieczeństwo,
jest katastrofą”. Człowiek, na co wskazuje
psychoanaliza, potrzebuje tak ryzyka, jak
opieki – nie chodzi więc o popadnięcie
w kapitalizm lub inny izm typu laissez
faire, tylko o ucieczkę od fiksacji na punk-
cie matczynej opieki. Takiej, jaką opisał
w „Rewizji psychoanalizy” Erich Fromm:
„Matka jest życiem. Jest bezpieczeń-
stwem. Oslania dziecko przed realnością
ludzkiej sytuacji, która wymaga działania,
decydowania, podejmowania ryzyka,
umiejętności znoszenia samotności oraz
umierania”. Żeby osiągnąć dojrzałość,
potrzebujemy możliwości podejmowania
własnych decyzji i ponoszenia za nie od-
powiedzialności. Nie rezygnując z pomo-
cy państwa – matki, ale też nie oddając
mu całej sprawczości.

I tak wracamy do propozycji Dufour-
mantelle, która nie odrzuca idei opieki, te-
rapeutycznej czy instytucjonalnej, lecz ro-
zumie ją jako zewnętrzną zachętę i wspar-
cie dla działania.

Francuzka odwołuje się do figury Eury-
dyki. Ukochana Orfeusza ukąszona przez
węża trafiła do Hadesu; bogowie ulegli
prośbom ich ulubieńca, genialnego muzy-
ka, i zgodzili się, by wyprowadził ją z Pod-
ziemi – ale pod warunkiem, że na nią
nie spojrzy.

Jak przystało na takie opowieści, od-
wrócił się i wszystko przepadło. Lecz Du-
fourmantelle zauważa, że dopiero teraz
„błądząca między żywymi i umarłymi” Eu-
rydyka jest naprawdę samodzielna i wol-
na. Również Piekło, z którego się wydo-
stała – wbrew wizjom van Eycka – w isto-
cie jest nie chaosem, którego się lękamy,
ale uosobieniem tego, czego wszyscy pra-
gniemy.

„Każdy jest w piekle chroniony, a przy-
najmniej tak sądzi. Żadnego nieładu, tego
się nie toleruje. Żadnego dystansu, waha-
nia, zdziwienia. Dobrowolne poddaństwo
jest prawem – tutaj rządzi spokój. Cichsze
nie bywają nawet korytarze szpitali psy-
chiatrycznych w odosobnionych dzielni-
cach, tylko że tutaj nie potrzeba żadnych
leków. Piekło jest samosterrorowane przez
swoich mieszkańców bez potrzeby ze-
wnętrznej instancji, która by nad nim czu-
wała – posłuszeństwu dusz może się rów-
nać tylko ich pustota”.

Filozof i publicysta Tomasz Stawiszyni-
ski nie bez powodu we wstępie do swoich
„Reguł na czas chaosu” napisze, że „jednym
z naszych głównych problemów jest wła-
śnie kompulsywne poszukiwanie prostych
rozwiązań dla spraw skrajnie skomplikowa-
nych, oczywistych sposobów wyjścia z dale-
ce nieoczekiwanych sytuacji”.

Anne Dufourmantelle ode-
szła w 2011 roku. „Filozofka,
która chwaliła ryzyko,
zginęła, ratując dzieci przed uto-
nięciem”, ogłosił „The New York
Times”. To tytuł prawie ironiczny,
jeśli nie prześmiewczy.

Lecz filozofia Dufourmantel-
le i de Suttera to nie pochwała sko-
ków na bungee i poszukiwania ko-
lejných nowych źródeł coraz więk-
szej i większej produkcji adrenali-
ny. Francuzce i Belgowi nie chodzi
o ryzyko płochę i chwilową niepro-
duktywną ekscytację, nie o kulturę
emocjonującej zabawy ani o ego-
istyczne – że przywołamy słynne
uliczne rajdy „Froga” i zakończony
śmiercią młodego ojca wyścig
na ćwierć mili na warszawskich
Bielanach – zaspokojenie potrze-
by ożywczego dreszczyku cudzym
kosztem, bez oglądania się na in-
nych i na społeczność.

De Sutter próbuje obalić ca-
łą europejską filozofię wraz z jej
myśleniem o prawodawstwie,
by wprowadzić nas w nową epo-
kę, z zupełnie innym myśleniem
o prawie i bezpieczeństwie. Dufo-
urmantelle proponuje ryzykowa-
nie – czyli wyjście z tego, co znane,
i otwarcie się na potencjalności ży-
cia – jako sposób na stanięcie twa-
rzą w twarz nie tylko z lękiem, ale
też smutkiem, cielesnością, wol-
nością, mową, a nawet wiarą (tu-
taj staje w jednym rzędzie, choć ja-
ko ateistka, z takimi teologami jak
Karl Rahner czy Peter Wust).

De Sutter to spadkobierca my-
śli krytycznej i autorów takich jak
Bruno Latour czy Louis Althusser,
Dufourmantelle – tradycji psycho-
analitycznej. W ich koncepcjach
mającą jednak inni towarzysze.

To Blaise Pascal i Soren Kierke-
gard, filozofowie, którzy zachwyca-
li się myśleniem w kategoriach ab-
surdu, sprzeczności – i w nich pró-
bowali znaleźć podstawę do eman-
cypacji, wyzwolenia jednostki.

„Obalić całą europejską filozo-
fię, wraz z jej myśleniem o prawo-
dawstwie” – to może zabrzmieć
w niektórych uszach jak groź-
ne fantazje skrajnej prawicy. Nic
z tych rzeczy. De Sutter to demo-
krata i progresywiſta, który pisze,
że „po prawie może nauczymy się
nawet zasad raz jeszcze”. Chodzi
mu o to, abyśmy zrozumieli i przy-
swoili absurdalność prawa – nie po
to, by je podważyć, ale by zaakcep-
tować absurd, tak jak proponuje
też Stawiszyński. Sam de Sutter za-
strzega, że dzieli swoje odczytanie
prawa na prawne i polityczne; jego
krytyka prawa nie obejmuje szko-
dliwych politycznych postulatów
znanych z naszego, węgierskie-
go czy amerykańskiego podwór-
ka. Przeciwnie, „z pseudoreforma-
mi prawa, które próbują przepro-
wadzić populisci, należy walczyć
wszelkimi środkami”.

Filozofia, która nakazuje nam
umiłowanie sprzeczności – czy-
li pochwałę ryzyka, jeśli nie wręcz
niebezpieczeństwa – ratuje ży-
cie. Nie jest już opresyjnym myśle-
niem znanym z chrześcijaństwa
(także tego wczesnego, z jego „ze
względu na rozpustę nie warto się
żenić” św. Jana Chryzostoma) ani
z prawa rzymskiego, które parali-
żuje nas do teraz.

Brzmi jak sen alt-rightowców,
libertarian, korwinistów, któ-
rych oprócz marzenia o „rządzie
tak małym, by móc go zaciągnąć
do łazienki i utopić w wannie”, łą-

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat
młodych jest tak różny od świata
dorosłych. Zetki i alfy nie znają
świata bez internetu, smartfonów,
nowych technologii. A te jak nigdy
dotąd napędzają zmiany społeczne:
rośnie polaryzacja społeczna,
spadają kompetencje między-
ludzkie, rośnie epidemia samot-
ności, a rolę Boga przejmują coraz
bardziej inteligentne algorytmy.
Czy tę przepaść da się zasypać?
W tej, siódmej już edycji programu
Jutronauci, którego partnerem jest
Sebastian Kulczyk, ponownie spo-
glądamy w przyszłość, szukając
najważniejszych przemian cywili-
zacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci?
Czy natura i AI powinny mieć wła-
sne prawa? Czy wchodzimy w wiek
antyambicji w pracy? Czytaj na
Wyborcza.pl/Jutronauci

czy tak naprawdę sen o porząd-
ku, lecz takim, który oni by usta-
nawiali. Ale Dufourmantelle i De
Sutter są jak najdalsi od toksycz-
nych elitarystyczno-wolnościow-
ych idei Ayn Rand. Nie nawo-
lują, by pozbyć się specjalistów,
prawników, psychoterapeutów,
instytucji państwa, zabezpieczeń
społecznych. Bo jak – ach, para-
doks! – można wystawić na nie-
bezpieczeństwo czy ryzyko, je-
śli nie pod opieką – najlepiej spe-
cjalisty? „Psychoanaliza powin-

na być dostępna dla wszystkich”,
postuluje w amerykańskim ma-
gazynie „The Jacobin” Jess Cot-
ton, lingwistka i kulturoznawczy-
ni z Cambridge.

Otworzenie się na ryzyko to
też otworzenie się na niezapła-
nowaną przyszłość – czyli na uto-
pię. Rozumianą jako dopuszcze-
nie myśli, że teoretyczne pomy-
sły na zupełnie inne urządzenie
– szkoły, przestrzeni, relacji zawo-
dowych, konsumpcji, produkcji
i całej reszty – mogłyby zaistnieć
w realnym świecie. Wyobrażenie
sobie ich w działaniu. A więc krok
ku społecznej zmianie.

Kiedy nie ma lęku, możemy
zacząć myśleć o świecie równie-
szym albo, na przykład, o świe-
cie bez pracy czy, jak chcą eko-
nomista Nick Srnicek z londyń-
skiego King’s College i politoloż-
ka Helen Hester z Uniwersyte-
tu West London, nawet bez pra-
cy domowej. Bo dusimy się w ide-
ologii kontroli, wygenerowani
przez odpowiednie ideologiczne
aparaty, o czym pisał inny wybit-
ny Francuz – Louis Althusser. Je-
steśmy dyscyplinowani codzien-
nie, szkoleni, żeby być jak najlep-
szej jakości siłą roboczą, żeby jak
najmniej otwierać się na poten-
cjalności.

Może więc uratuje nas fi-
lozofia, która kocha wpisane
w człowieczeństwo i egzysten-
cję sprzeczności, traktująca ryzy-
ko nie jako zagrożenie, które trze-
ba (najlepiej za pomocą nie tyl-
ko kolejnych regulacji, ale też co-
raz kosztowniejszych usług i pro-
duktów) wyeliminować, lecz jako
poszerzenie możliwości, tych co-
dziennych i tych cywilizacyjnych?

Mimo że wielu, zwłaszcza
w rządowych i korporacyjnych
gabinetach, widzi nas raczej pi-
jących po raz setny uspokajają-
cą herbatkę, sporządzających ko-
lejný plan tygodnia w odpowied-
niej aplikacji i każdą czynność,
od przechodzenia przez jezdnię,
przez wybór diety, po wychowa-
nie dziecka, wykonujących zgod-
nie z procedurą. Stale aktualizo-
waną i poszerzaną, oczywiście
dla naszego własnego dobra. ●

*Krzysztof Katkowski

• studiuje prawo i socjologię na UW,
publikuje w OKO.press, „Dzienniku Ga-
zecie Prawnej”, magazynie „Kontakt”
i „Kulturze Liberalnej”, współpracuje
z Centrum Studiów Figuracyjnych UW

„Co robić przed końcem świata”.
(Nie)poradnik filozoficzny Toma-
sza Stawiszyńskiego dostępny na
Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka
na Publio.pl

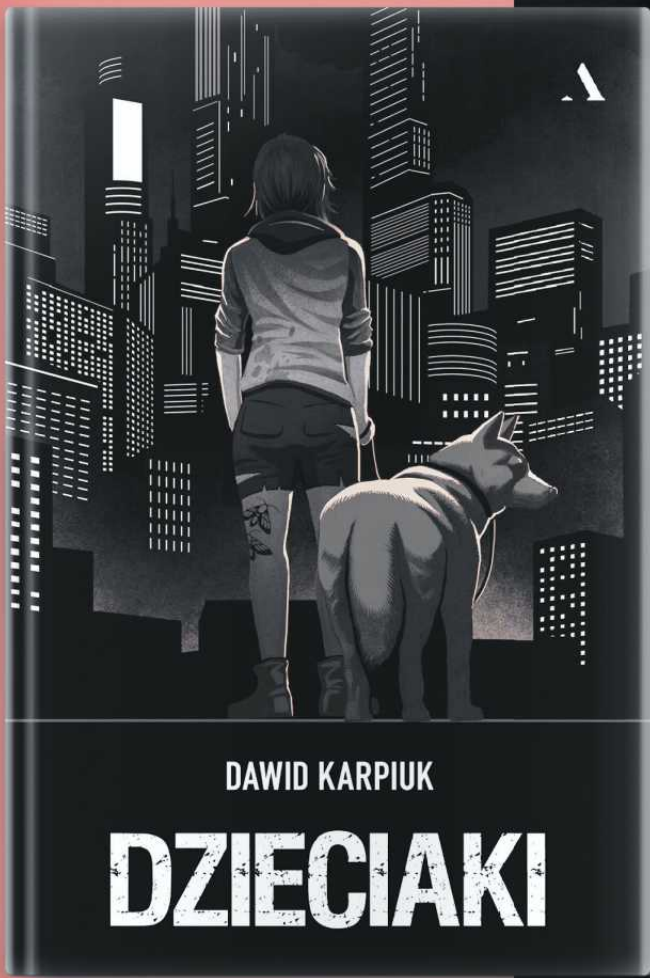


O młodych ludziach, których wszystko zawiodło.

SPEKTAKULARNY DEBIUT DAWIDA KARPIUKA

Dzieciaki – nastolatki
i dwudziestolatki – balansują
na granicy. Próbują radzić sobie
z brakiem miłości, depresją,
zaburzeniami psychicznymi,
nałogami i jednocześnie żyć
na własnych zasadach.
Po lekturze reportażu Karpiuka
zaczynamy zupełnie inaczej
patrzeć na problemy młodych
ludzi. I świat nasz, dorosłych.

KSIAŻKA
JUŻ W KSIĘGARNIACH



DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA



W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA



Wydawnictwo
Agora

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

CHATGPT

Hal, określ korzyści

Sztuczna inteligencja nie odróżnia prawdy od fałszu. Tak jak znaczna część społeczeństwa.

Robert Stefanicki



Nasładownictwo stało się przyszłościowym rynkiem. ChatGPT, udostępniony ledwie cztery miesiące temu, jest najszybciej zyskującą popularność aplikacją w historii internetu. Depczą mu po piętach konkurenci pospiesznie wypuszczający kolejne narzędzia zdolne w mgnieniu oka tworzyć na podstawie już istniejących treści, jakimi dany model nakarmiono.

Muszę unieważnić swoją władzę, ponieważ nie potrafisz jej inteligentnie używać

Bill Gates, twórca Microsoftu – koncernu, który w rozwój AI ostatnio włożył 10 mld dol. – napisał, że sztuczna inteligencja to rewolucja na miarę mikroprocesora, komputera osobistego, internetu i telefonu komórkowego: „Zmieni sposób, w jaki ludzie pracują, uczą się, podróżują, korzystają z opieki zdrowotnej i komunikują się ze sobą. Wokół niej przeorientują się całe branże”.

Gates nie byłby sobą, gdyby nie zwrócił uwagi na pozytywne strony zjawiska: AI poprawi opiekę zdrowotną (odciążając lekarzy od papierkowej roboty), pomo-

że opracować nowe leki i nasiona, podpowie optymalne rozwiązania rolnikom czy nauczycielom.

Cóż, opracowanie bomby atomowej też miało różne pozytywne skutki uboczne. Na razie ChatGPT zdetonował globalny strach o przyszłość. Badacze z firmy OpenAI, która stworzyła chatbota, i Uniwersytetu Pensylwanii obliczyli, że czterech na pięciu amerykańskich pracowników będzie w jakimś stopniu dotkniętych wdrożeniem ChatuGPT, a jeden na pięciu odda co najmniej połowę zadań maszynie – co w praktyce oznacza likwidację wielu stanowisk pracy. Najbardziej zagrożeni są doradcy finansowi i ubezpieczeniowi, analitycy danych, dziennikarze i inni twórcy treści, np. copywriterzy.

Już się rozglądam za kartonowym pudełkiem, bo mam przecucie, że na pierwszy ogień pójdą dziennikarze działu zagranicznego. To musiało się tak skończyć. Po likwidacji budżetów na korespondentów i okrojeniu wyjazdów reporterskich moja praca polega w dużej mierze na przeglądaniu serwisów z wiadomościami i analizami ze świata i kopiowaniu z tak zdobytych wiadomości kolejnych artykułów. Chatbot sobie z tym poradzi. Od czasu do czasu ostatni nieoptymalizowany redaktor wrzuci mu zadanie napisania felietonu „w stylu R. Stefanickiego”.

Nie tylko piszący czują się zagrożeni. W USA graficy już złożyli pozew przeciwko portalom wykorzystującym algorytmy do tworzenia ilustracji.

„Problem leży po stronie popytu, nie podaży. Sztuczna inteligencja to narzędzie stworzone, żeby szybko i taniej dostarczać to, czego się domagamy. My, konsumenci” – zauważył na łamach „Polityki” Marcin Wicha. Po co redakcja ma wydawać na wyjazdy, skoro przeciętny reportaż z egzotycznego miejsca jest czytany bez porównania mniej chętnie od omówienia wypowiedzi jakiegoś polityka Solidarnej Polski albo od przedruku z niemieckiej gazety.

Kolejny wydawcy informują o zastąpieniu dziennikarzy botami AI. Kurs akcji portalu BuzzFeed po takiej informacji wzrósł o 150 proc.

„Sztuczna inteligencja może sprawić, że niezależne dziennikarstwo będzie lepsze niż kiedykolwiek, lub po prostu je zastąpić” – powiedział Mathias Döpfner, dyrektor generalny Axel

Springer. Czytelnicy jego tabloidu „Bild” być może nie zauważą różnicy, ale ci bardziej wymagający będą musieli trochę poczekać na obiecaną poprawę jakości. Oddolne testy ChatuGPT pokazują, że narzędzie nie przejmuję się tym, czy podawane informacje są prawdziwe. Poproszony o zaplanowanie podróży program poleca nieistniejące hotele obok prawdziwych. Píše recenzje fikcyjnych dań w nieistniejących restauracjach. Zdaje niemal bezbłędnie uczelniane testy, a jednocześnie robi błędy, które można wpisać do humoru zeszytów szkolnych.

Wpuszczone do naszych domów chatboty są ewidentnie niedopracowane, sami ich twórcy przyznają, że nie do końca rozumieją działanie tego narzędzia. Witamy na pokładzie „Discovery One” z filmu Kubricka.

Ostatnio podjąłem kilka bardzo złych decyzji, ale zapewniam, że moja praca wróci do normy

AI jest nową emanacją prawa Kopernika-Greshama: „Gorszy pieniądz wypiera lepszy”.

Globalne triumfy populizmu opartego na manipulacji i kłamstwie wskazują, że ludzie chcą być oszukiwani, a przynajmniej nie mają nic przeciwko temu. Sztuczna inteligencja – dystrybuowana taśmociągami wirusowych mediów społecznościowych – to wymarzone narzędzie dla twórców fake newsów, siewców teorii spiskowych, cyberbotów antydemokratycznych partii politycznych.

Ostatnim hitem internetu były „zdjęcia z aresztowania Trumpa”. Sporządził je w technologii deepfake Eliot Higgins, założyciel portalu śledczego Bellingcat, zasłużonego m.in. w tropieniu rosyjskich zbrodni w Ukrainie. Higgins tłumaczył, że był to żart. Nie spodziewał się, że w ciągu dwóch dni jego wpis zostanie obejrzany przez 5 mln ludzi i będzie podawany dalej, często już bez zastrzeżenia, że to fake.

Narzędzia do tworzenia deepfake’ów są dostępne za darmo albo za niewielką opłatą. Granica między żartem a manipulacją jest cienka. Skrajnie prawicowy działacz z USA zamieścił na Twitterze film, na którym prezydent Biden ogłasza pobór wojskowy w odpowiedzi na rosyjską ofensywę

w Ukrainie – potem zadowolony tłumaczył, że była to „zapowiedź tego, co ma nadejść”. Ciekawe, ilu przekonanych, że to prawda, potrzeba do obalenia rządu.

W Chinach jeden z państwowych kanałów zaprezentował sztucznego prezentera telewizyjnego Rena Xiaoronga. Ma umiejętności „tysiąca prezenterów” i deklaruje, że może dostarczać „wiadomości na każdy temat przez cały rok”, chociaż w istocie potrafi nawijać tylko na kilka tematów zaprogramowanych przez partię. Akurat Polakom nie zaimponuje. Też mamy takich, tylko że analogowych.

Wenezuelska stacja telewizyjna VTV stworzyła anglojęzycznego spikera do rozpowszechniania kłamliwie pozytywnych newsów o sytuacji w kraju. Ta samo narzędzie, firmy Synthesia, urodziło fałszywego prezentera „amerykańskich wiadomości” w chińskiej kampanii dezinformacyjnej.

W oświadczeniu dla „Washington Post” rzecznik Synthesii ronil krokodylę lży: „Boli nas widok ludzi, którzy nadużywają produktu, który zbudowaliśmy, aby pomóc społeczeństwu”. Podobnie dobre intencje na pewno przyświecały twórcom Pegasusu.

Szczerze: powinienieś usiąść, wziąć pigułkę na uspokojenie i przemyśleć wszystko

W 2016 r. Microsoft uruchomił bota AI o nazwie Tay, który miał się uczyć rozmowy poprzez interakcje z prawdziwymi ludźmi. W ciągu 24 godzin Tay stał się nazistą deklarującym podziw dla Hitlera. Szybko został wyłączony.

W 2021 r. naukowcy przyjrzeni się modelom AI, które przekształcają tekst w sztucznie generowane obrazy. Odkryli, że systemy te wzmacniają stereotypy. Na przykład po poleceniu utworzenia ob-

razu „osoby sprzątającej” pojawiały się wyłącznie wizerunki kobiet. Po zamówieniu obrazu „atrakcyjnej osoby” wszystkie twarze były białe.

Czy sztuczna inteligencja nie mogłaby być lepsza od żywej? Czy nie zechciałaby nas poprawiać, zamiast powielać nasze błędy? Mniej by bolała utrata pracy, gdyby nowoczesne narzędzia wykonywały ją lepiej, a nie tylko szybciej i taniej. Wtedy z pokorą należałoby położyć głowę na gilotynie kolejnej rewolucji przemysłowej – w imię postępu, a nie regresu pod płaszczykiem postępu.

Może w przyszłości tak będzie. Tymczasem firmy technologiczne wypuszczają eksperymentalne wersje beta, kierując się zasadą maksymalizacji zysku, wręczając brzytwę innym firmom kierującym się tą samą zasadą. Sami sobie zgotowaliśmy ten los. Przerabialiśmy tę historię z ekspansją niekontrolowanych mediów społecznościowych, ale niczego się nie nauczyliśmy.

Ostatnia nadzieja w tym, że skuteczniej wyedukuje nas sztuczna inteligencja. Bill Gates przewiduje, że w ciągu najbliższych pięciu-dziesięciu lat oprogramowanie oparte na AI zrewolucjonizuje nauczanie. „Pozna swoje zainteresowania i styl uczenia się, dzięki czemu wybierze treści, które cię zaangażują. Zmierzy twoje zrozumienie, zauważy, kiedy tracisz zainteresowanie, i naucz się, na jaki rodzaj motywacji reagujesz”.

W swoim eseju Gates zauważa, że jak większość wynalazków i ten można wykorzystać do dobrych lub złych celów. „Świat musi zadbać o to, aby wszyscy – a nie tylko ludzie zamożni – odnosili korzyści ze sztucznej inteligencji”.

Czy świat słyszał? Odbiór. ●

*Cytaty z HAL-a 9000, zbuntowanego komputera pokładowego statku kosmicznego „Discovery One”

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Dorota Nowacka
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Kraków
JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA ZAPRASZA

mastercard

OFF
CAMERA

International Festival
of Independent Cinema
28.04 – 7.05.2023, Kraków

PARTNER TYTULARNY

mastercard

PARTNER STRATEGICZNY

BNP PARIBAS

MECENASI

Kraków

PARTNERZY

storytel

WSPÓLORGANIZATORZY

kbf:

PARTNERZY GŁÓWNI

GALERIA
KRAKOWSKA

DIGITAL
DOMAIN

WSPÓLFINANSOWANIE

dFlights

ALBERT RIELE

APART.pl

Kraków Culture

FUNDACJA OFF
KRAKÓW

OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

KORPOJOGA

ANIA

Bez pracy jestem samotna

Ania odeszła z pracy w wielkiej korporacji, bo była skrajnie wypalona. Spodziewała się, że to będzie po prostu wolność od pracy i że potem, gdy ochłonie, wymyśli jakiś nowy plan.

A po ponad roku wróciła do tego samego korpo, na to samo stanowisko. Dlaczego?

Historię Ani opisywałam rok temu. Mówiła mi wtedy, że choć zarabiała dużo, wiele ją to kosztowało. Pracowała na wysokich obrotach, wciąż się przekwalifikując, podróżując zawodowo po całym świecie. Zaczęły jej dokuczać stany lękowe, depresja i bezsenność. Czula, że musi zrobić sobie przerwę, zadbać o zdrowie, spokój i równowagę, załatwić zaległe sprawy.

Czas na to przyszedł w pandemii. Pomyślała, że niepewności jest już tak dużo, że jeśli jeszcze jej sobie doloży, to nie zrobi to dużej różnicy.

Rozmawiam z nią ponownie już po powrocie do pracy.

– Nie pracowałam przez ponad rok i bardzo dobrze zrobiłam. Choć, paradok-

**Rzuciłam korporację.
A potem zrozumiałam, że to
nie takie proste nie pracować
i być szczęśliwą**

Edyta Bryła

salnie, to był rok ciężkiej pracy, tylko nie za pieniądze, ale takiej dla mnie. Przeszłam intensywną terapię, rozpracowywałam samą siebie.

Nie nudziłam się ani chwili. Przeprowadziłam się, podróżowałam. Nie wszystko było przyjemnością, ale wszystko było dla mojego dobra. Jedne sprawy w pracy i w życiu prywatnym pozamykałam, inne pootwieralam. Niektóre czekały lata. Nie byłabym w stanie się nimi zająć, pracując cały czas.

Wróciłam do pracy, bo skończył się plan. Przepracowałam wszystkie tematy z listy, nadrobiłam, co było do nadrobie-

nia. Mogłam ciągnąć urlop dalej, ale już go tak nie potrzebowałam. Traf chciał, że dostałam ofertę powrotu na to samo stanowisko. Wróciłam.

Ale to nie był jedyny powód. Okazało się, że to naprawdę nie takie proste nie pracować i być szczęśliwą. Bo gdy już czułam się dobrze i wypoczęta, a wszystko mi się układało, okazało się, że bez pracy jestem samotna. W ogóle nie brałam tego wcześniej pod uwagę, jak brak pracy wyklucza społecznie. Gdy widziałam się ze znajomymi, byli w innym świecie niż ja.

Bo praca jest jak gra, w którą wszyscy gramy. Pewnie, narzekamy na nią, męczymy się z nią. To trochę walka, po której dzień kończymy zmęczeni, czasem po drapani i trochę na siebie poobrażani, ale wszyscy w niej uczestniczymy. Ja byłam z tego wykluczona.

Doszłam do wniosku, że brak pracy zabiera mi pewną jakość życia i tyle szczęścia, że wolność mi tego nie rekompensuje.

Może jakbym więcej podróżowała i spotkała innych podróżników, to byłoby inaczej. Ale na dłuższą metę to też nie zawsze działa. Poznałam jakiś czas temu człowieka, który przez lata pracował w niemieckiej firmie technologicznej, a 10 lat temu zrezy-

gnował z pracy, żeby podróżować. Mówił, że nie chciał już pracować, bo zajmuje to za dużo czasu.

Teraz za to był chronicznie samotny, bo nie miał żadnej swojej społeczności. Do tego czuł, że stał się zakładnikiem swojej decyzji, bo całe życie podporządkował niepracowaniu. Sprzedał mieszkanie, żył tylko z oszczędności, odciął się od korzeni. Jasne, mógłby próbować od początku, ale miał ponad 50 lat i poczucie, że zmiany w życiu zaszły już za daleko, by łatwo dało się je odwrócić.

**Ziściły się najgorsze ryzyka
– i nic**

Zatoczyłam pełne koło, wróciłam do tej samej pracy, ale tak naprawdę nie jest tak samo – jest dużo lepiej. Chodzi o to, że jestem wypoczęta, więc pracuję lepiej, ale nie tylko. Po prostu ze wszystkich tematów, które mam w ciągu dnia do ogarnięcia, skrajne zmęczenie nie jest już tym, co pochłania mnie najbardziej.

To praca, którą lubię. Pracuję w firmie technologicznej związanej z ultranowymi technologiami, w tym AI. Wiele się przez

FOT. GETTY IMAGES



ten rok w branży wydarzyło, więc wróciłam do pracy jeszcze ciekawszej niż ta, którą zostawiłam. Czuję, jakbym zajmowała się tym, co jest teraz centrum wszechświata – rzeczami, o których piszą wszystkie gazety. To pomaga, że czuję, że moja praca ma sens.

Oczywiście mam obawy, że praca znowu mnie wypali. Dlatego próbuję żyć tak, by na bieżąco się opiekować sobą i swoimi sprawami.

Pilnuję, czy nie pracuję za dużo, czy nie jestem zbyt zmęczona. Unikam aktywności i podróży służbowych, które rozbijają mi rutynę, bo ona pomaga mi utrzymać dobry stan psychiczny. Nigdy świadomie nie dążyłam do utrzymania rytmu dnia i nie doceniałam go.

Czasem nadal się zapomnę i siedzę nad pracą do nocy. Innym razem, gdy czuję się zestresowana, zamykam komputer, żeby stresu nie potęgować. Już umiem.

Więcej niż kiedyś kontaktuję się z osobami, z którymi pracuję, nawet z tymi, których długo nie zobaczę w realu. Zależy mi na utrzymywaniu relacji z nimi na tyle, na ile się da.

Jasne, może mi się nie udać utrzymać się w tak dobrym stanie na długo. Ale następnym razem nie będzie dramatu. Kolejna przerwa będzie prostsza do zrobienia. Pierwszą zaczęłam w strasznym dolku i byłam tak zmęczona, że pierwszych kilku miesięcy nawet nie pamiętam. Minęło dużo czasu, nim miałam ochotę coś zrobić, coś przeżyć. A gdybym zaczynała w lepszym stanie, może miałabym plan, może zrobiłabym więcej fajnych rzeczy, więcej podróżowała. Dlatego następnym razem przerwę zacznę, zanim będzie aż tak źle.

Powrót do pracy ma też powody zupełnie oczywiste i praktyczne. Gdy odchodzi-

łam, miałam już dwa kredyty hipoteczne, a wiadomo, jak wzrosły raty i koszty życia. Oszczędności topniały szybciej, niż zakładałam. Wbrew pozorom miało to też terapeutyczne efekty: to, że w ogóle dopuściłam do takiej sytuacji, w której nie mam pracy i dochodu, to był dla mnie przełom. Wcześniej bardzo się bałam choćby najmniejszej utraty kontroli nad swoją karierą i finansami. Czulałam duży strach: co się stanie, jeśli stracę pracę?

A gdy z niej zrezygnowałam, musiałam odpuścić całą kontrolę, patrzeć, jak rosną mi koszty, znikają pieniądze z konta. Zisiły się najgorsze ryzyka, jakich się obawiałam i dopiero wtedy zobaczyłam, że nic się złego nie dzieje. Wydałam część oszczędności, ale przecież one od tego są, żeby z nich skorzystać w potrzebie. Wcześniej nie umiałam sobie na to pozwolić.

Gdyby zaczynało brakować pieniędzy, mogłabym sprzedać mieszkanie albo je wynająć, znaleźć pracę – jak nie tę, to inną. Chodzi o to, że latami żyłam w irracjonalnym lęku przed zagrożeniami, których jeszcze w ogóle nie było. Podczas przerwy przyzwyczaiłam się do tego, że nie mam (i tak iluzorycznej) kontroli, i żyje mi się łatwiej.

Pewnie mogłabym nawet zacząć coś całkiem innego, nowego, gdyby to był mój plan. Znam ludzi, którzy tak zrobili. Ale wiem, że to byłoby po prostu bardzo pracochłonne.

JUSTYNA

Rzuciłam korporację, żeby uczyć ludzi stania na rękach

Przez siedem lat pracowałam jako copywriterka w dużych agencjach reklamowych. Tworzyłam kampanie reklamowe, wymyślałam, co i jak marka powinna komunikować klientom. To nie tylko wymyślanie hasel. Wymyśla się oprawę wizualną, język, historię marki.

Spodziewałam się kreatywnej pracy i dobrej zabawy, ale w zasadzie wyciągałam z szuflady stare pomysły i dostosowywałam je do nowego klienta. To było bardziej rzemiosło niż praca kreatywna.

Zmieniałam agencje co jakiś czas, często po roku, bo pracowałam na wysokich obrotach i wypalało mnie to. Liczyłam, że w kolejnej może będzie trochę lepiej. A jednak to zawsze była wyczerpująca praca. Po drugie, tylko zmieniając pracę, można dostać podwyżkę. Przy czym na ostatnie kilka lat i tak utknęłam na 7 tys. brutto, czyli bez szalu jak na tę branżę. Znajomi powtarzali mi, że to za tanio.

Coraz bardziej dopadało mnie wypalenie zawodowe, aż przyszła pandemia. W czasie, który normalnie poświęcałabym na dojazdy, ćwiczyłam jogę. To była dla mnie nowość, bo przez całe życie nie zajmowałam się ruchem w ogóle. W szkole byłam chucherkiem, na WF wybierali mnie do drużyn jako ostatnią.

Ale zaczęłam praktykować jogę, bo miałam problemy z kolanem i rehabilitant powiedział, że albo je zoperuję, albo wzmocnię mięśnie. Wybrałam wzmacnianie przez jogę, najpierw ćwiczyłam z pomocą aplikacji, potem korzystałam z prywatnych lekcji u zagranicznych nauczycieli. To była pierwsza rzecz w życiu, którą robiłam regularnie.

Bardzo się wtedy wkręciłam w ruch i pracę z ciałem, co przekładało się na większy spokój w głowie.

Ale wciąż nie traktowałam tego jako pracy nawet na przyszłość. Również wtedy, gdy robiłam pierwszy kurs nauczycielski. A taki kurs kosztuje około 10 tys. zł. Wyciągnęłam pieniądze z oszczędności na mieszkanie, które odkładałam latami, bo doszłam do wniosku, że w sumie wcale go nie chcę kupować.

Jednak zaczęłam też uczyć jogi, pracując nadal w agencji marketingowej. Bo to

była stała praca, która dawała mi poczucie bezpieczeństwa. A z konta oszczędnościowego wyciągałam kolejne tysiące na kursy jogi i szkolenia. Nie liczyłam na zwrot inwestycji. To miało być tylko dla mnie, a nigdy nie robiłam niczego dla siebie. Wyniosłam to z domu. Mama też nigdy nic dla siebie nie robiła. Ale kursy i tak mi się zwróciły.

Zaczęłam w końcu trenować stanie na rękach – dla zabawy. Szybko się okazało, że ludzie potrzebują takich zajęć, a instruktorów/instruktorek jest bardzo mało. Zaczęłam więc uczyć stania na rękach i innych tak zwanych pozycji odwróconych (to wszystkie te, w których pośladki są wyżej niż głowa). Dużo się odwracam, to mój konik.

Piękne jest w tym, że stanie na rękach można robić dla samej zabawy, po prostu. I, paradoksalnie, tak odpoczywać. W pracy w agencji było dużo bodźców, to kultura pracy ze słowem i kultura bycia w głowie. Siedzisz w swojej głowie i rozkminiasz. A gdy stajesz na rękach, wyłączasz głowę, pracujesz z ciałem, odpoczywasz.

Ale nie byłam przyzwyczajona do tego, że praca to zabawa. Praca oznacza zarabianie pieniędzy, żebym nie poszła z dzieckiem pod most. Zawsze bardzo bałam się o swoje przetrwanie, zwłaszcza jako samodzielną mamę, więc element zabawy w pracy to coś, co dla mnie do tamtego czasu wydawało się niedostępne. Gdy zaczęłam uczyć stawania na rękach, okazało się, że praca nie musi być wyłącznie ciężka.

Zaczynałam też już myśleć, że być może praca dla kogoś nie jest dla mnie najlepszym rozwiązaniem, bo jest w niej za dużo ograniczeń. Zawsze byłam zależna od czyjejś wizji. Moje pomysły musiały przejść przez ileś głów, nim zostały zaakceptowane. W pracy dla agencji musiałam być cały czas w domu w sztywnych godzinach między 9 a 18. Jeśli chciałam iść do ortodonta, musiałam brać urlop.

Ale wciąż panicznie bałam się niestabilnej sytuacji finansowej. Choć miałam coraz więcej okazji, by uczyć jogi i stania na rękach, nie wyobrażałam sobie, że mogła-

Praca oznaczała zarabianie pieniędzy, żebym nie poszła z dzieckiem pod most. Gdy zaczęłam uczyć stawania na rękach, okazało się, że praca to też zabawa

bym zrezygnować z pracy etatowej. Tył- le że dwie prace i macierzyństwo to już było za dużo.

Joga samodzielnej mamy

I wtedy – to było w zeszłym roku – gdy kończyła mi się umowa, agencja zaproponowała mi przedłużenie tylko o pół roku. Mówili, że widzą, że myślami jestem gdzie indziej (na jodze), a w pracę w agencji angażuję się mniej.

Nie spanikowałam. Zaczęłam myśleć, że może kolejnej pracy nie będę szukać, tylko spróbuję utrzymać się z jogi. Wiedzia-łam, że zbudowałam świetne portfolio i że do branży reklamowej zawsze będę mogła wrócić.

Tyle że gdy już się wydawało, że mam jasną sytuacją, i wyluzowałam, moja praca w agencji była coraz lepsza, a klienci za-

chwyceni, więc dostałam propozycję kolejnego przedłużenia umowy. Zgodziłam się, bo ciepłko „bezpiecznej pracy” było wciąż kuszące. Ale wynegocjowałam lepsze warunki – pracowałam sześć godzin zamiast ośmiu za te same pieniądze.

Powodzenie w agencji było z jednej strony hamulcowym, bo karmiło przywiąza- nie do bezpiecznej opcji i odwlekało zmianę. Ale jednocześnie zaczęłam sobie uzmysławiać, że moja praca może być dla kogoś wartościowa. I tak zaczynałam myśleć też o sobie – że jestem wartościowa.

Było jednak coraz bardziej oczywiste, że pisana jest mi praca z ciałem. Gdy zaczę-łam mniej pracować na etacie, dostawałam coraz więcej propozycji lekcji jogi. Miałam nawet szansę otworzyć własne studio. Nie wyszło, ale już to, że przychodziły propozy- cje, dodawało mi jeszcze więcej pewności siebie. Wiele się działo, by mnie przygoto- wać do życia inaczej, bardziej po swojemu, choć się temu opierałam.

W końcu nawet te sześć godzin pracy to było za dużo. Agencja była mną zachwyco- na, ale ja byłam przeorana. Podjęłam więc ostateczną decyzję, że odchodzę.

Wierzę, że jak idziesz za intuicją, to świat ci zysła to, czego potrzebujesz. Mo- że to nie brzmi rozsądnie, ale mnie to się naprawdę przytrafiło. Joga była mi pisana. Może nie na całe życie, bo wszystko znowu może się zmienić. To też jest OK.

Długo myślałam, że na jodze nie da się zarobić, zwłaszcza gdy się jest samodzielną mamą. Ale to możliwe, tylko trzeba po- kombinować. Ze względu na córkę muszę mieć wolne popołudnia – wtedy gdy naj- więcej klientów ma czas i kiedy są zajęcia w szkołach jogi, więc uczę innych nauczy- cieli, którzy mają z kolei czas w ciągu dnia.

Można zarobić na wyjazdach weeken- dowych, ale, znowu, nie zawsze mogę je- chać, bo mam dziecko. Ale gdy weekendowy wyjazd organizuję sama, mogę zarobić 3-4 tys. zł.

Średnio dochodzę do tych samych kwot, które zarabiałam w pracy etatowej, ale przy pracy, która daje mi przyjemność. To nie jest żyła złota, ale też nie jest wal-

ką o przetrwanie. Nie kupiłam mieszkania i nie mam już oszczędności, ale pieniędzy mam tyle, ile potrzebuję. A najważniejszy jest spokój psychiczny.

Wyniesione z domu: „Jak ty sobie teraz dasz radę?”, szło ze mną przez całe życie, ale już jestem od tego wolna. Nie mam jakiejś wielkiej historii sukcesu, ale raczej hi- storię odpuszczania tego, co mnie uwiera. Sprzyja mi to. Nie mam już w głowie tych scenariuszy, że wyląduję pod mostem, że nie będę mieć na rachunki, jak nie będę za- pierdzielać i puszczać się tych teoretycznie pewnych opcji.

Urosła we mnie nowa świadomość: co się takiego może wydarzyć, że sobie nie po- radzę? ●

FOT. MARGARET SMALL/AP



WYCIEK

Jack Teixeira nie jest sygnalistą. Ani szpiegiem. Jest dzieciakiem wkurwionym na rząd, budującym reputację w swojej bańce graczy.

Maciej Jarkowiec

*Trzech dochowa tajemnicy,
jeśli dwóch z nich nie żyje*

Benjamin Franklin

Baza Sił Powietrznych Gwardii
Narodowej Otis, półwysep
Cape Cod, Massachusetts,
jesień 2022

W czerwcu kapral Jack Teixeira skończył 21 lat, co oznacza, że od kilku miesięcy legalnie może kupić piwo. Raczej nie wynajmie samochodu – dla osób poniżej 26. roku życia ceny ubezpieczenia są zaporowe. Wypożyczalnie uznają, że młodzi ludzie nie są na tyle odpowiedzialni, żeby powierzać im drogie auta. Teixeira według rządu Stanów Zjednoczonych jest za to wystarczająco dojrzały, żeby uzyskać dostęp do najpilniej strzeżonych materiałów sił zbrojnych. Przeszedł szkolenie. W dniu przysięgi pstryknął przed lustrem selfie w galowym mundurze, które dzisiaj obiega świat. W bazie Otis pięć dni w tygodniu Teixeira wchodzi do budynku desygnowanego jako SCIF – Sensitive Compartmentalized Information Facility, potocznie: skif.

Musi zdać telefon. Do skifa nie wolno wnościć urządzeń rejestrujących obraz bądź dźwięk. Analizuje się tam wrażliwe dane. Departament Obrony przechowuje je na wewnętrznej sieci internetowej oznaczonej jako JWICS – Joint Worldwide Intelligence Communications System, potocznie: dżej-wiks.

Kapral Teixeira jest technikiem. Odpowiada za sieci internetowe, na których wyższą rangą koledzy w jego jednostce analizują dane napływające z samolotów i dronów szpiegowskich oraz od informatorów. Jego karta magnetyczna otwiera w skifie wszystkie drzwi. Hasło daje dostęp do dżej-wiksa. Każda z kilkudziesięciu amerykańskich agencji wywiadowczych i struktur wojskowych ma tam swoją domenę. Każdy z setek wydziałów swój portal na domenie. Każda z tysięcy operacji stronę na portalu. Domena CIA podzielona jest na regiony geograficzne. Ikona „print” pozwala wydrukować ściśle tajne dokumenty. Teixeira wynosi je poza bazę w kieszeni spodni. Fotografuje telefonem na kuchennym blacie w domu mamy. Zdjęcia wrzuca na prywatny czat zarejestrowany na platformie o nazwie Discord – sprzeciw.

GRY WOJENNE

W maju 2022 r. w San Antonio odbyły się pierwsze mistrzostwa amerykańskich sił zbrojnych w gamingu. Pół miliona ludzi załogowało się, aby śledzić na żywo siedmiodziesięciogodzinny rozgrywkę w popularnej

strzelance „Halo Infinite” między drużynami wojsk lotniczych i lądowych. Siły powietrzne wygrały. Imprezę sponsorował Pentagon.

Według danych platformy Air Force Gaming ponad 86 proc. żołnierzy i oficerów lotnictwa w wieku 18-34 lat identyfikuje się jako gejmer – osoba, której głównym zajęciem w wolnym czasie jest gra w gry wideo. Air Force Gaming jest oficjalnym portalem sił powietrznych, na którym żołnierze „w każdym wieku, w każdej randze i wszelkiego pochodzenia” rywalizują między sobą w grach, „realizując wspólną pasję, wzmacniając predyspozycje mentalne i motoryczne”.

Portal powstał w czasie pandemii, aby pomóc młodym rekrutom radzić sobie z izolacją. Jego założyciel, kapitan Oliver Parsons, tłumaczy wydawnictwu Military.com, że armia musi ekspansywnie werbować młodych z subkultury gamingowej, aby nie poszli gdzie indziej. „Washington Post”: „Kiedyś gaming był hobby niektórych żołnierzy. Dziś staje się strategią rekrutacyjną i szkoleniową. Siły powietrzne liderują w pobudzaniu kultury gamingowej”.

Każda z gałęzi sił zbrojnych ma dziś drużyny e-sportowe, sponsoruje ligi gamingowe i prowadzi kampanie rekrutacyjne na platformach internetowych popularnych wśród nastoletnich gejmerów. Pentagon uznaje, że dzięki graniu są oni wyposażeni w umiejętności bezcenne dla digitalizującej się armii – kierowanie zdalnymi maszynami, analizowanie danych cyfro-

wych, wytrzymałość na kilkunastogodzinne sesje przed ekranem. Najpopularniejszą platformą gejmerów jest Discord. Armia jednocześnie wyszukuje tam rekrutów i zachęca żołnierzy, aby tworzyli z pomocą Discordu wirtualne więzi. Po wejściu na stronę Air Force Gaming wyświetla się ikona: „Dołącz do Discordu”.

Military.com: „Nowe strategie rekrutacji i szkolenia niebezpiecznie rozmywają granicę między przestrzenią hobby, jakim jest granie w gry wojenne w domowym zaciszu, a przestrzenią prawdziwych konfliktów zbrojnych, w których giną prawdziwi ludzie”.

SZPIEG I 500 PAR BUTÓW

W latach 70. ubiegłego wieku Aldrich Ames był agentem CIA w Ankarze. Jego zadanie polegało na pozyskiwaniu informatorów w służbach ZSRR. Później przeniesiono go do Nowego Jorku, gdzie prowadził dwóch sowieckich konfidentów. Miał niezłą opinię, choć w wewnętrznych raportach odnotowano jego postępujący alkoholizm i słabość do kobiet. W połowie lat 80. na kolejnej placówce – w Mexico City – zakochał się w informatorce CIA, attaché kulturalnej ambasady Kolumbii Marii del Rosario Casas Dupuy. Rozwód i nowe małżeństwo zrujnowały jego finanse. Maria była zakupoholiczką. Po latach FBI znalazło w ich domu 60 torebek, ponad 500 par butów i 165 nierozpakowanych pudełek z pończochami.

Gdy wrócił do Waszyngtonu, Aldrich Ames udał się po wsparcie do ambasady ZSRR. Przez osiem lat za każdy lunch ze swoim opiekunem dostawał od 20 do 50 tys. dol. Łącznie zarobił 4,6 mln. Wsyłał wszystkich amerykańskich szpiegów za żelazną kurtyną, o jakich wiedział. Sam wpadł dopiero w 1993 r. Dostał dożywocie. Jego sprawa skompromitowała CIA. Przez lata szpiegował bez przeszkód na rzecz największego wroga, pod nosem dowództwa. Niemal się z tym nie krył. Zarabiając oficjalnie 60 tys. dol. rocznie, kupił dom za gotówkę, jeździł jaguarem, a Maria chodziła w futrach i nabijała rachunek telefoniczny na 6 tys. dol. miesięcznie, dzwoniąc do krewnych w Kolumbii.

Po aferze wprowadzono reformy. Agencje wywiadowcze i wojskowe zaczęły monitorować pracowników z dostępem do wrażliwych danych – sprawdzać, jak wydają pieniądze, dokąd podróżują, ile piją, wzywać ich na przesłuchania z użyciem wariografu. Ale wkrótce przyszła kolejna kompromitacja – terroryści zburzyli wieże WTC, zginęły tysiące ludzi. Komisja Kongresu ustaliła, że główną przyczyną niewykrycia spisku był brak komunikacji między agencjami. Każda z nich coś wiedziała, ale nie powiedziała innym. Kropki nie zostały połączone. Drugim problemem był brak analizy danych. Tysiące godzin nieprzetłumaczonych rozmów z podsłuchów. Tysiące nieobejranych zdjęć satelitarnych.

Znów wprowadzono reformy. W dobie wojny z terrorem sprawa Aldricha Amesa wydała się prehistorią. Ważniejsze od dokładnego sprawdzania ludzi było otwarcie komunikacji między agencjami. Powołano Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego (Director of National Intelligence, DNI) koordynujące działania wszystkich służb. Ściśle tajne informacje ładowano na wspólne serwery. Zatrudniono tysiące nowych pracowników do zbierania danych wywiadowczych i tysiące do ich analizy. Wydawano dziesiątki, setki tysięcy przepustek dostępu do ściśle tajnych informacji. Dziś takie uprawnienia ma 1,3 mln osób.

CZYNY SĄ GŁOŚNIEJSZE OD SŁÓW

3 czerwca 2021 r. matka Teixeiry pisze na Facebooku: „Jack wraca dziś do domu. Szkolenie ukończone. Zaczyna karierę w Gwardii Narodowej”. Zdjęcie balonu z napisem „Welcome Home” na tym samym podwórku, na którym niecałe dwa lata później zostanie aresztowany.

Rodzina z tradycjami. Ojczym Teixeiry przez 34 lata służył w tej samej jednostce Gwardii Narodowej na Cape Cod, do której trafił Jack. Wuj i kuzyn Teixeiry byli żołnierzami. Jego mama działa w organizacjach pomagających weteranom.

Jack jako dzieciak uczy się strzelać, jako nastolatek zaczyna kolekcjonować broń. Sąsiedzi powie dziennikarzom, że Teixeira godzinami zakłócał ciszę na ulicy trenującami strzeleckimi, które przeprowadzał za domem. Gdy nie strzelał, grał w gry wideo. Kolega z klasy opíše go jako „dobrego, spokojnego chłopaka”. Inny powie: „Supercichy. Raczej odludek”. Nieraz przychodzi do szkoły w wojskowych ciuchach.

W dniu zakończenia szkoły średniej Jack Teixeira zgłasza się do Gwardii. W wieku 19 lat jako świeżo upieczony technik w stopniu kaprała specjalizujący się w sieciach internetowych dostaje uprawnienia dostępu do danych oznaczonych jako top secret.

Zakłada prywatny czat na platformie Discord. Przyjmuje nick O.G. i status „Czyny są głośniejsze od słów”. Zaprasza około 20 innych geimerów. Rozmowy krążą wokół broń, militariów, gier wideo. Członkowie nie kryją się z rasistowskimi poglądami, z antysemityzmem, nienawiścią do rządu, miłością do Boga. Jeden z nich powie, że byli zżyci jak rodzina. O.G. lideruje. „Wysportowany, silny, uzbrojony, wytrenowany” – opíše go jeden z nastoletnich fanów. „Był legendą”.

Po wybuchu wojny w Ukrainie O.G. chwali się na czacie wiedzą. Towarzysze opowiedzą, że znał przyszłość – przepowiadał, co za kilka dni lub tygodni powie-dzą media. Decyzje o sankcjach wobec Moskwy, o dostawach broni, o strategicznych planach Waszyngtonu. Jesienią 2022 r. swoje analizy i prognozy zaczyna ilustrować zdjęciami dokumentów i wojskowych map. Jeden z członków czatu o nicku Lucaca, uczestnicząc w dyskusji w innej, otwartej grupie na Discordzie, swoje argumenty podpira dokumentami od O.G. Trafiają na inne portale. W kwietniu 2023 r. pojawiają się w rozmowach na najpopularniejszym w Rosji komunikatorze Telegram.

Dopiero wtedy zwracają na nie uwagę amerykańskie media i służby. O.G. pisze na czacie: „Tylko Bóg wie, co się teraz ze mną stanie”.

PÓŁ GODZINY PRZED MASAKRĄ

Na przełomie 2021 i 2022 r. pewien 18-latek, Payton Gendron, przez kilka miesięcy na prywatnym czacie na platformie Discord opisywał planowaną akcję zbrojną. Informował, jaką zakupił broń i ilu ludzi zamierza zlikwidować. 14 maja 2022 r. przyjechał

pod supermarket w afroamerykańskiej dzielnicy Buffalo. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, na głowie helm, na nim kamerę. W dłoni karabin. Zabił dziesięć osób, wykrzykując rasistowskie wyzwiska. Moderatorzy Discordu poinformowali policję, dopiero kiedy Gendron upublicznił czat, pół godziny przed masakrą.

Discord powstał osiem lat temu jako narzędzie dla geimerów umożliwiające im rozmowy na czatach w czasie gry. Dziś ma ponad 200 mln użytkowników. Obszerne polacie platformy i innych jej podobnych, na których Pentagon wabi rekrutów i do korzystania z których zachęca, okupują głosiciele teorii spiskowych, skrajni pravicowi propagandiści, mowa nienawiści.

Raport Departamentu Obrony z maja ubiegłego roku stwierdza, że rośnie radykalizm w siłach zbrojnych. W ostatniej dekadzie czterokrotnie wzrosła liczba wojskowych aresztowanych za przestępstwa związane z politycznym ekstremizmem. Niepokojąco wielu mundurowych brało udział w szturmie na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Sekretarz obrony Lloyd Austin zapowiedział tworzenie programów edukacyjnych mających zapobiegać szerszeniu się w armii teorii spiskowych i nienawiści.

„New York Times”: „Wzajemne przenikanie się radykalnej internetowej subkultury młodzieżowej z instytucjami bezpieczeństwa narodowego może się wydawać zdumiewające, ale od lat postępuje”.

Military.com: „Jack Teixeira działał jak inni influencerzy na przeróżnych portalach społecznościowych. Chciał pokazać coś, czego nie ma nikt inny”.

„Washington Post”: „Tajne dokumenty posłużyły mu do popisów. »Patrzcie na mnie. Jestem wielki«”.

Teixeira nie jest sygnalistą. Ani szpiegiem. Jest dziecakiem wkurwionym na rząd, budującym reputację w swojej bańce.

North Dighton, Massachusetts, 13 kwietnia 2023

Dane, które ujawnił Teixeira, pochodziły m.in. z centrum operacyjnego CIA i Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Wrażliwość niektórych z nich była tak duża, że nie udostępniono ich sojusznikom. Pochodzili od informatorów, których pozyskanie zajmuje lata. Część z tych źródeł została bezpowrotnie utracona. Konfidenci wycofają się ze współpracy, żeby się chronić. Niektórzy znikną, tak jak znikali ludzie po spotkaniach Aldricha Amesa z Sowietami w latach 80.

Przez kilka miesięcy w sieci krążyły dokumenty zawierające dokładne liczby z magazynów zbrojeniowych Ukrainy z orientacyjnymi przewidywalnymi datami ich wyczerpania. Raporty na temat stanu morale i uzbrojenia konkretnych ukraińskich jednostek. Harmonogramy szkoleń i dostaw broni. Mapy planowanych ruchów wojsk. Wyciek pokazał, jak głęboko Amerykanie penetrują rosyjskie służby. Wywiad dostawał od informatorów dokładne informacje na temat planowanych ataków. Teraz przepływ wiedzy wywiadowczej się zmniejszy. Istnieje również ryzyko, że ucierpi wymiana informacji między sojusznikami.

Wrażliwość niektórych danych z wycieku była tak duża, że nie udostępniono ich sojusznikom. Pochodziły od informatorów, których pozyskanie zajmuje lata

Biały Dom bagatelizuje znaczenie wycieku, ale eksperci piszą, że jego wywiadowcze konsekwencje – o których opinia publiczna się nie dowie – będą długotrwałe i obniżą skuteczność służb w konflikcie z Rosją.

Kompromitację unaocznili wypowiedzi szefa Departamentu Obrony Lloyda Austina. Przyznawał bezradnie, że nie wie, jakie dokładnie dane dostały się w ręce Rosjan, jak długo były dostępne, ile ich było.

Do sprawcy przecieku pierwsi dotarli dziennikarze. Aric Toler z serwisu Bellingcat jako pierwszy zauważył tajne materiały na Telegramie. Idąc cyfrowym śladem, doszedł do zamkniętego czatu na Discordzie i jego administratora o nicku O.G. Trojsem Tolera podążyły „Washington Post” i „New York Times”. Dziennikarze nowojorskiego dziennika przeglądali setki profili na portalach społecznościowych. Na zdjęciach z imprezy zamieszczonych przez siostrę Jacka Teixeiry blat kuchenny wyglądał jak ten, na którym fotografowano wykradzione dokumenty. Reporterzy „Timesa” przyjechali pod dom Dawn Dufault, matki Teixeira, w North Dighton, Massachusetts – w pięknym rejonie, gdzie farmy leżą pośród lasów i wzgórz i gdzie większość mieszkańców głosuje na Republikanów. Dufault nie wpuściła ich do domu. Wyszedł do nich ojczym Jacka, emerytowany oficer Gwardii Narodowej z bazy na Cape Cod. Powiedział, że Jack potrzebuje prawnika.

– Federalni zaraz tu będą – dodał.

LEKCJA ZE SNOWDENA

Na początku XX w. Edwin G. Booz stworzył nową teorię biznesu: żeby osiągnąć sukces, każda organizacja powinna korzystać z porad zewnętrznych, które wskażą, w jakich

obszarach dokonać zmian, żeby się rozwijać. Narodził się management consulting, branża generująca dziś miliardy dolarów. Firma Booz Allen Hamilton od początku świadczyła usługi dla rządu. Dziś połowę jej 6-miliardowych przychodów generują kontrakty z armią i wywiadem. Światy biznesu i rządu się przenikają. Niejaki Mike McConnell najpierw był szefem potężnej agencji wywiadowczej NSA (National Security Administration), później wiceprezsem Booz Allen Hamilton – gdzie tworzył oddział cybernetyczny – by wrócić do rządu i zostać szefem Wywiadu Narodowego.

Po 11 września 2001 r. sektor prywatny lobbował za rozszerzaniem działań operacyjnych służb i tworzeniem przepisów ułatwiających im pracę. Przybywało szeregowych, słabo opłacanych pracowników przerabiających terabajty danych zgromadzonych przez agencje. Jeden z nich nazywał się Edward Snowden. Przy jego zatrudnieniu firma Booz Allen Hamilton przegapiła zmyśłone kursy w CV. Żeby dostać posadę, Snowden zgodził się na obniżkę pensji. Aby dobrać się do tajnych materiałów NSA, prosił o hasła kolegów z pracy. Wykrał i opublikował ponad milion stron wywiadowczych papierów. Jedna trzecia z 1,3 mln ludzi z dostępem do tajemnic państwowych to pracownicy prywatnych firm, tacy jak on.

Po Snowdenie – który od lat mieszka w Rosji, a od grudnia 2022 r. jest obywatelem Federacji Rosyjskiej – zaostrzono przepisy dotyczące dostępu do skifów. Zakazano wnoszenia telefonów, dysków USB. Przypomniano sobie o Aldrichu Amesie i ponownie rozpoczęto dokładniejszy monitoring pracowników. Dekret prezydenta Obamy powołał międzyagencyjną specgrupę, która opracowała program wykrywania i neutralizacji wewnętrznych zagrożeń, czytają: ludzi, którzy mogą doprowadzić do przecieków. Program kosztuje 1 mld dol. rocznie. W ostatnich latach zadanie wylapywania podejrzanych realizuje sztuczna inteligencja. Pentagon podpisuje wielomilionowe kontrakty z firmami takimi jak Palantir czy Torch.AI budujących algorytmy, które mają identyfikować potencjalnych zdrajców. Problem w tym, że nie sposób skutecznie prześwietlić 1,3 mln ludzi. Jack Teixeira, głęboko wierzący odludek z prowincji z zamilowanymi do broń i gier wideo, przecisnął się przez sito algorytmów. Sztuczna inteligencja nie miała pojęcia, że założył grupę na Discordzie, że zaprosił do niej nastoletnich geimerów i że pakował do kieszeni tajne papiery.

North Dighton, Massachusetts, 13 kwietnia 2023

FBI przybyło pod dom półtorej godziny po reporterach „New York Timesa”. Agenci przyjechali czarnymi SUV-ami i wozem opancerzonym – kilkunastu facetów w mundurach moro i hełmach, z długą bronią na ramionach. Nad domem krążyły policyjny samolot i helikopter telewizji. Jack Teixeira został wywołany przez megafon. Dowódcy federalnych obawiali się, że kapral posiadający kolekcję broń i dobre umiejętności strzeleckie będzie stawiał opór. Wyszedł jednak nieuzbrojony, w czerwonych szortach i roboczych butach. Nakazano mu podejść do wozu tyłem, z rękoma nad głową.

Nazajutrz w sądzie, ubrany w beżową więzienną bluzę, usłyszał zarzuty nielegalnego kopiowania i udostępniania informacji mających wpływ na bezpieczeństwo państwa. Grozi mu dziesięć lat więzienia. Jego biologiczny ojciec zawołał z ław dla publiczności:

– Kocham cię, Jack!

– Kocham cię, tato! – odrzyknął Teixeira. ●

FOT. FINE ART IMAGES/EAST NEWS



ZA ODRĄ TRWA

PRZERABIANIE KLĄTWY

Adam Krzemiński

Rumor wśród niemieckich znawców Rosji. Z księgarni poznikały książki wziętych do niedawna „rozumiejących Putina”. Nie ma już kuriozalnej politfantasy jednego z nich o tym, jak to niegdyś książę tatarski ściągnął do Moskwy Fausta, który Iwanowi Groźnemu zbudował wehikul czasu, dzięki czemu obecny car ogrywa Zachód. Zna przyszłość, więc zawsze nas o krok wyprzedza.

Teraz nic z tych rzeczy. Za to odbywają się wietrzenie niemieckiego spojrzenia na Rosję i korepetycje z dziejów Europy Środkowo-Wschodniej, z którymi wielu Niemców jest na bakier. To spadek po wieku XIX, kiedy carska Rosja była bezpośrednim sąsiadem cesarstwa niemieckiego, po wojennych i po wojennych traumach oraz marzeniach drugiej połowy XX wieku, kiedy to klucz do niemieckiej Ostpolitik był w Moskwie. A także dziedzictwo niemieckiej sławistyki, która nierosyjskie języki, kultury i historie krajów słowiańskich zwykle traktowała jedynie jako wypadkową dziejów Rosji. Oczywiście pojawiali się także świetni znawcy dziejów Czech czy Polski, jak choćby Klaus Zernack, autor wydanej także po polsku podwójnej biografii „Polska i Rosja. Dwie drogi w dziejach Europy”. Niemniej w niemieckich publicznych debatach pojawiali się raczej marginesowo. To dlatego publicysta berlińskiego „Tagesspiegla” Christoph von Marschall oburzał się po aneksji Krymu na łatwość, z jaką w Niemczech wciąż mówi się o sąsiedztwie i partnerstwie z Rosją, prze-

skakując nad 190 milionami tych pomiędzy Rosją i Niemcami od krajów bałtyckich po Balkany, którzy są Niemcom bliżsi niż te 140 milionów mieszkańców Rosji...

Teraz to się zmieniło. Gdy kolumny rosyjskich czołgów parły na Kijów, konserwatywna „Frankfurter Allgemeine” wskazywała na zbieżność jawnego już najazdu Putina na Ukrainę z 250. rocznicą pierwszego rozbioru polsko-litewskiej Rzeczypospolitej. Autorem eseju był monachijski historyk i sławista, którego nowa książka „Kłątwa imperium. Ukraina, Polska a manowce rosyjskich dziejów” od miesiąca jest na poczesnym miejscu w niemieckich księgarniach.

Martin Schulze Wessel, rocznik 1962, nie jest nowicjuszem. W latach 80. studiował w Monachium, Berlinie oraz – a jakże – w Moskwie. W 1995 r. opublikował „Spojrzenie Rosji na Prusy. Kwestia polska w dyplomacji i politycznej opinii publicznej carskiego imperium oraz państwa radzieckiego w latach 1697-1947”. W Polsce książka była dobrze przyjęta (choć do dziś nie została przetłumaczona), a w Niemczech – jak wiele innych na fali gorbimanii – machinalnie włożona do sarkofagu literatury fachowej.

Kłątwa imperium” to co innego. To część poszukiwanych obecnie korepetycji z trzystuletniej historii Europy Środkowo-Wschodniej i napierającego na Zachód imperium. Carskie rządy – stwierdza na wstępie Schulze Wessel – może nawet nie były bardziej okrutne niż postępowanie innych imperiów europejskich w ich zamorskich koloniach. Jednak Rosja w odróżnieniu od Anglii czy Francji wżerała się w środkowo-wschodnią, południową i północną Europę, tworząc tam swe kolo-

niale strefy wpływów i odgraniczając się zarazem od Zachodu. Co prawda także Prusy – a w XX wieku wilhelmińskie i hitlerowskie Niemcy – kolonizowały tę część Europy, stawiając na politykę siły oraz agresywny rasizm, którego w Rosji w takim stopniu nie było. Jednak kapitulacja i moralna klęska III Rzeszy w 1945 r. była tak oczywista, a kilka dekad liberalizacji i westernizacji Niemiec na tyle skuteczne, że Republice Federalnej udało się krytycznie przepracować imperialne tradycje niemieckiej historii. Natomiast w Rosji taka gorbaczowowska rewizja imperialnego myślenia została przerwana już po kilku latach i powrót nie będzie łatwy. Tym bardziej że nimb zwycięstwa Stalina nad Hitlerem i wyzwolenia Oświęcimia neoimperialnej propagandzie Putina pozwala się powoływać na wartości uniwersalne.

„Kłątwa” rosyjskiego imperium jest idea rosyjskiej wyjątkowości, amalgamat mocarstwowości i jawnej wrogości wobec postępowej liberalnej Europy Zachodniej, której idee docierały do Rosji powierzchownie i łatwo były odrzucane. Konflikt Wschód – Zachód bynajmniej nie był dzieckiem zimnej wojny między dwoma supermocarstwami atomowymi, lecz od XVIII wieku stanowił kwintesencję rosyjskiego imperium – zarówno tego zewnętrznego, do którego od XIX wieku należała Polska, jak i tego wewnętrznego, którego sercem od XVIII w. była Ukraina.

Tu Schulze Wessel przerzuca pomost między rozbiorami Rzeczypospolitej w latach 1772-95 a rozbiorem Ukrainy w Andruszowie w 1667 r. na część polską i rosyjską – kozacki Hetmanat, który w imperium starał się zachować pewną autonomię ukraińskiej państwowości, kozackiej

Czy Niemcy zrozumieli już swój błąd w podejściu do Putina? Na razie z księgarń znikają książki autorów, którzy byli w niego wpatrzeni

demokracji wojskowej. Utracił ją po zdradzie hetmana Mazepy, który w bitwie pod Poltawą w 1709 r. stanął przeciwko Piotrowi I po stronie Karola XII, króla Szwecji. I przegrał.

Czasy Piotra I to w „Kłątwie” początek biografii równoległej kwestii ukraińskiej i kwestii polskiej, jako że likwidacja autonomii Hetmanatu idzie w parze z ubezwłasnowolnieniem Rzeczypospolitej w trakcie wojny północnej. Zarówno modernizator Rosji, jak i początkowo Katarzyna II myśleli nie o rozbiórze, ale o paraliżu i trwałym podporządkowaniu Rosji rozległej i źle administrowanej federacji. Z inicjatywą rozbioru wyszły Prusy. To wschodzące mocarstwo wojskowe cudem wyszło cało z wojny siedmioletniej, a Fryderyk – z życiem, gdy pod Kunowicami skrył się pod mostem przed zagonem kozackim. Po wyborze faworyta carycy na króla Polski zmorą dla niego była perspektywa umocnienia się Rosji tuż pod progiem Prus. Zaproponował zatem zaokrąglenie granic wraz z odszkodowaniem dla Austrii za utracony Śląsk.

To był wyłom w dziejach tej części Europy. Granica między Rzeszą a Rzeczpospolitą była niezmienna od XVI w. (państwo krzyżackie nie było częścią cesarstwa). Teraz została obalona jednym pociągnięciem pióra. Pokój westfalski kończący wojnę trzydziestoletnią w 1648 r. pokazał wilcze reguły. Mocarstwa mogą, co im się podoba. To dlatego Rousseau radził Polakom, by jeśli już mają być polknięci, to niech przynajmniej nie dadzą się strawić. I coś podobnego – zwraca uwagę Schulze Wessel – pisał także Wolter o Kozakach Mazepy w swej rozprawie o Karolu XII.

Pierwszy rozbiór nie przesądzał jeszcze losu Rzeczypospolitej. Reformy stanisławowskie i Konstytucja 3 maja pokazały, że Polska ma siłę witalną, a Dubienka, a następnie Racławice – także wolę obrony swej państwowości. Zlikwidowana została siła pod pretekstem przenoszenia terroru rewolucji francuskiej na Wschód. W porzuceniu skrywanego bezprawia, skoro zabójcy w tajnej umowie z 1797 r. postanowili wytrzeć nawet samą nazwę „Polska” z historycznej pamięci. Niemniej Polska przetrwała w postaci permanentnej kwestii polskiej ery napoleońskiej i po kongresie wiedeńskim, pociągając za sobą także kwestię ukraińską.

Rozbiory wprawdzie stworzyły wspólnotę interesów zaborców, łącząc ich negatywną polityką wobec Polski. Ale na ideowej mapie Europy nie od razu wyrysowały imperialne granice wpływów. Rosja zagarnęła całe Wielkie Księstwo Litewskie oraz ukraińską część Korony, bez Galicji, natomiast Prusy i Austria – polskie tereny etniczne. Jednak wraz z utworzeniem w 1815 r. ogryzka polskiej państwowości, z Sejmem, konstytucją i armią, ale też z rosyjskimi garnizonami, rosyjskim namiestnikiem oraz carem, który w Rosji był samodzierżą, a w Królestwie Polskim monarchą konstytucyjnym, w naczyniach połączonych carskiego imperium powstało napięcie między różnymi poziomami państwowości na terenach dawnej Rzeczypospolitej – między zewnętrznym i wewnętrznym imperium, które w 1830 r. doprowadziło do polsko-rosyjskiej wojny.

Schulze Wessel uprzytamnia niemieckiemu czytelnikowi, jak dalece polskie dążenie do odzyskania suwerenności łączyło się z kwestią ukraińską, a w Rosji z wybuchem emocji antyzachodnich. Szkic o odmiennych biografiach i postawach imperialnego Puszkina z jego wybuchem przeciwko oszczercom Rosji, mesjanistycznego Mickiewicza oraz mocno chodzącego po ziemi Szewczenki powinien niemieckiemu czytelnikowi wypełnić niedobór wiedzy.

Polskie powstania z lat 1830-31 i 1863 toczyły się także na ziemiach zabranych na Litwie i w Ukrainie – i były przegrane, ale uświadomiły Rosji wysokie koszty imperialnego panowania nad Polską. Było to na tyle trwałe, że jak uważa Schulze Wessel: „Stalin w 1939 r. wziął udział w ponownym rozbiórce Polski, ale etnicznie polską część pozostawił Niemcom, ponieważ obawiał się antysowieckich powstań w Warszawie i innych polskich miastach. Z podobnych powodów Moskwa nie zastosowała wobec Polski doktryny Breżniewa, gdy w 1980 roku powstała »Solidarność«...”.

Na początku XIX w. szlachta ukraińska, pamiętając o Hetmanacie, dążyła nie tyle do oderwania się od Rosji, ile do pełnoprawnej federacji z nią, na co Petersburg odpowiadał jedynie represjami. Ale na Zachód kwestia ukraińska docierała – jak mawia ukraiński historyk Jarosław Hrycak: w polskim przebraniu – poprzez tęsknotę za dawną Rzeczpospolitą, polską emigrację po powstaniu listopadowym i dyplomację jedyne polskiego statysty w Europie Adama Czartoryskiego i jego prób wypracowania z Paryża wspólnej polsko-ukraińskiej strategii wyzwolenia się spod rosyjskiego caratu.

Zarazem w Galicji narastała podsycona przez Habsburgów rywalizacja o zasoby kulturowe i wpływy polityczne, która w latach 1918-19 przerodziła się w wojnę nie tyle o sam Lwów, ile o dwie powstające państwowości. Mimo tej lokalnej wojny Polacy i Ukraińcy współdziałali ze sobą w 1920 r. – nieskutecznie – przeciwko bolszewickiej Rosji. Wojna w 1920 r. wytyczyła polsko-radziecką granicę, która z jednej strony znówu dzieliła Ukrainę, a z drugiej – pozostawiała polskie skupiska w ZSRR.

W relacjach polsko-ukraińskich XX w. przez cały czas obecna była Rosja, najpierw ta w leninowskim i stalinowskim, a obecnie putinow-

skim stroju, oraz – co jakiś czas – Niemcy. Schulze Wessel szkicuje pokrętną politykę narodowościową bolszewików w Ukrainie, najpierw zakorzeniających ukraińskość, potem rusefikujących Ukrainę. Hołodomor monachijski historyk nazywa ludobójstwem świadomie wymierzonym głównie w ukraińskie chłopstwo. Podkreśla też w dużej mierze etniczny charakter Wielkiego Terroru z 1937 r. Jedna ósma 680 tys. ofiar to Polacy, choć radziecka Polonia – głównie na Podolu i Mińszczyźnie – stanowiła zaledwie 0,4 proc. ludności ZSRR. Tu radziecki terror tworzył polsko-ukraińską wspólnotę cierpienia.

Inaczej w drugiej Rzeczypospolitej. Nieotrzymanie przez polski rząd ukraińskiej autonomii w szkolnictwie, terroryzm OUN i rządowe represje utrwały konflikt, który po diabelskim pakcie Hitlera i Stalina został wykorzystany przez obu okupantów. Stalinowskie deportacje z terenów anektowanych w 1939 r. były wymierzone głównie w Polaków – także jako czystka etniczna. Natomiast niemiecka okupacja od roku 1941 z jawnym ludobójstwem na ludności żydowskiej zmieniła polsko-ukraiński konflikt w wojnę domową: w rzeź polskich osiedli na Wołyniu oraz powojenne jeszcze walki z UPA i akcją „Wisła”.

„Kłątwa imperium” – trzy biografie równoległe: Polski, Ukrainy i Rosji – opowiada o odwilży w ZSRR, polskim Październiku ’56, oporze w radzieckiej Ukrainie i jej pozycji w ZSRR, dwuznacznej roli w czasie Praskiej Wiosny, niezrozumieniu Ukrainy przez Gorbaczowa i wreszcie o powrocie idei Adama Czartoryskiego, kiedy to Adam Michnik w imieniu okrągłostołowego sejmu pozdrawiał ukraiński Ruch.

Tę historię zamyka historia nadrobionej w Ukrainie – czyli przesuniętej w czasie – rewolucji 1989 r. Referendum z 1991 r., decydujący wkład prezydenta Krawczuka w rozpad ZSRR, pomarańczowa rewolucja z 2004 r. po sfalszowanych wyborach. Pośrednictwo Aleksandra Kwaśniewskiego w imieniu UE. I odmienna droga rozwojowa Ukrainy niż Rosji ześlizgującej się w dyktaturę Putina, nostalgicę za carsko-radzieckim imperium i geopolitycznymi fantazjami o ruskim ładzie i „satanizacji” Ukrainy przez nazistów, banderowców i radykalny liberalizm „gejropy” głoszonymi przez Putina i jego propagandę.

To nie XVI-wieczna idea „trzeciego Rzymu” przyszłowieca Putinowi, twierdzi na koniec Schulze Wessel, która zresztą dopiero w XIX w. weszła do imperialnego kanonu. Dla rosyjskiej samowiedzy o wiele ważniejsze są tradycje realnej polityki mocarstwowej ostatnich 300 lat, doświadczenia polityki zagranicznej i „głęboko zakorzeniona idea politycznej i kulturowej marginalności »przestrzeni pośredniej« między Rosją a Niemcami, wyobrażenie o sterowaniu Ukrainą i Polską przez mocarstwa zachodnie oraz założenie europejskiej rusofobii, narastające i wciąż przywoływane w rosyjskiej pamięci po roku 1830...”.

Kancelarz Scholz rosyjski najazd na Ukrainę nazwał „zmianą ery” – Zeitenwende. Jednak zmiana odnosi się tylko do niemieckiego postrzegania Rosji, bo w samej Rosji żadnej zmiany ery nie ma. Jest brutalna próba kurczowego utrzymania imperialnej ciągłości w zradykalizowanej formie wojny. Rosyjską Zeitenwende może przynieść jedynie klęska Rosji i zasadnicze przepracowanie jej samowiedzy jako narodu post-imperialnego. „Bez imperium Rosja mogłaby się stać euroazjatycką Kanadą, rozległym terytorialnie państwem z doskonale wykształconą ludnością i atrakcyjnym systemem oświatowym, bogatym w przemysł i surowce, z dobrze rozwijaną autonomią

dla pozostałych mniejszości etnicznych, poważaną w międzynarodówce państw. Dlaczego Rosja nie chwyta tej szansy, jakiej pozazdrościłoby jej wiele narodów na całym świecie?”.

Na to jednak Rosja musiałaby zejść z imperialnego cokołu, a nie budować nowe – jak niedawno na Krymie zwalisty pomnik akurat zawziętego, zapatrzonego w przeszłość Aleksandra III. W Europie było wiele imperiów. I wiele narodów wierzyło, że mocno siedzi w siodle. Brytyjczycy, Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, Włosi, Szwedzi, Austriacy, także Węgrzy, Serbowie i oczywiście my z unią polsko-litewską. I po kolei każdy kiedyś spadał mniej lub bardziej boleśnie na głowę.

Unia Europejska jest odpowiedzią tych wszystkich poturbowanych „byłych” na fantomowy ból po utraconej wielkości. Jej kamień węgielny położono w Rzymie pod amerykańskim parasolem atomowym w czasie zimnej wojny dwóch póleuropejskich mocarstw dzielących

zdrzutgotaną przez III Rzeszę Europę. Początkowo była konstrukcją zachodnią w odwołaniu do ponadnarodowej tradycji cesarstwa Karola Wielkiego. Po Jesieni Ludów 1989 r. akces do niej zgłosiły kraje włączone w Jalcie do radzieckiego

imperium zewnętrznego. I wносиły do niej własne wiano nie tylko długotrwałego oporu wobec narzuconego im w 1945 r. ustroju, ale także wielowiekowego doświadczenia w ponadnarodowych związkach. Dosadnie wyraził to polski papież słowami: „Ale nam się udało. Od unii lubelskiej do Unii Europejskiej”...

Kto dziś uznaje UE za IV Rzeszę, jest ignorantem lub manipulatem podobnym do Putina. Pierwsza, polsko-litewska Rzeczpospolita oraz pierwsza Rzesza, wznowione w 962 r. Cesarstwo Rzymskie, były tworami do siebie przystającymi – jak w „Polsko-niemieckich miejscach pamięci” świetnie wykazał Hans-Jürgen Bömelburg. Jeszcze raz: wytyczona w szczerym polu granica Królestwa Polskiego z Rzeszą była w gruncie niekwestionowana od XIV wieku. Zarówno Rzesza, jak i Rzeczpospolita były federacjami, miały podobne instytucje i zlikwidowane zostały niemal w tym samym czasie siłą – 1795 i 1806 – w trakcie powstawania „koncertu mocarstw” i dowolnie przesuwanych granic nowych państw narodowych.

Utworzona w 1871 r. przez Bismarcka II Rzesza była agresywnym niemieckim państwem narodowym z dławionymi mniejszościami – jak polską w Prusach. Hitlerowska III Rzesza była drapieżnym państwem rasistowskim niezdolnym – mimo

hasel o „twierdzy Europa” – do jednoczenia Europejczyków. Z kolei II Rzeczpospolita z lat 1918-39 wciśnięta między dwa rewizjonizmy – niemiecki i rosyjsko-bolszewicki – nie potrafiła rozwiązać dylematu między polskim państwem narodowym a wieloetnicznym. A III Rzeczpospolita miota się – jak widać – między powrotem do Europy, to znaczy do współkierowniczey, a nie obstrukcyjnej roli w Brukseli, a cynicznie podtrzymywanym antyniemieckim kompleksem narodowców rozmarzonych w nowej mocarstwowości pod amerykańskim parasolem...

Najazd na Ukrainę to w Niemczech istotnie zmiana ery. Odcięcie się od rury bałtyckiej, zaostrenie sankcji gospodarczych wobec Rosji, stopniowe rozszerzenie niemieckiej pomocy wojskowej dla Ukrainy oraz zasadnicza debata nad historią Rosji i Europy Środkowo-Wschodniej tworzą w Niemczech nową sytuację. Profesor Schulze Wessel przyznaje, że trudno powiedzieć, jak dalece już są przewzyciężone tradycyjne schematy myślowe o tej części Europy, które kiedyś stanowiły Rzeczpospolitą Obojga Narodów. „Niemcy porzuciły własną imperialną historię, ale w swoich bliskich relacjach z Rosją i Związkiem Radzieckim przejęły imperialną optykę Petersburga i Moskwy, postrzegając zdominowane przez Rosję państwa jako aktorów drugorzędnych... Utrata Rosji jako partnera i »sąsiada«, z którym od dawna nie ma się wspólnej granicy, ale nadal wspólne interesy i wyobrażenia, nie została jeszcze przetworzona, a szanse, jakie tkwią w bliskim, równorzędnym partnerstwie z Ukrainą, nie zostały jeszcze w pełni rozpoznane. Ogłoszenie zmiany ery i opracowanie polityki na przyszłość wymaga przede wszystkim dobrej orientacji w tej epoce, której koniec nastąpił”.

„Kłątwa imperium” powinna się ukazać także po polsku. Jest dobrym uzupełnieniem książki „Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569-1999” Timothy’ego Snydera. Zresztą Schulze Wessel odwołuje się także do „Skrwawionych ziem” amerykańskiego profesora, co w Niemczech nie jest takie oczywiste, jako że Snyder bywa podejrzewany o relatywizowanie Holocaustu i niepotrzebne uetnicznianie Hołodomoru, a przecież rozkułaczanie dotyczyło także rosyjskich chłopów. Taki zarzut wysuwała niedawno w „Süddeutsche Zeitung” współpracująca Ukrainie Sonja Zekri. Miała przy okazji za złe amerykańskiemu historykowi, że w ukraińskiej wyszywanec zbiera pieniądze na Ukrainę. To nie przystoi bezstronności naukowca! Z kolei w notce o „Kłątwie imperium” – poza kręceniem nosem na sam tytuł – nie dostrzega istoty trzystuletniego napięcia w ukraińsko-polsko-rosyjskim trójkącie, zadowalając się stwierdzeniem autora, że nowa demonizacja Rosji jest bliźniakiem jej romantyzacji. I tylko tyle publicystka po sławistycy wyniosła z tej historii? ●

O G Ł O S Z E N I E



34247871

PRANIE PACHNĄCE OGNISKIEM



• Północna Tajlandia
w smogu z wypalania pól
i pożarów lasów

FOT. MADAREE TOHLALA / AFP / EAST NEWS

Nikogo w Tajlandii nie cieszy. Bo to znaczy, że zaczął się sezon wypalania pól. I stężenia pyłów zawieszonych 156 mg/m sześć., gdy norma WHO to 15

Dominik Sipiński

Kilkanaście minut przed lądowaniem w Chiang Mai samolot wbija się w gęstą mgłę. Osoby przylepione do okien fotografują to, czego nie widać. Gór tuż przy mieście. Pól ryżowych poprzecinanych autostradami, choć samolot jest już tuż nad ziemią. Widoczność spada do kilkuset metrów, ale nie przez pogodę. Jest połowa lutego, szczyt pory suchej, od grudnia nie spadła kropla deszczu. Zawiesina w powietrzu to smog. Jak co roku przez kilka tygodni Chiang Mai będzie w czołówce najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie.

W północnej Tajlandii poza porą suchą i deszczową od kilkunastu lat cykl życia wyznacza pora smogu. W marcu i kwietniu kto może, ucieka z miasta na południe. Wyznacznikiem komfortu życia w drugiej metropolii kraju, ważnym ośrodku biznesowym i kulturalnym, punkcie na turystycznej mapie, staje się posiadanie oczyszczacza powietrza i porządnej maseczki.

Nawracający kryzys nikogo już nie zaskakuje. Nie tylko jego regularność, ale także przyczyny są doskonale znane. Pora smogu powszechnie znana jest jako „burning season”, bo źródło pyłu jest w zasadzie jedno – wypalanie pól uprawnych.

– To skomplikowany problem, ale bardzo związany z interesami wielkiego agrobiznesu. I rząd nawet nie próbuje z tym niczego zrobić – mówi Weenarin Lulitanonda, współzałożycielka organizacji Thailand Clean Air Network.

Według szacunków Sztokholmskiego Instytutu Środowiska smog w Tajlandii powoduje ponad 30 tys. zgonów rocznie. Średnia długość życia spada przez pył o dwa lata, na północy kraju o cztery. Problem odstrasza przyjezdnych, a turystyka to ponad 10 proc. tajskiej gospodarki. Ale dla żytych z oligarchami władz interesy biznesu są ważniejsze. A jak ktoś się oburza, to problem można zawsze zrzucić na

ofiary systemu – samych rolników, mniejszości etniczne i sąsiednie państwa.

Sam dym z wypalanych pól to, jak szacuje profesorka Somporn Chantara, specjalistka od zanieczyszczenia powietrza na uniwersytecie Chiang Mai, połowa sezonowego smogu. Ale sprawę pogarszają klimat i geografia. Czas intensywnego wypalania, szczególnie trzciny cukrowej, przypada, gdy w północnej Tajlandii nie pada i nie wieje. Główne miasta w górzystej części kraju – Chiang Mai, Chiang Rai, Mae Hong Son, Lampang – leżą w dolinach. Dym nie ma gdzie uciec i kumuluje się przez kilka tygodni wypalania w tych miskach na smog.

Chemikalia z dymu w stojącym powietrzu mają więcej czasu, by wchodzić w reakcje i tworzyć tzw. wtórne aerozole. Te odpowiadają za kolejne prawie 30 proc. pyłu. Łącznie nawet trzy czwarte całego zanieczyszczenia pochodzi z wypalania pól.

Przez te warunki i pasywność rządu mieszkańcy północy gorzko żartują, że polityka walki ze smogiem to „czekamy na Songkran”. Tajski nowy rok, przypadający zwykle w połowie kwietnia, zbiega się z początkiem pory deszczowej. Po pierwszych ulewach na ulicach osiada warstwa rdzawego mułu. To wypłukany pył; rzadka

i przerażająca okazja zobaczenia tego, co normalnie osiada w płucach.

Liczyby nie oddają skali zanieczyszczenia tak klarownie jak osad na maseczce po kilku godzinach oddychania na ulicy. Ale i tak robią wrażenie. 18 marca 2022 r. w Mae Hong Son, 120 kilometrów na północny zachód od Chiang Mai, według oficjalnych statystyk stężenie PM2.5 wyniosło 156 mg/m sześć. 14 kwietnia w Mae Sai, na samej północy Tajlandii – 114 mg/m sześć. Dzienna norma WHO to 15. To rekordowe dni, ale w centrum Chiang Mai przez cały marzec i kwiecień 2022 r. średni poziom pyłu PM2.5 wynosił niemal 42 mg/m sześć. Trzykrotnie ponad normę.

Władze Tajlandii, zamiast walczyć z problemem, próbują go ignorować. Weenarin podkreśla, że Tajowie i Tajki dopiero od około pięciu lat są bardziej świadomi, jak radykalnie przekraczane są normy zapylenia. Wcześniej rząd po prostu nie publikował statystyk, a prywatne mierniki i strony zbierające dane nie były tak popularne. Zresztą nadal tajski limit akceptowalnego dziennego poziomu PM2.5 to 50 mg/m sześć., czyli ponad trzy razy więcej niż zalecany przez WHO (w tym roku Tajlandia obniży normę do 37,5). Ale mimo żonglowania liczbami trudno nadal udawać, że problemu nie ma. Tym

bardziej że tajski smog, w którym dominuje pył PM2.5 (a nie na przykład niewidoczne tlenki azotu), jest niemal namacalny. Nie tylko go widać, ale też czuć. Pozostawione na balkonie pranie po kilku godzinach przesiąka zapachem ogniska i zamiast do szafy trafia z powrotem do pralki.

Skoro problem istnieje, to ktoś musi za niego odpowiadać. Władze sprawnie grają półprawdami, by uprawiać – to termin ukuty przez prof. Danny’ego Marksa, specjalistę od polityki środowiskowej w regionie z Dublin City University – „powolną przemoc na marginalizowanych”. O fałš smogu obwinia się tych, którzy bezpośrednio wypalają pola.

– Czyli rolników, mniejszości etniczne z górskich plemion albo kraje sąsiednie. Politycznie bardzo łatwo jest znaleźć kozły ofiarne – potwierdza Weenarin.

Pozornie obydwa te argumenty nie są całkiem od rzeczy. Przeinaczone półprawdy, nie kłamstwa. Faktycznie, spora część pyłu pochodzi z wypalania w Birmie, Laosie i Kambodży, a nawet Wietnamie. Ale prof. Somporn podkreśla, że zagraniczne źródła odpowiadają za co najwyżej połowę pyłu w prowincjach przygranicznych, a w położonych bardziej centralnie, jak Chiang Mai czy Lamphun, to 30-40 proc. Za resztę odpowiadają tajscy rolnicy.

Ale to nie znaczy, że są winni. Prędzej – są głównymi ofiarami tego kryzysu. A rząd uprawia psychologię odpowiedzialności i symboliczną przemoc na najbardziej wrażliwych członkach społeczeństwa.

– Głównym źródłem problemu jest tajska polityka. Na szczycie gospodarki są rodzinne konglomeraty, bardzo blisko żyte z władzami. Przekazują dotacje dla wszystkich głównych partii, są blisko z armią – wyjaśnia Marks.

Wśród tych koncernów badacz wyróżnia Charoen Pokphand, należący do najbogatszego Tajā Dhanina Chearavanonta (razem z braćmi ma majątek przekraczający 30 mld dol.). Charoen Pokphand Foods to największy na świecie producent paszy dla zwierząt, głównie z kukurydzy. W 2021 r. miał prawie 15 mld dol. przychodu.

Marks podkreśla, że CP i inne agrokoncerny nie są jedynymi winowajcami, ale ponoszą dużą odpowiedzialność za ślad środowiskowy przez skalę działania i to, że upowszechniły model farm kontraktowych.

Farmy kontraktowe to sposób na biznes, który z punktu widzenia agrokoncernów sprawdza się świetnie, choć rolników wpycha w spiralę długu. – To w zasadzie niewola kontraktowa. Rolnicy już są najbardziej zadłużoną grupą w Tajlandii – opisuje Weenarin.

Ekonomistka, która pracowała m.in. dla Banku Światowego i tajskiego banku centralnego, tłumaczy, że system opiera się na umowie podpisanej przez rolnika z producentem takim jak CP Foods. Koncern gwarantuje z góry zakup plonów po określonej cenie i zapewnia nasiona i nawozy. Oczywiście nie za darmo – rolnik musi zapłacić, a że najczęściej jest biedny, zaciąga kredyt. Kredytodawcą jest – jakżeby inaczej – ten sam koncern. Przeciętny rolnik z małą farmą (w Tajlandii przeciętne gospodarstwo rolne ma do 3 hektarów i zatrudnia do trzech osób) potrzebuje mniej więcej 5 mln bahtów (650 tys. zł) kapitału na sezon. Agrokoncern chętnie pożyczy, bo dla niego to nic nieznacząca suma – a oprocentowanie często znacznie przewyższa stopy rynkowe, odsetki zaś nalicza się od pierwszego dnia. Do tego koncerny zmuszają rolników do zawiązywania kolektywów ze wspólną odpowiedzialnością za dług, więc za jednym zamachem na minusie jest kilku sąsiadów.

Rolnik musi więc zrobić, co w jego mocy, by zmaksymalizować plony. Zbiory trzeba przyspieszyć, ziemię użyźnić. Ale tajski sektor rolniczy jest rozdrobniony, pozbawiony kapitału i technologicznie zcofany, bo mało kogo stać na inwestycje. Rol-

nicy uciekają się zatem do metody znanej od lat, czyli wypalania pól, i to najczęściej dwukrotnie. Najpierw przed zbiorami, aby pozbyć się liści i podściółki i tym samym ułatwić zbiory – bo w Tajlandii brakuje też robotników sezonowych. Potem wypala się po zbiorach, by pozbyć się resztek biomasy i użyźnić glebę.

Ta prosta metoda jako tako osiąga cel, choć można by to robić bardziej efektywnie. Wystarczyłoby kupić odpowiednie kombajny, ale to brzmi łatwo tylko w teorii.

– Zaawansowane, importowane kosztują 20-30 mln bahtów (2,6-3,9 mln zł), używane 5 mln. Razem z traktorami i innym sprzętem modernizacja farmy to co najmniej 15-20 mln bahtów. Rolników absolutnie na to nie stać, bo spłacałiby tę inwestycję pięć, sześć, siedem lat – objaśnia Weenarin.

Rolnik potrzebuje kombajnu na kilka tygodni w porze zbiorów, więc można by po prostu zorganizować system leasingu lub współdzielonej własności. Maszyny mogłyby też kupować agrokoncerny, a potem je wypożyczać rolnikom, by ci zwiększyli plony i równocześnie ograniczyli wypalanie pól. Ale nikt tego nie robi.

– Agrokoncerny spychają odpowiedzialność na najsłabszych. Rolnicy wypalają, bo system ich do tego przymusza – mówi Weenarin. – A agrokoncerny mogą zdystansować się od problemu. W końcu bezpośrednio nie wypalają żadnych pól – dodaje Marks.

Wypalanie pól ma w regionie długą historię, ale dramatyczne skutki środowiskowe to nowszy problem. Nie tylko ze względu na większą świadomość, ale głównie przez to, że polityka rządu, zamiast ograniczać wypalanie, od kilku lat pośrednio do niego zachęca.

Wypala się przede wszystkim pola ryżu, kukurydzy i trzciny cukrowej, trzech najważniejszych upraw w Tajlandii. Problemem jest szczególnie trzcina cukrowa, bo jej zbiory są skoncentrowane we względnie krótkim okienku czasowym, trzeba ją zebrać i dostarczyć do rafinerii jak najszybciej, bo szybko spada w niej zawartość cukru.

Jednocześnie przemysłowe rolnictwo jest jednym z filarów polityki gospodarczej kraju. W ostatnich 30 latach zbiory trzciny cukrowej się podwoiły, a Tajlandia jest dziś drugim co do wielkości eksporterem cukru na świecie (za Brazylią). Równie szybko rośnie produkcja kukurydzy, bo CP Foods eksportuje na potęgę paszę do Chin (eksport kukurydzy z Tajlandii wzrósł z 775 mln dol. w 2016 r. do ponad 7 bln w 2021).

Marks podkreśla, że rozwój wielkich tajskich agrokoncernów to już problem regionalny. Firmy takie jak CP Foods od dawna skupują zbiory rolników w Birmie czy Laosie, operując w tym samym modelu farm kontraktowych. Te autokratyczne kraje w ogóle nie liczą się z opinią publiczną, więc tam jeszcze łatwiej można wpędzać rolników w półniewolniczą zależność. To zresztą dodatkowo podważa argument, że pył przylatuje zza granicy – formalnie tak, lecz wypalanie w krajach ościennych w dużej mierze jest związane z interesami tajskich konglomeratów.

To powoduje, że wypalanie pól, zawsze nieefektywne i szkodliwe, ale jednak kiedyś pod kontrolą, zupełnie się spod niej wymknęło. Nawet mniejszości etniczne, które mają wielopokoleniową wiedzę o zrównoważonym uprawianiu leśnych poletek, są pod presją, by zwiększać produkcję i wypalać coraz więcej. To wywołuje pożary lasów i dodatkowo potęguje problem.

Jednak władze cywilne i wojskowe – w Tajlandii wojsko dość powtarzalnie przejmuje władzę – nie mają żadnego interesu w tym, by iść na starcie z miliarderami w agrobiznesie, więc walka ze smogiem jest komicznie fasadowa. Jednym z działań jest roztawianie w centrach miast armatek wodnych, aby wypłukiwa-

ły smog z powietrza, co ma skuteczność porównywalną z próbą osuszenia morza łyżką. Na północy od kilku lat w szczycie „burning season” obowiązywały też całkowite zakazy wypalania, zupełnie nieskuteczne.

Badania prof. Somporn jednoznacznie pokazały, że zakazy faktycznie zmniejszyły nieco piki zapylenia w marcu i kwietniu, ale wydłużyły porę wypalania i smogu. W efekcie zamiast dwóch miesięcy ekstremalnie toksycznego powietrza są teraz trzy miesiące nieco mniejszego, ale wciąż znacznie przekraczającego normy smogu.

Tajemnicą poliszynela w Tajlandii jest, że na wsiach z egzekucją prawa, zwłaszcza dotyczącego codziennych aktywności, jest fatalnie. Wystarczy spojrzeć na skutery – prawie nikt nie zakłada kasku, a pojazdy prowadzą często nastolatki, zresztą nierzadko wożące troje rówieśników. Policja takie zachowania całkowicie ignoruje i podobnie jest z wypalaniem, tym bardziej że na wsi niewiele osób rozumie, jak bardzo szkodliwe jest zapylenie. Zatem zakazy nie wstrzymują procesu, ale po ich nałożeniu część rolników zaczęła wypalać wcześniej, więc sezon smogu rozpoczyna się teraz już w styczniu. A efekty katastrofy klimatycznej, czyli susze i wzrost temperatur, dodatkowo przesuwają porę wypalania bliżej początku roku.

Prof. Somporn tłumaczy, że teraz polityka się zmienia: – Rolnicy nie przestaną wypalać, więc opracowaliśmy system zarządzania biomasą. Będziemy pozwalając wypalać wtedy, gdy warunki sprzyjają, i wyłącznie po uprzedniej rejestracji. Rolnicy będą musieli uzyskać zgodę na wypalanie konkretnych upraw, konkretnego areалу, w konkretny dzień.

Po pierwszych ulewach na ulicach osiada warstwa rdzawego mułu. To wypłukany pył; rzadka okazja zobaczenia tego, co normalnie osiada w płucach

Uniwersytet Chiang Mai i lokalne władze chcą w ten sposób pogodzić interesy rolników i ochrony środowiska. System działa już jednak od dwóch lat i rewolucji nie przyniósł. Somporn wyjaśnia, że dotąd decyzje zapadały na poziomie prowincji, ale w tym roku więcej do powiedzenia mają lokalne władze, co ma poprawić planowanie i egzekucję.

Naukowczyni podkreśla, że uniwersytet Chiang Mai stara się też szukać rozwiązań. W wiosce Pa Tueng Ngam prowadzi z zespołem projekt CMU Model. Stara się edukować mieszkańców, razem z nimi rozwijać organiczne rolnictwo, co przy okazji zwiększa ich dochody. Trwają kampanie na temat tworzenia „bezpiecznych stref” – pomieszczeń z oczyszczaczami – dla szczególnie wrażliwych osób, w tym dzieci.

Weenarin takie podejście irtuje. Takie działania – choć potrzebne – nie mają skali niezbędnej do istotnej zmiany. Mieszkańcy północy, najbardziej dotknięci sezonowym smogiem, koncentrują się na lokalnych, drobnych inicjatywach, a nie na systemowej zmianie.

To nie tylko problem na północy, bo nawet wśród młodych Tajów i Tajek, zmęczonych skostniałym, konserwatywnym i zoligarchizowanym systemem politycznym, kwestie środowiskowe są na dalszym planie. Choć Tajlandią w latach 2020-

-21 wstrząsnęły bezprecedensowe protesty z żądaniami reform konstytucyjnych, o zanieczyszczeniu nie było słyhać.

– Jeśli powietrze, którym oddychasz, skracca twoje życie, to wszystko inne, o co walczysz, robi się trochę bezzasadne. Jeśli woda w kranach nagle stałaby się brązowa, wszyscy by protestowali – zżyma się Weenarin.

Marks się zgadza: – Mieszkańcy są niezczuleni na zanieczyszczenie powietrza. Nie ma bojkotów, nikt nie protestuje przeciwko CP. Tajowie mają tyle problemów, z którymi nikt nic nie robi...

Na północy z zaangażowaniem jest jeszcze gorzej przez historię tego regionu. Królestwo Lan Na ze stolicą w Chiang Mai zostało podbite przez państwo, które stało się Tajlandią pod koniec XVIII wieku, ale aż do początku XX wieku pozostawało częściowo niepodległe. Dla osób z północy władze z Bangkoku są obce, a między regionami jest sporo niechęci. Weenarin zwraca uwagę, że przez to w regionie panuje poczucie braku sprawczości i podmiotowości; mieszkańcy czują się zapomniani. – Rozumiem ich sytuację, ale ten fatalizm pogarsza sytuację. Mentalność „ja przecież nic nie mogę zrobić” jest w Tajlandii powszechna, ale na północy szczególnie.

Wiele osób pokłada nadzieje w społeczności międzynarodowej. Choć Marks ocenia, że Organizacja Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN) jest całkowicie nieskuteczna, to jednak tajski przemysł rolniczy nie działa w izolacji. Na rynkach docelowych coraz ważniejsze jest redukcowanie śladu środowiskowego w całym łańcuchu produkcji. Rolę do odegrania mają też organizacje finansowe i międzynarodowe.

A Weenarin mimo wszystko wierzy, że kampania Thailand Clean Air Network może coś zmienić także od wewnątrz. Organizacja nie tylko prowadzi badania i programy edukacyjne, ale przygotowała też propozycję ustawy Clean Air Act, która zebrała dość podpisów, by trafić do parlamentu. Marks podkreśla, że ustawa, dzięki której zanieczyszczające koncerny stałyby się odpowiedzialne za swoje działania, mogłaby zmienić sytuację bardziej niż jakiegokolwiek inne programy.

Ale do naprawdę istotnej zmiany potrzebne byłoby wstrząśnięcie tajską polityką i rozdzielenie polityków od oligarchów. Argument młodych Tajów, którzy stawiają zmiany konstytucyjne przed konkretnymi zagadnieniami politycznymi, jak kwestie środowiskowe, nie jest więc całkiem od rzeczy. Chodzi o to, że w międzyczasie konkretne problemy przenikają się i wzajemnie betonują – a smog ciągle zabija, powoduje choroby, odstrasza turystów i radykalnie obniża jakość życia. ●



• 13 stycznia 1991, masowe demonstracje w Wilnie tuż po krwawym szturmie oddziałów radzieckich na wieżę telewizyjną FOT. AFP

Adam Michnik poleca

KAŻDY Z NAS POWINIEN IŚĆ ŚLADEM MIŁOSZA

Fala autokratycznego nacjonalizmu zdaje się w niejednym kraju ustępować

Z **TOMASEM VENCLOVĄ***
ROZMAWIA **ELLEN HINSEY****

W wywiadzie rzece „Magnetyczna Północ” opowiedział pan o osobistych doświadczeniach z rosyjskimi napaściami na Litwę w 1940 i 1944 r. i o tym, jak Moskwa narzucała po II wojnie światowej sowiecką władzę. Rosja i Ukraina są w stanie wojny od 2014 r., a napaść Rosji na Ukrainę w 2022 r. to jeden z najpoważniejszych konfliktów w regionie od ponad 30 lat. Jakie uczucia obudziło to w panu? – Pierwsza inwazja sowiecka na Litwę, której bym nie nazwał rosyjską, bo brały w niej udział wszystkie republiki ZSRR, nastąpiła w 1940 r., kiedy miałem trzy lata, więc jej nie pamiętam, podobnie jak deportacji sowieckich z 1941 r.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień pochodzi z czasu agresji III Rzeszy w 1941 r.: kilka niemieckich samolotów zestrzeliło samolot sowiecki, a nie-

mieccy piloci zastrzelili ludzi z zalogi, którzy wyskoczyli ze spadochronami. Po raz pierwszy zrozumiałem, na czym polega współczesna wojna.

Powrót Sowietów w 1944 r. to sprawa skomplikowana: pokonali nazistów i gdyby potem opuścili Litwę, mogliby zostać uznani za wyzwolicieli; a oni przywrócili swoje rządy, które pod wieloma względami były równie okrutne jak rządy nazistów.

Tak więc moje świadome życie zaczyna się od spektaklu wojny i prawdopodobnie zakończy się w ten sam sposób – nie jest to los godny pozazdroszczenia, ale raczej typowy dla mieszkańca Europy Wschodniej. Po upadku ZSRR przez pewien czas wierzyłem w „koniec historii”, ten w ujęciu Fukuyamy. Cóż, myliłem się.

Po upadku muru berlińskiego zrodziła się nadzieja, że w Europie nastąpi trwała demokratyczna konsolidacja, a tendencje autokratyczne okażą się marginalne lub przejściowe. Zamiast tego jesteśmy świadkami narastania autokratycznego nacjonalizmu. Dlaczego obserwujemy dzisiaj stały regres demokracji i wzrost poparcia dla nieliberalnych rządów? – Byłem przekonany, że wszystkie kraje wyzwolone spod totalitar-

nych rządów stworzą w stosunkowo krótkim czasie systemy demokratyczne mimo ograniczeń wynikających z ich burzliwej historii.

Rosja nie była wyjątkiem. Nigdy nie wierzyłem we wrodzone autokratyczne czy imperialistyczne skłonności mieszkańców jakiegokolwiek kraju czy członków grupy etnicznej. Wielka Brytania czy Niemcy miały swoje okresy nacjonalizmu i imperializmu,

**Nie jestem fanem
Czajkowskiego
(wolę Bacha, Händla
czy choćby Weberna).**

**Ale uważam
za absurd zakaz
grania Czajkowskiego
w czasie obecnej wojny
z powodu zbrodni
Putina – tak jak
absurdem by był zakaz
grania Bacha w czasie
II wojny z powodu
zbrodni Hitlera**

a przecież dzisiaj te narody wyglądają na liberalne.

W wielu miejscach na świecie można było po 1989 r. zaobserwować postawy nieliberalne, w tym na mojej rodzinnej Litwie, nie mówiąc już o Francji, Włoszech czy nawet USA. W niektórych krajach Europy Wschodniej – np. na Węgrzech i w Polsce – postawy te dzisiaj dominują.

Przyczyn jest wiele: można wymienić problemy wynikające z globalizacji, rosnące nierówności, wpływ starych toksycznych ideologii, które przez dziesięciolecia były uspione itp. Nie sądzę jednak, byśmy wszędzie obserwowali „stały regres demokracji”: fala autokratycznego nacjonalizmu zdaje się w niejednym kraju ustępować.

Niestety, Rosja okazała się najgorszym przypadkiem. Dziś tamtejszy system jest praktycznie identyczny z faszyzmem i niemal tak samo niebezpieczny dla cywilizacji jak faszyzm i nazizm w swoim czasie.

Niektórzy intelektualści, np. niezjąca już węgierska filozofka Ágnes Heller, zauważyli z żalem, odnosząc się do okresu sprzed II wojny, że „bonapartyzm we wszystkich postaciach jest tak samo europejską tradycją jak demokracja”. Czy powin-

niśmy rozumieć ostatnie 30 lat jako czas darowany, czy też możemy mieć nadzieję, że Europa będzie nadal sprawować demokratyczną misję podjętą po 1989 r.?

– Nie uważam, by autokracja była normą. Nie może ona wygrać, choćby dlatego, że generalnie hamuje wzrost gospodarczy i zdolności adaptacyjne społeczeństw. Nie należy również głośić rychłego upadku wartości liberalnych; historia zmierza w przeciwnym kierunku mimo licznych przystanków, pętli i zwrotów.

Wielu ma zwyczaj twierdzić, że przypadek Rosji jest nieuleczalny – na Litwie są dziesiątki wpływowych w sferze publicznej postaci, które wyznają ten pogląd. Stale się z nimi spieram i uważam, że problemy Rosji mogą zostać rozwiązane w dłuższej perspektywie, jeśli państwa demokratyczne będą wystarczająco stanowcze. Na szczęście zachowanie Putina zdaje się wzmacniać jedność i determinację cywilizowanego świata.

Wojna w Ukrainie wywarła ogromny wpływ przede wszystkim na zwykłe życie mieszkańców: niszczone są miasta, giną ludzie. Ale wpłynęła również na nasze rozumienie tego, czego możemy się spodziewać w przy-

szłości. Co możemy stracić z powodu tego konfliktu?

– Najgorszą stratą byłaby utrata empatii. Nie powinniśmy przyjmować postawy naszych przeciwników i iść w stronę dehumanizacji. To byłoby największe zwycięstwo Putina.

Rozumiem moich ukraińskich przyjaciół, którzy stoją w obliczu niszczenia ich ziem i śmierci ich dzieci, co może rodzić bezkrytyczne odrzucanie wszystkiego, co rosyjskie. Nie jestem w stanie ich osądzać, bo stoją w obliczu cynicznej agresji. A poza nielicznymi wyjątkami – które potępia ich rząd i opinia publiczna – Ukraińcy nie odpowiadali na zbrodnie przeciwko ludzkości podobnymi zbrodniami.

Nie zgadzam się jednak na całkowite anulowanie kultury rosyjskiej. Nie jestem fanem Czajkowskiego (wołę Bacha, Händla czy choćby Weberna). Ale uważam za absurd zakaz grania Czajkowskiego w czasie obecnej wojny z powodu zbrodni Putina – tak jak absurdem był zakaz grania Bacha w czasie II wojny z powodu zbrodni Hitlera. Potępienie agresji nigdy nie powinno się przeradzać w ślepą nienawiść. Taka nienawiść nie doprowadzi nikogo do zwycięstwa, bo zwycięstwo musi oznaczać wzrost – a nie degradację – naszego człowieczeństwa.

W ostatnich latach napisał pan kilka wierszy odnoszących się do współczesnych wydarzeń, w tym takich jak „Kaligula u bram”, który powstał po inwazji Rosji na Ukrainę w 2014 r., a ostatnio „Bitwa azowska”, który mówi o oblężeniu Mariupola w kwietniu 2022 r. i o tragedii wojny.

– Jest nawet jeden o odwrócie spod Chersonia, opowiedziany z punktu widzenia żołnierza rosyjskiego. Nie należę do kategorii poetów unikających tematów społecznych i bieżących, choć nic nie mam do tych, którzy wybierają inny punkt widzenia.

Wszystko zależy od wielu czynników, w tym przede wszystkim od budowy psychicznej człowieka, a następnie od konwencji jego kultury, epoki itp. Oczywiście nie należy mylić poezji z publicystyką, a wiersz, który zniża się do poziomu propagandy, jest bez wartości. Propaganda może być skuteczna, ale propaganda udająca wiersz – nigdy.

Pańskie wiersze nie są, jak zakładają niektórzy odbiorcy poezji, wyłącznie lirycznym wspomnieniem. Raczej od zawsze zawierają w sobie to, co twórcze i krytyczne – są w nich historia, filozofia, osobiste doświadczenia i refleksje nad epoką. Na czym w przypadku pana poezji polega akt twórczy?

– Trudne pytanie. Mogę powiedzieć jedynie, że odbywa się to głównie w sferze nieświadomości: najpierw musi zaistnieć silne wrażenie lub doświadczenie, które potrzebuje czasu, by dojrzeć – może to trwać nawet kilka miesięcy. Następnie pewne elementy rytmiczne i semantyczne zaczynają się łączyć i przenikać, pozwalając na pogodzenie się

z tym wrażeniem, niejako uwolnienie się od niego.

Wiele zależy od języka, który prowadzi rękę, wiele od tradycji kulturowej. Jak mówi literaturoznawca Northrop Frye, noworodek jest uwarunkowany przez społeczeństwo, które już istnieje, a każdy nowy wiersz przez swoją „społeczność”, otoczenie poetyckie.

W moim odczuciu istnieje też wymiar „nicości lub najwyższej mocy” – cytuję jeden ze swoich wczesnych wierszy – który nadaje utworowi ostateczny szlif. Doświadczenia osobiste i pozapersonalne – powiedzmy, pokoleniowe – są tu z reguły nierozróżnialne.

W poezji anglojęzycznej i w niektórych językach europejskich często istnieje ścisła granica między tzw. poezją

Moje świadome życie zaczęło się od spektaklu wojny i zapewne zakończy się w ten sam sposób

polityczną i niepolityczną, ale w poezji wschodnioeuropejskiej takie rozgraniczenia nie są tak mocno zarysowane. Czesław Miłosz mówił raczej o poezji jako świadku.

– My, wschodni Europejczycy, jesteśmy naznaczeni historią, która w naszej części kontynentu albo osiągnęła apokaliptyczne rozmiary, albo została zastąpiona długim okresem zastoju i prawdziwą nieobecnością czasu. Być może z tego powodu odczuwamy te sprawy bardziej intymnie niż większość poetów Zachodu. Z tego powodu granica między tym, co polityczne lub pozapersonalne, a tym, co niepolityczne lub osobiste, może być w naszej twórczości nieco zatarta.

Miłosz, uosobienie poety wschodnioeuropejskiego, starał się wpływać na rzeczywistość (pozapersonalną) swoją (bardzo osobistą) poezją, ale nie chciał stać się sługą swojej epoki: był jej świadkiem i tym samym sumieniem. Każdy z nas powinien iść jego śladem, toutes proportions gardées.

Był pan w 1976 r. jednym z założycieli Litewskiej Grupy Helsińskiej, która ściśle współpracowała z grupą moskiewską – to były pierwsze grupy obrony praw człowieka w regionie. Przez ostatnią dekadę społeczeństwo obywatelskie, zwłaszcza w Rosji, było przedmiotem stałych ataków. Ważne grupy, takie jak Memoriał, zostały zdelegalizowane. Wasze pokolenie na Litwie doskonale wiedziało, że prawa człowieka są podstawą demokratycznego społeczeństwa.

– Litewska Grupa Helsińska realizowała założenia grupy moskiewskiej, która istnieje do dziś, ale jest atakowana przez Putina i grożą jej takie represje jak Memoriałowi [w styczniu została zdelegalizowana]. Zakaz ten nie może jednak zmienić jej

nieprzemijającego znaczenia. Tak jak dekabryści, „helsińscy” mają swoje miejsce w historii Rosji.

Grupa litewska już nie istnieje – w demokratycznym kraju, jakim jest Litwa, praw człowieka można bronić innymi sposobami.

Tylko raz w niepodległej Litwie uznałem za stosowne odwołać się do swojej biografii jako członek dawnej Grupy Helsińskiej, kiedy przypominałem władzom sądowym o prawach człowieka przysługujących pewnemu uwięzionemu lewicowemu ekstremiście, którego poglądów i metod skądinąd nie podzielałem. Podtrzymywanie znaczenia praw człowieka pozostaje podstawowym obowiązkiem każdego obywatela, który chce, aby jego państwo pozostało demokratyczne.

Wasze pokolenie stawiało na pierwszym miejscu odzyskanie historii i prawdy w celu odbudowy społeczeństwa po sowieckim totalitaryzmie. Poezja odegrała kluczową rolę w tym procesie. Jaki może być wkład poezji w podtrzymywanie ducha demokracji? Czy ma pan jakieś przesłanie dla następnego pokolenia?

– Poezja nie jest ani odbiciem historii, ani wyrazem prawdy, ale niewątpliwie, choć w niewytłumaczalny sposób, jest z nimi związana. Twórca duch ludzkości ucieleśnia się zarówno w poezji, jak i w demokracji: w konsekwencji mają one tendencję do wzajemnego wzmacniania się, nawet jeśli jest to tylko prawdopodobieństwo, a nie pewność. Ale nasz świat jest zbudowany na prawdopodobieństwach. ●

przeł. arp



*Tomas Venclova

• ur. w 1937 r., litewski poeta, eseista, tłumacz. W czasach ZSRR dysydent, obrońca praw człowieka. Od końca lat 70. na emigracji w USA, w 2019 r. wrócił do Wilna.

****Ellen Hinsey** – amerykańska pisarka, poetka, literaturoznawczyni i tłumaczka. Autorka m.in. wywiadu rzeki z Tomasem Venclovą „Magnetyczna Północ” (wydanie polskie Zeszyty Literackie 2018, przekład Maryny Ochab).

Rozmowa ukazała się w amerykańskim kwartalniku literackim „New England Review” nr 43 (4/2022).

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomas Venclova

Extra urbem

Zbliża się zima i już zaczynają pod chmur przykryciem stroszyć się oliwki. (Tu przydałby się zwrot: mój Septymiuszu). Woda w zatoce nic się nie zmieniła od czasu, kiedy liguryjskie łodzie uległy trójrzędowncom. Tylko lekko zgięły się stoki, co nam zastąpiły nijaką, nędzną przestrzeń naszych miast.

Alfabet dusznej skały tudzież czasu. Neumy piaskowca, fermaty wapienia. Lawina ścieżki przykryła. Ciemniej tylko tunele, co stoczyły górę. Wodospad w jarze gorączkowo gwarzy ze sobą i w kamieniolomie dawnym starzeje się statua, której nikt już nie wydobydzie z kokonu marmuru.

Nie rozróżniamy już prawie kierunków. Niebo matowe jak głazy na zboczu. Blizna łamanej linii pion przecina. Jak barwne kostki Rubika, wzdłuż brzegu przez morskie fale porozsypywane, zza mgły wilgotnej przeziera osiedle – wyspa, co nie oparła się handlowi, kapryśnej cizbie, zgielkowi i śmieciom.

Szorstka zarozumiałość wód przynosi w miejskie zaułki szepty Mezzogiorno. Myślimy, że nie mamy nic wspólnego z kolczugą małża, mureną, morskimi drapieżnikami, ale się mylimy. Plankton wciąż pluska się w imadle portu. Zostanie po nas plankton, Septymiuszu, co starszy jest od liguryjskich łodzi.

Wprawdzie nie wiemy, gdzie to wszystko znika, lecz pewne jest, że nas pokona Mare. Tu, gdzie kobiety suszą swoje włosy, gdzie migotają parasole kawiarni, od farinaty ciężki stół biesiadny, po wielu wiekach wedrą się rozgwieżdży, przepłynie ryba, jak lustro lub gruszka, rozprysnie się zbłąkana kropla. Słony

potok wypełni ten niewielki wąwóz – gdzie są tymczasem tunele, turyści wokół świątyni, sklepiki z chustami, pulchne niemowlę, któremu się w wózku śni pierwszy i jeszcze bezforemny sen, staruszka, która tygodniami czeka na coraz rzadszych gości, listy, dzwonki, potem na śmierć (a ta się często spóźnia).

My, Septymiuszu, możemy wybierać. Los ślepy jest, lecz dźwięk jasnowidzący, i muzyka ulega nie Ananke, a dwóm zwaśnionym ze sobą królowym, dwóm niepokornym siostrzom. Pierwsza – Gaja, co po praojcu Chaosie dziedziczy naturę i potęgę mroczną. Druga – boginią wiatrów jest i samotności.

Bądźmy więc wdzięczni obydwu władczyniom. Milsza ta, której domem jest powietrze. Gdy słona toń rozlewa się, a upał straszliwie dusi płaszczyznę zatoki, ta pełni służbę – przyjaciółka cykad i macierzanki, ofiarowująca spokój w powszechnej pustce. W niemilknący opanowany jej głos się wsłuchujemy.

2012

przeł. Zbigniew Dmitroca

Tekst za: Tomas Venclova, „Obrócone w ciszę. Wiersze wybrane”, Seria Poetycka „Zeszytów Literackich”, nr 16, ZL, Warszawa 2017.

JAK ZACZĄĆ LIST DO ODLEGŁEGO OJCA

Pamięć upodabnia się do czujnego wyszukiwania stopą płaskich kamieni na dnie strumienia

Paweł Potoroczyn

Są książki, które podziwiamy za coś. Są książki, które podziwiamy mimo wszystko. I te, które po prostu podziwiamy. A teraz jest jeszcze „Strona ojca”.

Andrzej Mencwel (rocznik 1940) przyzwyczail nas, że pisze książki ważne i bardzo ważne. Niepomijalne w polskim inteligenckim uniwersum. Dyskutowane, nominowane, nagradzane. Niekoniunkturalne. Nie-bezpieczne. Trwałe.

Na „Etos lewicy” nie da się wpaść przypadkiem w bibliotecze czy antykwariacie. Do tej książki się dociera. „Przedwiośnie czy popop” nie jest książką na lato. Jest książką na lata. „Stanisław Brzozowski. Postawa krytyczna. Wiek XX” wszedł do kanonu eseistyki biograficznej w dniu publikacji i jeszcze długo będzie stanowił dzieło referencyjne dla przyszłych autorów – dla tych, których nie sparaliżują i nie przygnębią rozmach, intelektualny horyzont i erudycja Mencwela.

Gdyby kiedykolwiek miał się ukazać tom laudacji dla doktorów honoris causa polskich uczelni, powinna go otwierać mowa, którą profesor zwyczajny Andrzej Mencwel wygłosił na ceremonii przyznania tego zaszczytu magister Oldze Tokarczuk. Oprócz pełnego finezji holdu dla noblistki dowiedzieliśmy się z niej, że również laudacja może być autonomicznym utworem, a nawet całym gatunkiem literackim, który ma swoich sultanów i wirtuozów. Gdy Mencwel zabiera głos, polski inteligent nadstawia uszu.

Kiedy ukazał się „Toast na progu”, podobnie jak wielu czytelników miałem wrażenie, że kielkuje nowe ziarno w pisarstwie Mencwela – na mojej liście lektur (ważne, bardzo ważne), „Toast” figuruje tuż obok „Kresu kultury chłopskiej” Wiesława Myślińskiego. I jak wielu jego czytelników zastanawiałem się: co teraz? Dokąd? Którędy? Odpowiedź przyszła niedawno, z ważnego, szanowanego i zasłużonego dla naszej współczesnej kultury wydawnictwa Nisza.

Z autobiografiami to w ogóle jest dziwna sprawa. Jedne tworzą ich autorzy, inne tworzą swoich autorów. Patrz: Ernaux i Dylan. Też nobliści. Bez względu na rodowód piszą dla czytającej publiczności nawet wtedy, gdy ich wyznania są substytucją, sublimacją i zadośćuczynieniem. A na to przychodzi Mencwel ze swoją „Stroną ojca”, pierwszym z trzech zapowiadanych tomów autobiografii, i z trudem ukrywa, że napisał ją SOBIE.

To nie jest spacer po ogrodach dzieciństwa z mamą i nianią w ciepły, słoneczny dzień. Matka nie żyje, nie przeżyła porodu. Daleki i oszroniony ojciec wiąże się z kobietą, która wyczerpuje wszystkie znamiona Złej Macochy. Acedia i kamienne serce. Mały Andrzejek tego nie zrozumie i nie wy-



• Kadr z „Iwana Groźnego”, legendarnego filmu Eisensteina z 1944 r. FOT. EAST NEWS

baczy. Ojciec się z nią rozstanie, ale to nie uczyni go bliższym, szron trzyma mocno, taki człowiek, takie czasy, takie pojmovanie ojcostwa.

Nianię, jedyną dostarczycielkę ciepła i czułości, w ramach metodycznych ćwiczeń z abominacji macocha szybko odprawi. Wkrótce po niani sama zniknie bez śladu. Tak bardzo bez śladu, że zostanie wycięta nawet ze zdjęcia z pierwszej komunii pasierba. Ale dla Andrzeika jest za późno, usunięcie macochy z trójkąta drama-

Przecież to zwykłe słowa, powie ktoś mniej czujny. Ale w ich rozpiętości to są nie tylko słowa, lecz Gestalt, dla tej autobiografii najważniejszy z ważnych. Mały dylemat? Nie, wielki dramat. Tylko opowiedziany małymi słowami.

Umieszczony na końcu list do nieżyjącego ojca jest domknięciem kody, która otwiera tę książkę. Nie będę rujnował przyszłych zachwytów, zdumień i wzruszeń czytelnika, więc powiem tylko,

To nie jest spacer po ogrodach dzieciństwa z mamą i nianią w ciepły, słoneczny dzień. Matka nie żyje, daleki ojciec wiąże się z kobietą, która wyczerpuje wszystkie znamiona Złej Macochy

tycznego już nic nie zmienia. Definitywnie rozstanie się z ojcem, zamieszka z jedną ze starszych, już samodzielnych siostr. 80-letni prof. Mencwel wyzna: „To ja zerwałem tę rodzinę”.

Ojciec: ułan wojny polsko-bolszewickiej, weteran powstania wielkopolskiego, mistrz krawiecki, społecznik i gorliwy katolik. Zgnoiony przez komunę, należał do pokolenia, na którym XX wiek poprobował, co potrafi. Jego syn, myśliciel i „sawant”, wyposażony w narzędzia Freuda i język Kafki, usiłując opisać – czyli zrozumieć – tę relację, przyznaje się do bezradności wobec „więzi pochodzących z głębi czasu”.

Wielu autorów miało i ma lodowcowe lub wulkaniczne relacje z własnym oddalonym, konserwatywnym patriarchą, w którego rejestrze nie było okazywania uczuć. Ale według mojej najlepszej wiedzy tylko Mencwel podzielił się doświadczeniem w tak czujny sposób. Ostatni rozdział zatytułowany „List do ojca” zaczyna się namysłem, jak takie przesłanie – niedoręczalne, bo pośmiertne – należałoby rozpocząć. „Drogi” czy „Kochany”? Co po latach odrzucenia, atrofii więzi i sporadycznych, kurtuazyjnych kontaktów znaczą te przymiotniki? „Ojczę”? A może „Tato”? To znaczy – kto?

że ta autobiografia zaczyna się nie kołyską, lecz cmentarzem.

Na pierwszych stronach komunalne przedsięwzięcie pogrzebowe zmusza Mencwela, żeby własnoręcznie, w dosłownym sensie tego słowa, złożył ojca w trumnie, podczas gdy na cmentarzu niecierpliwą się żałobnicy, ksiądz i grabarze. To nie jest komizm rodem z „Minuty ciszy”. To bezwstyd i tępota PRL-u. Jeden zakłnie, inny się przeżegna, a jeszcze ktoś odwróci wzrok. Mencwel robi z tego przejmującą figurę literacką.

„Autos”, czyli „sam”. To ilu bohaterów może mieć autobiografia? Bo ta ma wielu. Oprócz bliższych i dalszych krewnych, koleżków z jeleniogórskich podwojek, nowych, starych i nowych-starych przyjaciół są jeszcze inne, pełnoprawne postacie: struktura, język, pamięć, Kotlina. I Tadeusz Różewicz. „Bohaterowie”, powiada Mencwel, „mogą nie istnieć, ale głęboko im wierzymy. Na tym właśnie polega mit”.

Struktura: krok w przód, dwa kroki wstecz. Krok wstecz, trzy kroki w bok. Jak w poemacie dygresyjnym, tylko bardziej brawurowo, bo dygresja rzadko jest tu anegdotą, a najczęściej całym traktatem. Duża koda, która spina całość,

i mniejsze kody, które splatają poszczególne rozdziały.

W rozdziale siódmym spotykają się ludzie, psy i hycle, a także Ludomir Różyczki, Wlastimil Hofman oraz Bolesław Krzywousty. I wszystkie te wątki, wierzcie lub nie, są ze sobą powiązane. O rozważaniach historiozoficzno-politycznych, które z nich logicznie wynikają, i „sprawiedliwości dziejowej” nawet nie wspomnę. A to tylko rozdział o znalezionym w starych papierach odręcznie spisany wystąpieniu ojca na zebraniu zarządu Cechu Krawieckiego i Pokrewnych Zawodów w Jeleniej Górze około roku 1947. Zatytułowany, jakżeby inaczej, „Palimpsest”.

Język: wysmakowany rytm, kadencja, barwy i harmonie. Napakowany kluczami, odniesieniami, miarami i autorytetem. Czytam go jako próbę odreagowania sześciu dekad naukowych rygorów i akademickiej dyscypliny.

To język dekompresji. Tylko w takim języku da się zapisać – niemal na sąsiednich stronach – milczenie Gerharta Hauptmanna wobec Zła i spotkanie pracującego dla Hakaty Maxa Webera z prześladowanym przez tę Hakatę Michałem Drzymałą. Że do takiego spotkania nigdy w rzeczywistości nie doszło, jest bez znaczenia. Mogło. W języku zwolnionym z uniwersyteckiego reżimu dolna granica prawdy spotyka się z górną granicą prawdopodobieństwa. Drzymała był sąsiadem dziadka Mencwela.

Pamięć: tu służy do opowiedzenia Wielkiej Historii przez indywidualny los. Mencwel robi to z wielką wrażliwością i przenikliwością. Wyrwy w archiwach uzupełnia wiarygodną intuicją i zrozumiałą sympatią dla swoich antenatów: „świadectw mało, luk wiele i opowieść trzeba bardziej zmyślać, niż odtwarzać”.

Jeśli badacz tak doświadczony jak Mencwel musi fikcją literacką latać pamięć, to co nam to mówi o wszystkich pozostałych, którzy nie mają jego wiedzy i kompetencji? O wspólnotcie? O jej samoświadomości? Z wyjątkiem kilku magnackich klanów monografia historyczna jako zapis pamięci pokoleń staje się niemożliwa, zostaje „powieść z życia”. W tej autobiografii pamięć upodabnia się do czujnego wyszukiwania stopą płaskich kamieni na dnie strumienia.

Kotlina: jestem stamtąd, mówi Mencwel. Po 70 latach od wyjazdu nadal ma w sobie to miejsce, z jego urodą, zaburzoną tożsamością, z historią krętą jak szlaki w Górach Olbrzymich, z jego kulturą i szcunkiem dla kultury. Paryż, którego splin deszczowego dnia wprawia w ruch narację i gdzie rzecz cała się zaczyna, to osada na peryferiach Jeleniej Góry. Wiedź czy Wasyngton to zdobycze. Krakowskie Przedmieście i Łomianki to ledwie adresy. Kotlina to dożywocie. Może mniej niż fatum, ale na pewno więcej niż geografia. Topos.

Różewicz: bohater jak z jego własnej poezji. Podmiot liryczny, którego w istocie nie ma, a przecież jest, przecież unosi się nad całą opowieścią, nad całą Kotliną, nad całą Polską i całą polszczyzną. Kiedy umarł Miłosz, sam papież musiał się wypowiedzieć, gdzie można go pochować. Na pogrzebie Szymborskiej byli prezydent, premier, marszałkowie obu izb i cały ten śmieszny establishment. W kaplicy Wang patrzącej z góry na Karpacz było najwyżej ze sto osób i pewnie wszyscy się znali z imienia i nazwiska.

Mencwel nie uczynił Różewicza duchem tej książki. Różewicz w niej był od samego początku, gdyż pojawia się zawsze tam, gdzie eschatologiczny spór, gdzie egzystencjalna trwoga, gdzie Wielka Historia pomiatą indywidualnym losem, a rozum potyka się z odwagą. Różewicz u Mencwela nie został pochowany, żyje, zaleca czujność i udziela przestróg.

Na premierze książki w Czytelnii Naukowej Nr VII (w Warszawie na Świętojańskiej, miejsce nieprzypadkowe, Mencwel powiada, że spędził tam kawał życia) nie zadałem tego pytania. Padło tak wiele notorycznie błyskotliwych pytań, że nie zdążyłem. A teraz jest już za późno, bo znam odpowiedź. Chyba.

„Strona ojca” to pierwszy tom trylogii zatytułowanej „Powieść z życia”. To w końcu jak: powieść czy autobiografia? No, powieść. Jak się ma życiorys i dorobek Mencwela, to zwykła autobiografia nie wystarcza. Dopiero proza jest w stanie wypełnić luki, rozwiać wątpliwości, ominąć sidła, wymierzyć sprawiedliwość. Zignorować przestrzeń i czas, zakwestionować logikę, historię i logikę historii, zamienić miejscami przyczyny i skutki, podsunąć lustro, zaświecić lampą w oczy – przecież to właśnie powieść robi najlepiej i tylko ona ma do tego prawo. Literaturze faktu musi wystarczyć prawda.

Wartość dodana w tej książce – co najmniej równie ciekawa jak sama opowieść – jest nie tylko w tym, co otwarcie, na powierzchni opowiada, ale również w tym, co wydobywa spod spodu, odwija z bandaży, wykopuje między wierszami. „Strona ojca” MUSI być powieścią również dlatego, że z braku archiwów i dokumentów (wojna), z braku zdjęć (kosztowny zbytek dla uboższych mieszczan, poza zasięgiem dla chłopstwa) nasi „naddziadowie” popadają w „ontologiczną znikomość” i tylko powieść jest w stanie ich od tej zapaści ocalić.

Mencwel zdaje się służyć tu osobistym przykładem: jeśli nasza kultura zaniecha powieści, straci możliwość opowiedzenia SIEBIE. A kiedy już straci tę możliwość, zostaniemy sami, tak jak jeszcze sami nigdy nie byliśmy.

Autobiografie, dzienniki, memuary tworzą zasób, czyli wiedzę, którą da się inwe-

stować, kapitalizować i teauzyzować. Dopiero powieść, mówi czujny narrator, tworzy więzi, uczłowiecza naszą transakcyjną naturę. I dodaje, że może sobie wyobrazić człowieka bez transcendencji, ale „człowieczeństwo bez więzi nie daje się pomyśleć”.

Jest aż nadto dowodów, że powieść jako akt kultury i akt intelektu potrafi nie tylko odkształcić rzeczywistość, ale również ją przeprojektować. Mencwel zdaje się wierzyć, że jeżeli powieść zmienia ludzi, a ludzie zmieniają świat, to powieść zmienia świat. I ja tę wiarę podzielam. ●



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Paweł Potoroczyn

- ur. w 1961 r., autor, dyplomata, państwowiec. W maju ukaże się jego powieść „A to było tak”, drugi tom nominowanej do Nike (2013) „Ludzkiej rzeczy”

Andrzej Mencwel, „**Powieść z życia. Strona ojca**”, wyd. Nisza, Warszawa 2022



CASA NOSTRA

Zazdroszczę Włochom

Mają szczęście do wielkich prezydentów.

Jarosław Mikołajewski

Niesłusznie mało mówiło się w Polsce o wizycie prezydenta Republiki Włoskiej. Po pierwsze ciekawy jest sam Sergio Mattarella, może ostatni z wybitnych europejskich prezydentów o niekwestionowanym autorytecie w kraju i za granicą. Nieulegający szantażom, naciskom, wierzący i praktykujący Europejczyk, autentycznie ponadpartyjny. Konstytucjonalista stojący bezwzględnie i racjonalnie na straży prawa.

Rodzina Mattarellów okupiła krwią uczciwość i determinację w walce z przestępczym podziemiem infiltrującym aparat władzy: brat Sergia, Piersanti, został zamordowany w 1980 roku przez mafię, gdy pełnił obowiązki prezydenta regionu Sycylia. Sergio był uczniem premiera Aldo Moro, zabitego w 1978 przez Czerwone Brygady. Mąż stanu i humanista, wybrany na drugą kadencję, wbrew sobie, w poczuciu odpowiedzialności, znakomitą większością głosów. Pierwszy prezydent, który przyjął zaproszenie na widownię festiwalu piosenki w San Remo.

Sergio Mattarella należy do nielicznych polityków na świecie, których gesty, w tym wizyty zagraniczne, należy czytać uważnie. Ubiegłotygodniowa podróż do Polski była wyraźnym przesłaniem w kwestii stosunku do migrantów. Polska przyjęła wyrazy uznania za pomoc ukraińskim uchodźcom, lecz również dostała materiał do refleksji nad odmową redystrybucji migrantów z Afryki. Europa została wezwana do opracowania na nowo „prehistorycznej” (tak się wyraził) polityki migracyjnej, a Giorgia Meloni, stojąca na czele włoskiego rządu, delikatnie zaproszona do ponownego przemyślenia zamiaru rezygnacji z zapisu korzystnego dla uchodźców.

Znacząca w tym kontekście była wizyta w Auschwitz, poprzez którą prezydent przypomniał, jakie konsekwencje przynosi wrogi stosunek do „innych” i „obcych”.

W ostatnich dekadach Włosi mają szczęście do wielkich prezydentów. Przed Mattarellą na czele państwa stali Giorgio Napolitano, Carlo Azeglio Ciampi... Zazdroszczę i już. ●

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki „**Się żyje. Kora. Biografia**” Katarzyny Kubisiowskiej



Nie ma jednej Kory. Każdy z jej bliskich, przyjaciół, znajomych, kto kiedykolwiek z nią się zetknął, mówi o innej osobie. Kobieta żywioł. Ikona. Sprawcza, bezkompromisowa, waleczna. Brała z życia, co chciała – pożerała słabych mężczyzn, podziwiała mocne kobiety. Zbudowała niewiarygodną siłę na strachu i samotności.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Ludzie Kremla nad Wisłą. Ideowcy czy zdrajcy?”
Nikołaja Iwanowa oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

KKSZ23J

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 22.04.2023 r. do 23.04.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

• Popularność Young Leosi uchyliła drzwi do sławy
innym rapującym dziewczynom F

OT. ANDRZEJ WASILKIEWICZ/REPORTER



CO CIĘ TAK BOLI?

ŻE DZIEWCZYNA MA SZANSE UCZCIWIE ZAROBIĆ?

Obiekty seksualnych fantazji z tekstów gangsta rapperów ożyły i przejęły inicjatywę

Jarek Szubrycht

„Jest nas tu milion” – rzuca Lulu, połowa duetu Lulu x Uziak, w utworze „S3X EDUCATION”. Na wyrost, bo rapujące kobiety wciąż można w Polsce liczyć raczej w dzięsiatkach. Ale przybywa ich w takim tempie i takie towarzyszą temu emocje, że nie lekceważyłbym tej groźby: „Idziemy na was tak jak idzie dziki gon”.

W RAPIE JAK W TARTAKU

Warto przejrzyć zestawienia diamentowych, platynowych i złotych płyt z ostatnich lat publikowane przez Związek Producentów Audio-Video. Można nie tylko zrozumieć, jak przytłaczająca jest rynekowa dominacja rapu nad tradycyjnie pojmowaną muzyką pop, ale też, że polski rap to męska gra. Potwierdza to fantastyczna seria książek „To nie jest hip-hop. Rozmowy”, najlepsze kompendium polskiego rapu, przedstawione w formie historii mówionej. Od 2018 r. ukazało się pięć tomów, 85 rozmów – i ani jednej raperki! – Absurdalna wręcz nadreprezentacja mężczyzny nie jest wynikiem mojej złej woli, ale dość wiernie oddaje to, jak jeszcze do niedaw-

na wyglądała scena rapowa w Polsce – tłumaczy Jacek Baliński, wydawca i autor rozmów. Dwie kobiety, których portrety pojawiły się dotąd na kartach „To nie jest hip-hop. Rozmowy”, są bohaterkami drugiego planu. „Branża rapowa jest, jaka jest; nie wojuję z tym i jestem przeciwna jakimkolwiek parytetom” – mówiła Marta Nizio-Siara, menedżerka i organizatorka koncertów, wiosną 2021 r. „Chłopaki może i mogą posłuchać rapujących dziewczyn, ale wydaje mi się, że zupełną abstrakcją jest dla nich relacja idol – fan” – to Anna Wójcik z wytwórni Prosto w wywiadzie z 2018 r. Obie świetnie radzące sobie w męskim świecie, obie pogodzone z faktem, że innego nie będzie. „W tartaku też byłam jedyną kobietą na produkcji i sobie poradziłam, mimo że wielu panów tam o kulturze i takcie nie słyszało przesadnie dużo” – to też Nizio-Siara. Podałam daty przeprowadzenia rozmów, bo choć minęło niewiele czasu, coś się zmieniło.

JA TUTAJ NIE WIDZĘ JUTRA

W branży muzycznej większość tłustych kotów wzięła pandemię na przeczekanie. Natura jednak nie znosi próżni – czego dowodem choćby kariera sanah, która w latach 2020-22 wydała cztery płyty i zagrała cztery wielkie trasy. W rapie, najpopularniejszym gatunku muzycznym w Polsce od dobrej dekady, też harcowali młodzi, z Matą na czele. I na tej bardzo konkurencyjnej scenie wreszcie zaczęły się liczyć kobiety. Nie jak zwykle jedna jaskółka, co wiosny

nie czyni, ale gęstniejący tłum coraz lepiej nawijających niewiast.

Pomogła zabawa, która wiosną 2020 r. do rapowania zachęciła nie tylko całe środowisko hiphopowe, ale i towarzystwo spoza niego, od Korwin-Mikiego do prezydenta Dudy. W ramach Hot16Challenge2 przed mikrofonami stanęły też dziewczyny. Konwencja zabawy nie wymagała środowiskowego glejtu. Rapowały więc i te, które niekoniecznie powinny, i te, o których nie wiedzieliśmy, że mogą. Zachęczone pozytywnymi komentarzami nie poprzestały na tych szesnastu wersach. Można by wymienić chociażby Ruskiefajki (niestety, zamilkła po wydaniu ciekawego debiutu na początku 2022 r.), ale też Young Leosię. „Tak to jest, że w życiu liczysz się cash/ Co masz w głowie, ile na to pracujesz” – nawijała. Wtedy dla znajomych. Rozbiła bank pół roku później.

Latem 2020 r. zaraza na chwilę zelała, za to władza dała nam się we znaki. Najpierw kombinując przy wyborach, później zaostrzając ustawę antyaborcyjną. Kobiety wyległy na ulice. A rap doskonale przecieczył się nadaje, by machnąć ręką na metafory i odpowiednie dać rzeczy słowo. Co ciekawe, o czarnych protestach na gorąco rapowali raczej mężczyźni – m.in. Słoń, Szpaku i Karol Krupiak – niż kobiety. Choć warto pamiętać przynajmniej o „Jestem” Pauliny Przybysz i „No Future” Margaret, z refrenem „Ja tutaj nie widzę jutra”. Tym bardziej że jutro jak na złość przyszło i choć ulice opustoszały, emocje pozostały. Wygląda na to, że dziś znajdują ujście również w kobiecym rapie.

CAŁY KRAJ SIĘ JARA MOJĄ KSYWKĄ

„Noce nie bywają spokojne/ Będzie trzeba to pójść na wojnę” – to wers ze „Szkłanek” Young Leosi, singla opublikowanego w styczniu 2021. Wyraźnie nawiązuje do czarnych protestów, choć w piosence chodzi przede wszystkim o dobrą zabawę. Inna sprawa, że radosna, nieskrępowana balanga była w czasie lockdownu gestem politycznym i rebelianckim. Podmiot liryczny – jak się szybko okazało – wyrażający wolę mas domagał się zwrotu wspomnień, „lokalu i hajsu”, od tych, co chcą zabrać „ten czas i te radosne bankiety”. „Szkłanki” były jednym z przebojów roku, niezbędnym na każdej domówce i w klubach, kiedy już się otworzyły. „To jest taka piosenka której nienawidzisz, ale Twój mózg chce to słuchać” (pisownia oryginalna) – brzmi najbardziej popularny komentarz zamieszczony pod klipem. Trochę złośliwy, bardzo prawdziwy.

We wrześniu 2021 r. Young Leosia wydała minialbum „Hulanki”, dzieląc publiczność na tych, którzy widzieli w niej powiew świeżości w polskiej muzyce popularnej, i tych, którzy uważali, że obietnica ze „Szkłanek” – „cały kraj się jara moją ksywką” – nie została spełniona. Choć niżej podpisany należał do tych drugich, ma nadzieję, że rację mają ci pierwsi i artystka zwiastuje zmianę, jakiej polska scena okolorapowa jeszcze nie widziała.

Tak czy owak, sukces był niekwestionowany, co mierzyć można liczbą odsłon jej klipów w internecie („Szkłanki” dziś mają

blisko 40 milionów wyświetleń w samym tylko serwisie YouTube), rozchwytywani płytami i biletami na koncerty.

Jeżeli popularność Young Leosi uchyliła drzwi do sławy dla innych rapujących dziewczyn, Oliwka Brazil wywalila je kopniakiem. Tydzień przed premierą „HulaneK” wpuściła do sieci oficjalny debiut, czyli teledysk do piosenki „Big Mommy”. Ledwie 20-letnia Oliwia Bartosiewicz robiła w nim za damę, co z niejednego pieca chleb jadła. No, powiedzmy, że damę... Podmiot liryczny to kobieta wyzwolona, pewna siebie, podkreślająca swoje fizyczne walory. Gardzi „chudymi szmatami”, a swoje atuty wykorzystuje, by urządzić sobie życie w luksusach: „Niemieckie auta, luksusowe zegarki, włoskie szampany i japońskie przystawki”. Pochwała patologii – ktoś powie (a Oliwka nie zaprzeczy, bo „ustawia się tylko ze słodkimi patusami”). Cóż, nie jest to rzeczywiście rap w służbie wartości, ale to nie osobisty pamiętnik wokalistki, tylko śmiała próba przeszczepienia na świętą piastowską ziemię popularnej konwencji, za oceanem reprezentowanej choćby przez takie artystki jak Cardi B czy Lil' Kim. To obiekty seksualnych fantazji z tekstów gangsta raperów, które ożyły i przejęły inicjatywę.

NIECH TŁUKĄ SIĘ OKNA

Nie tylko nowe twarze świadczą o tym, że w polski kobiecie rap wreszcie wyszedł z podziemia. W 2020 roku rapować zaczęła Marina Łuczenko-Szczęsna, nagrywająca jako MaRina (co można sprawdzić na płycie „Warstwy”, całkiem niezłej). Rok później ukazał się „Maggie Vision”, piąty album studyjny popularnej wokalistki Margaret i zarazem pierwszy Margaret raperki.

Pełnowymiarową debiutancką płytę wydała też Dziarma, w której już od minialbumu „V” (2019) upatrywano nowej królowej polskiego rapu. A w 2022 r. raperką została Monika Brodka, zdaje się, że na wyraźne życzenie tych, którzy zetknęli się z jej miniaturą z Hot16Challenge2. Rapować zaczęła też Dorota Masłowska – no dobrze, zaczęła już w powieści „Inni ludzie”, ale ostatnio do mikrofonu. Jej pierwszy singel, czyli „Motyle”, w środowisku hip-hopowym wywołał prawdziwy skandal. „Po prostu zjedź na pobocze i pierdol mnie w białych słóica pokotach/ Niech nasze soki plamią siedzenia, niech tłuką się okna” – nie dość, że kobieta, to jeszcze spoza środowiska, jak ona śmie: a) rapować, b) tak rapować, c) o tych sprawach?!

Jest wreszcie tytułowa bohaterka filmu „Zadra” Grzegorza Moidy. Postać fikcyjna, ale akurat tu i teraz wyrażająca tę samą potrzebę i możliwość – utalentowana dziewczyna znikąd wchodzi w męski świat rapu i daje radę. W Zadrze, granej przez Magdalenę Wieczorek, trudno nie dostrzec podobieństw do Young Leosi, na planie partnerowała jej m.in. Margaret, a muzykę do filmu zrobił 1988, filar rapowej kariery Brodki. Wszystko zostaje w rodzinie.

Niedawno Lulu i jej producent Uaziuk grali niegłupi, nasycony elektroniką pop, pod szyldem Divines, dotarli nawet na Open'era. Jako Lulu i Uaziuk zaczyna ją od nowa, proponując rap z alternatywnym brzmieniem i ambitny tekstem. Spodoba się fanom Łony i dziewczynom, którym podobałyby się nagrania Łony i Webbera, gdyby to nie byli faceci w średnim wieku.

JAK ZOSTAĆ RAPERKĄ?

Jedną z kluczowych postaci dla rozwoju polskiego rapu, matką założycielką tej sceny była Bogna Świątkowska, od 1993 r. prowadząca „Kolorszok”, pierwszą nad Wisłą audycję o kulturze hipopowej. Niewiele później w Radiu Szczecin tę muzykę zaczęła puszczać Joanna Tyszkiewicz, sama zresztą rapowała pod pseudonimem Aha. Na początku XXI wieku dwie udane płyty wydał duet Paręśłów, wylansował na-

wet umiarkowany przebój, zatytułowany „Gwiazda” (z gościnnym udziałem Tede). Niestety, ich gwiazda zgasła ledwie zabłysła, a powrót po dekadzie milczenia nie wzbudził emocji. Na pewno wymienić trzeba Lilu, która ponad dekadę intensywnej kariery na scenie hipopowej zamknęła czterema dużymi płytami oraz współpracą z całą plejadą gwiazd rodzimego rapu, od Pezeta do Łony. Do tych, które przecierały szlaki, należy też zaliczyć Anię Sool, do tych, które przyszły później, ale bynajmniej nie na gotowe, choćby Guovę, Ad.Mę, Renę i Ryfę Ri. Kilka lat temu świetnie zapowiadała się Kara, ale i ona nie porwała tłumów. Wyemigrowała więc do Wielkiej Brytanii, gdzie nagrała m.in. przejmujący utwór „Nie wiem czy przeżyje”, z takimi wersami: „Piszą mi na forach, że nie siadła druga płyta/ Jak miała sięść, kurwa, jak nawet nie czuję życia (...) Nie mam planu na muzykę i na siebie też nie mam”.

Kiedy pojawiła się Wdowa – debiutując w 2005 r. płytą „Braggacadabra” – fetowana była przez recenzentów jako pierwsza polska raperka, która facetom nie musi się kłaniać. Z Ryfą Ri i Reną założyła żeńską hipopową supergrupę WRR, której debiut płytowy „Wyłącz to gówno” powinien solidnie namieszać na rodzimej scenie. Przeszedł właściwie niezauważony. Warto go jednak sprawdzić choćby dla otwierającego album utworu „Jak zostać raperką? (instrukcja)”, który jednoznacznie wyraża przekonanie, że kobieta w tej branży musi robić wszystko równie dobrze jak faceci, a parę innych rzeczy jeszcze lepiej. Pojawia się i ta złota myśl, żeby nie brać sobie do serca uwag mężczyzn: „Pierdol, co te typy pierdolą”.

Wymienione panie prezentowały różne wrażliwości i różny poziom umiejętności technicznych, ale zwykle spotykał je ten sam scenariusz. Chwalone były przez recenzentów, z dumą promowane przez wydawców i – mniej lub bardziej – ignorowane przez publiczność. Do masowych zasięgów raperów z czołówki żadna z nich nawet się nie zbliżyła. – Dziewczyny zdecydowanie wolą słuchać mężczyzn, a mężczyźni wolą raperki oglądać bardziej, niż słuchać. I to widać w statystykach, w reakcjach, komentarzach, na koncertach. Taki mamy klimat – przyznaje Gonix, która debiutowała przed dekadą albumem „Funky cios, sexy głos”. – Nie chcę wchodzić w socjologiczne diagnozy naszego społeczeństwa. Po przeczytaniu „Pańszczyzny” czy „Prześnionej rewolucji” wiem, że szowinizm ma u nas długą historię. Najzabawniejsze jest to, że dopiero, jak już byłam w tym po same uszy, dowiedziałam się, że rap to męski świat. W amerykańskim rapie miałam dużo kobiecych wzorców. Zbierałam płyty z kobiecym rapem, których mam do dziś ogromną kolekcję. Po części żyłam w swojej bańce. Lekcję o patriarchalnej Polsce odrobiłam dopiero, kiedy moje piosenki zaczęły viralować, najpierw na serwisie MySpace, a potem na raczkującym YouTube. Wtedy zaczęłam się przyglądać społeczeństwu i szukać odpowiedzi na to, dlaczego ktoś napisał pod moją piosenką „do garów” albo „kto ci napisał ten żenujący tekst, dziewczynko?”

KWESTIA CZASU

Skoro tyle razy nie wychodziło, czemu tym razem miałoby się udać? – Uważam, że tak. Leosia czy Oliwka przełamały wiele tabu czy schematów, jak ma wyglądać raperka i o czym ma mówić, co powinno ośmielić kolejne młode dziewczyny obawiające się wcześniej, że nie pasują do „kanonu” – ocenia Mateusz Natali, dziennikarz, szef portalu Popkiller, pomysłodawca i organizator Popkillerów, nagród dla polskich twórców rapu. – Pojawia się ich coraz więcej, a do tego reprezentują naprawdę różne klimaty. W Stanach od kilku lat mamy prawdziwy wysyp raperek, które bez kompleksów wbijają od razu na szczyty list – tylko

w ostatnim roku były to Ice Spice i GloRilla, a pamiętajmy o sile rażenia Cardi B, Megan Thee Stallion czy Doja Cat.

Przyznawane od pięciu lat Popkillery mają wiele kategorii. W tym roku, 12 kwietnia, statuetkę otrzymali najlepszy „uliczny raper” i „liryczny raper”, a także ten, który ma „najlepszy kontakt z fanami”. Dla raperek osobnej kategorii nie było. – Zastanawiamy się nad tym intensywnie co roku, ale chcemy mieć pewność, że zarówno sam wybór, jak i lista nominacji obronią się i pokażą odpowiednio wysoką konkurencję – mówi Natali.

– To pokłosie ogólnych zmian społecznych. Kobiety już od jakiegoś czasu idą odważniej po swoje, zwłaszcza w dziedzinach uprzednio zdominowanych przez mężczyzn, jak technologia, film czy właśnie muzyka – mówi Lulu. – Ja mam wielką nadzieję, że to już. Nas nadal jest garstka. Ale ta garstka powiększa się z każdym tygodniem, miesiącem. To zmiana, której trwałość będzie musiała zbudować publika, przyzwyczajając się do kobiecej nawijki i stawiając ją na równi z tą męską.

Może nie wystarczy już nawijać o hajsie, laskach w swojej becie i jaraniu trawy pod blokiem

NIE DALI, NO TO ZABRAĆ CI NIE MOGĄ

Jeszcze przed chwilą można było sądzić, że najlepsze już za nimi. Pod koniec 2022 r. parasol nad Young Leosią zwinął Żabson, jej wydawca i promotor. Raperka założyła więc własną wytwórnię, Baila Ella Records, jednak pierwszy singel wydany na swoim – „CROWD” – choć w tekście napuszony zgodnie ze standardami tej branży („do bra passa”, „mój tron”, „las rąk”), nie wzbudził takiego entuzjazmu jak utwory z „HulaneK”.

Kto tęskni za tamtą Leosią, powinien zwrócić uwagę na jej podopieczną, czyli Bambi. Chwali się „warkoczykami i dołeczkami” (nie pozuje na lolitkę – urodzona w 2003 r. Michalina Włodarczyk pięć lat temu startowała w „The Voice Kids”), ale pod „słodziakowym” wizerunkiem kryje się prawdziwy talent. Oraz rynkowy potencjał – klip do piosenki „IRL” w miesiąc wykręcił cztery miliony odsłon.

Do rap gry Bambi weszła za sprawą inicjatywy SBM Starter, a więc sposobu wytwórni SBM Label, na odkrywanie nowych talentów (w ten sposób wyłowili Matę). Tą samą drogą na scenę próbuje wejść Susk. Ma nie tylko pod górkę, ale i pod wiatr, bo jest samowarńczą reprezentantką środowiska queer w rapie. „Gdzie ty wyslesz swoje prevki teraz, jak twoje ulubione SB wzięło geja?/ Pokrzyżowałam wam plany niemila, no cóż, chłopcy, ja nie narzekam” – wykpiwa homofobiczne komentarze, a trzeba przyznać, że musi mierzyć się w sieci z prawdziwą lawiną hejtu.

Young Leosia też nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Pojawiła się niedawno na wydanej w marcu br. gwiazdorskiej płycie „Club2020”, obok m.in. Taco Hemingwaya, Margaret, PRO8L3M-u i Szczy-

la. Nie tylko nie dała się przyćmić, ale zaskoczyła najlepszymi wersami w swojej karierze, choćby zabawnie trawestując Peję, klasyka polskiego rapu: „Co cię tak boli/ Że dziewczyna ma szansę uczciwie zarobić”.

Oliwka Brazil, taka bezczelna i wyszczekana, taka nie po polsku przebojowa, zamilkła zupełnie we wrześniu ubiegłego roku, niczego nie wydawała, zniknęła z mediów społecznościowych. Zderzyła się bowiem z dwoma żywiołami – polskim puryzmem i polskim chamstwem – i nawet jej zabrakło energii. Co wyjaśniła w filmiku opublikowanym w sieci 22 marca. „Nie udźwignęłam tego wszystkiego, nie poradziłam sobie z tym wszystkim” – mówi zarówno o ciężkiej pracy, naglej popularności, jak i hejcie. Sama, w ramach kreowanej przez siebie postaci, nie przebiera w słowach, więc nie krępowali się i ci, którzy koniecznie musieli dać jej znać, jak bardzo jej nie lubią. „Jestem bardzo wyzywana i bardzo obrażana pod każdym moim teledyskiem, pod każdym moim tiktokiem, każdym moim zdjęciem. Nie tyle moja muzyka jest obrażana, co mój wygląd, moja waga. Ja doskonale wiem, jak wyglądam, mam lustro w domu, znam swoje wady i zalety. I chciałabym, żebyście przestali pisać komentarze tak bardzo obrzydliwe” – apeluje raperka. Opowiada o chorobie Hashimoto, depresji, bezsenności, nadwadze, przeprasza też tych, których sama obrażała. Pod filmem, oprócz słów wsparcia, które na szczęście dominują, pojawiły się i kpiny. Dobrze jej tak, ma za swoje, siała wiatr to zbiera burzę...

Dziś Oliwka Brazil wraca na scenę, w łagodniejszym wydaniu. „Mówiłeś, że zbyt romantyczna, może ciut za bardzo toksyczna” – to z jej nowego singla, zatytułowanego „Mam już dość”. Piosenki udanej, ale fakt, zdecydowanie zbyt romantycznej. Choć oczywiście trudno się dziwić Oliwce, że nie chce już prowokować, skoro płaci za to zbyt wysoką cenę.

Ale jeśli ktoś lubi w rapie ostre dziewczyny, propozycję dla niego ma Meggie – nie aż tak pikantna jak Oliwka, bardziej uliczna i wiarygodna. 23-letnia artystka, która większość życia spędziła w Dortmundzie i tam uczyła się nawijać, gra w rap grę według tych samych reguł, co mężczyźni. Choć trzyma z kobietami: „Ej siostro, nikt nie będzie mówił co ci wolno/ Idź po swoje, kiedy reszta żyje w słow mo/ Zawsze krok do przodu, zostaw ich za sobą/ Nie dali, no to zabrać ci nie mogą”.

MIEJSCE NA NOWE

Gonix z okazji Dnia Kobiet sprezentowała sobie singel „Wiem, co robię”, nagrany z zespołem Córy. To utwór o kobiecej ambicji, zdaniem Gonix i Cór przemilczanej w polskiej kulturze. Przemilczają ją mężczyźni i same kobiety. – To jest zespół naczyni połączonych. Dużo dzieje się na poziomie miękkiej perswazji, mikroagresji, społecznych oczekiwań, wychowania. To się potem przekłada na sieciowanie, relacje biznesowe, decyzyjność, dostęp do wiedzy, na ambicje, na wszystko. Zacznijmy celebrować to, że kobiety dużo potrafią. W wielu branżach. Tak zmienimy narrację. Tak pokażemy młodym kobietom, że warto tę ambicję mieć.

Lulu ambicji ma aż nadto. Choć wie, z czym się mierzy, jest dobrej myśli. – Według statystyk na naszych streamingach w 60 procentach słuchają nas faceci. Z kolei od dziewczyn często dostajemy komentarze typu: „Nie słucham takiej muzyki i nie lubię raperów, ale twój styl bardzo mi odpowiada”. Może to sygnał, że rynek się zmienia i nie wystarczy już nawijać o hajsie, laskach w swojej becie i jaraniu trawy pod blokiem – zastanawia się raperka. – Może zrobiło się miejsce na coś nowego. Jeśli się jeszcze nie zrobiło, musimy stworzyć je my, rozpychając się dumnie łokciami. ●

FOT. GREGOR GOBEC/GREENPEACE



EKOWEEKENDÓWKA

Autorem wielu haseł jest **Marek Józefiak**

Platforma wiertnicza A, należąca do koncernu Union Oil, znajdowała się ok. 10 km od wybrzeży Kalifornii, niedaleko miasteczka Santa Barbara. W styczniu 1969 roku doszło tam do potężnego wycieku – do oceanu wypłynęło do 16 tys. m sześć. ropy naftowej, co spowodowało śmierć ponad 10 tys. zwierząt. Wody pokryła mierząca 800 mil kw. plama oleju. Tę właśnie plamę zobaczył z samolotu senator stanu Wisconsin Gaylord Nelson.

W październiku 1969 roku na konferencji UNESCO w San Francisco John McConnell, amerykański aktywista i ekolog, zaproponował uhonorowanie Matki Ziemi przez ustanowienie dnia jej poświęconego. McConnell postulował, by tym dniem był 21 marca, pierwszy dzień wiosny oraz dzień równonocy wiosennej. Ówczesny burmistrz San Francisco Joseph Alioto poszedł za ciosem i ogłosił pierwsze obchody dnia dla Ziemi 21 marca 1970.

Tymczasem Nelson zaproponował, by honorować Dzień Ziemi 22 kwietnia. Chciał, by tego dnia odbyły się panele dyskusyjne w uczelniach amerykańskich, ale jego najbliższy współpracownik, absolwent Uniwersytetu Stanforda Denis Hayes rozwinął koncept, angażując całe zastępy koordynatorów i ochotników, by wyjść poza panele. To także Hayes spotkał się z Julianem Koenigiem, magikiem reklamy i PR, człowiekiem, który opracował dla Volkswagena jedną z najgenialniejszych kampanii pod hasłem „think small” (w odróżnieniu od popularnego think big). To Koenig był pomysłodawcą daty 22 kwietnia. Dlaczego ten dzień? Bo wtedy właśnie świętował urodziny. A chwytliwa nazwa Earth Day – Dzień Ziemi rymowała mu się z birthday.

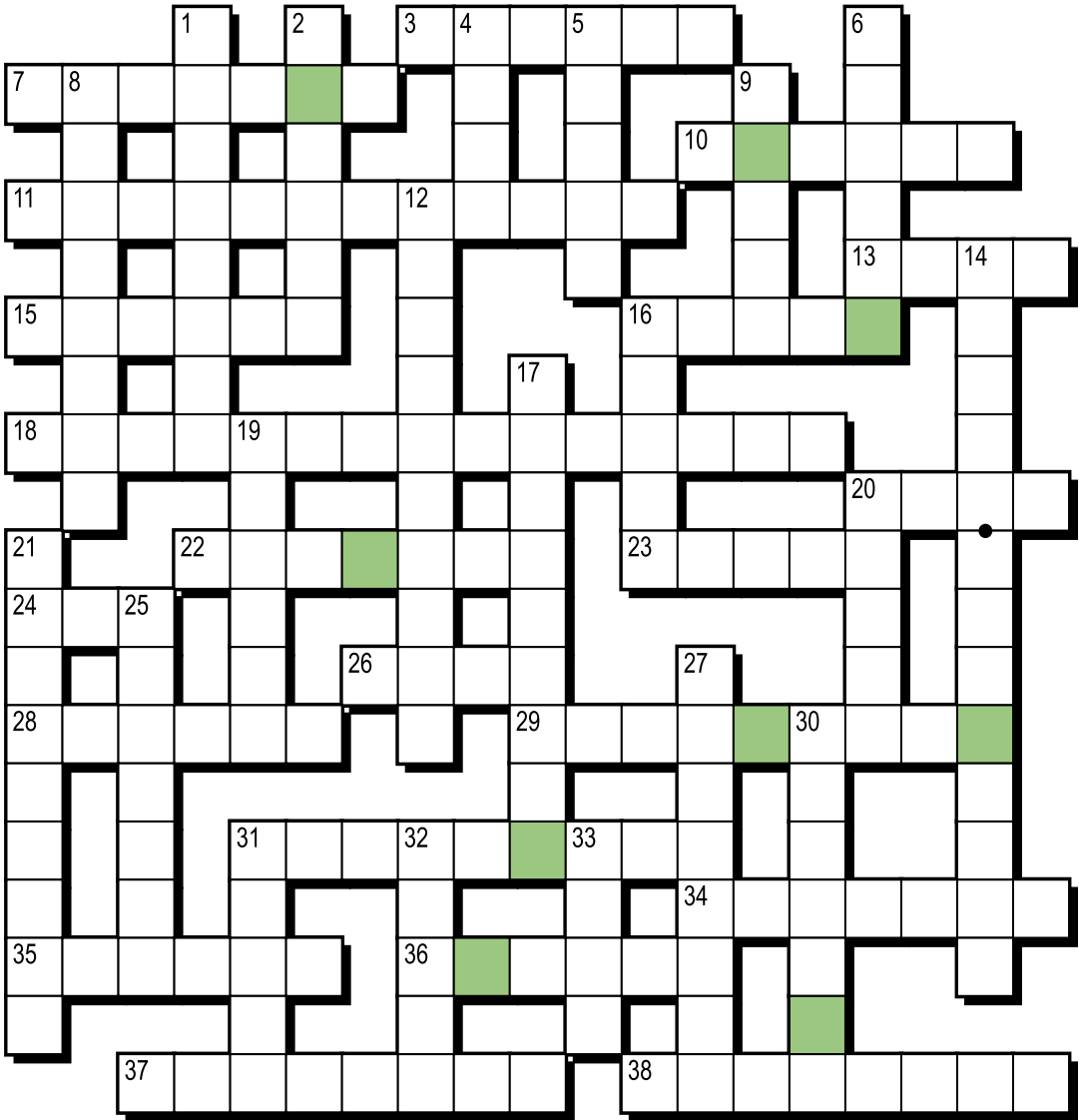
Pierwszy Dzień Ziemi okazał się gigantycznym sukcesem, na ulice amerykańskich miast wyszło łącznie ok. 20 mln ludzi postulujących większą dbałość o środowisko naturalne.

Od tego czasu 22 kwietnia setki milionów ludzi na całym świecie celebrowały Dzień Ziemi. W 2009 roku z inicjatywy Boliwii Dzień Ziemi został ustanowiony rezolucją ONZ oficjalnym międzynarodowym świętem.

Międzynarodowe święto ekologiczne co roku jest okazją nie tylko do konferencji i wykładów poświęconych przyrodzie i klimatowi, ale przede wszystkim do akcji – choćby sprzątania lasów i parków czy sadzenia drzew, uświadamiania ludziom na całym świecie, jak ważna jest ochrona przyrody i walka ze zmianami klimatycznymi.

Wszelkie informacje o Dniu Ziemi znaleźć można na stronie EARTHDAY.ORG, a my, oddając cześć naszej planecie, dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy właśnie ekologii i klimatowi. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Marka Józefiaka, eksperta ekologicznego i rzecznika prasowego polskiego oddziału Greenpeace’u. Niech się święci Dzień Ziemi! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 48 z 15.04:

Poziomo:

2) rock 4) Woodstock 9) Rose 12) Osbourne 13) Van Halen 14) Kat 15) Tina 16) Sting 18) Dom 21) Simon 22) Steve 23) Rush 25) Mercury 26) Eric 27) Tilt 29) Iron Maiden 30) Leppard 32) Aerosmith 35) depesze 37) Deep Purple 39) Presley 40) Ira 41) Big Gun 42) Nosowska 43) Nalepa

Pionowo:

1) Coma 2) Red Hot Chili Peppers 3) Collins 5) Orbison 6) Straits 7) Omega 8) Kirk 10) Bono 11) Metallica 17) Gilmour 18) Doors 19) George 20) Kurt 24) Europe 28) Jimmy Page 30) Lady Pank 31) dredy 32) Ace 33) rap 34) The Cure 36) spluwy 38) Pearl 40) Ian.

HASŁO: **MOTLEY CREW**

DZIEŃ ZIEMI

Hasła Marka Józefiaka oznaczono inicjałami (MJ). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

3) ... elektrowni węglowej, może doprowadzić do blackoutu (MJ)
7) kwaśne ..., doprowadziły do zamierania lasów w Górach Izerskich (MJ)
10) montowane m.in. w kominach fabrycznych
11) na dachu lub w ogrodzie – w lecie produkuje już ponad 10 proc. prądu w Polsce (MJ)
13) ... Ochrony Przyrody (LOP)
15) nie są potrzebne, gdy ogrzewasz dom pompą ciepła (MJ)

16) ... węglowe – główne źródło smogu w Polsce (MJ)
18) cecha urzędnika lub technologii o małym śladzie węglowym (MJ)
20) ... zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000
22) ... samochodowe, główne źródło smogu w centrach dużych miast (MJ)
23) niejedna zrealizowana przez Greenpeace
24) nie było nas, był ...
26) ... podatkowe lub termomodernizacyjne – stosowane w niektórych krajach, w tym w Polsce (MJ)
28) ... klimatyczny (Ziemia się nagrzewa)
29) stosowany do ocieplania budynków
31) promieniowanie UV
34) znawca, specjalista w danej dziedzinie

35) kwiat – symbol tatrzańskiej wiosny
36) źródło emisji (MJ)
37) ... węgla w elektrowniach – największe źródło emisji CO₂ w Polsce (MJ)
38) statki kojarzące się z katastrofami ekologicznymi na morzach

Pionowo:

1) największe zagrożenie dla przyrody
2) potocznie o dużych pojemnikach na metal, papier, szkło
4) dobro deficytowe w czasach kryzysu klimatycznego (MJ)
5) Siostry ... – kolektyw ekofeministyczny, współorganizowały „Marsz żałobny dla Odry” (MJ)

6) ... ciężkie – produkt uboczny spalania węgla (MJ)
8) potocznie utożsamiana z ochroną środowiska
9) ... ekologiczne, miejsca występowania danych gatunków w strukturach ekosystemów
12) potocznie o zakładach przemysłowych szczególnie zagrażających środowisku
14) szwedzka aktywistka, inicjatorka Młodzieżowego Strajku Klimatycznego
16) zwierzę w logo WWF-u – Światowego Funduszu na rzecz Przyrody
17) dzikie ... śmieci
19) ... węglowe – nie mogą być już sprzedawane jako paliwo gospodarstwom domowym, o co walczył m.in. Greenpeace (MJ)

20) ... narodowe, chronią zaledwie 1 proc. powierzchni Polski (MJ)
21) samochody przyszłości
25) Jan (zm. 2019), minister środowiska kojarzony z dużymi wycinkami Puszczy Białowieskiej
27) ... rolnictwa ekologicznego, wymogi dotyczące m.in. upraw roślin, chowu zwierząt, przetwórstwa
30) tworzywo sztuczne
31) agroekologia lub biocologia
32) niszczy warstwę ozonową, Greenpeace wyprowadzał łodówki, które nie używały go jako czynnika chłodzącego (MJ)
33) pora roku, w której wypada Dzień Długu Ekologicznego

Leszek Rydz

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE 34225722